

G. LE ROUGE

NIEWIDZIALNI



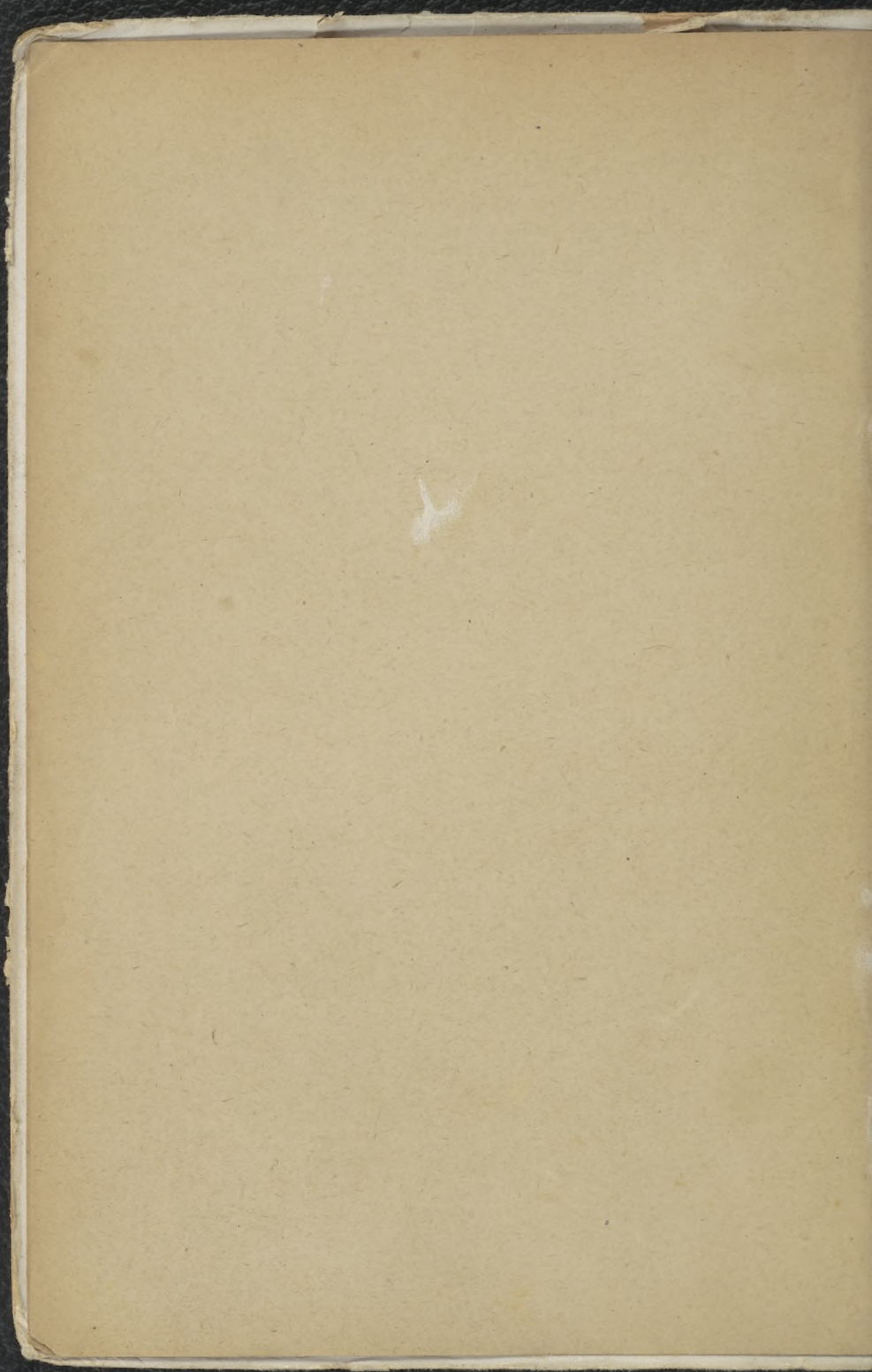
WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

II 1.416.012

M. TILWICZ

Ms 350

6



NIEWIDZIALNI

WIEDZIAJ

1913. — DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA—ORDYNACKA 3.

GUSTAW LE ROUGE.

NIEWIDZIALNI

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

TŁOMACZYŁA Z FRANCUZKIEGO

K. W.

Z RYCYNAMI

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020639820



II 1.416.012



Jest to druga część niezwykle zajmującej powieści tegoż autora,
p. t. „Wieżień na Marsie“.

1997 K 1046 / 4

8183

I. Z a r u k.

— Ach, panie Jerzy Darvell! Nie może pan sobie wyobrazić, ile radości przyjazd pański sprawi moim przyjaciółom: kapitanowi Wad i inżynierowi Boleńskiemu! Czekają na pana z najżywszą niecierpliwością... A ileśmy mieli kłopotu z odszukaniem pana!

— Rzeczywiście, nie mogę sobie tego wytłomaczyć, jakim sposobem znaleźliście mnie państwo?

— Przeglądając papiery pańskiego brata po katastrofie w Kelambrum, znaleźliśmy dawny list pana, pisany do niego i on to naprowadził nas na ślad...

— To był ostatni mój list — szepnął młody człowiek — odtąd nic nie wiem o losach Roberta...

— Nie rozpaczaj pan: niema jeszcze nic straconego! Co tylko wiedza ludzka i złoto zdziałać mogą dla jego ocalenia, wszystko będzie zrobionem — jeśli tylko nie jest zapóźno!

— Ale wracając do tego listu — mówił Ralf, chcąc rozproszyć ogarniające go głębokie wzruszenie — był on datowanym z Paryża, lecz nie zawierał pańskiego adresu, tylko dość luźne wiadomości o studjach naukowych. Lecz miss Alberta chciała koniecznie poznać pana, a gdy raz sobie coś postanowi, musi dokazać

swego! To też na jej rozkaz ajenci przeszukali wszystkie szkoły, licea, uniwersytety, zasypywali dzienniki ogłoszeniami...

— To wszystko nie osiągnęłoby celu, gdyby nie szczególny zbieg okoliczności. Po ukończeniu Szkoły Centralnej chciałem, jako inżynier, znaleźć miejsce za granicą...

— I dostałeś je pan, wiem! Ale muszę panu opowiedzieć o sprawie brata, coś więcej nad to, co głosiły gazety.

— Wiem o ustaleniu komunikacji międzyplanetarnej, wiem, że mis Alberta żyje w zupełnem odosobnieniu od świata...

— Tak jest... Gdy sygnały świetlne zostały przerwane, wezwała kapitana Wad, inżyniera Boleńskiego i mnie — i rzekła:

— Moi przyjaciele! Choć nie mam już nadziei lecz odwagi nie straciłam. Jeżeli Robert Darvel znalazł sposób dostania się na Marsa, dlaczego nie mielibyśmy go także wynaleźć? I znajdziemy go — choćbym miała na to poświęcić cały mój majątek! Rachuję na was, panowie, że mi w tem dopomóżecie...

Po wielu pochlebnych dla nas wyrazach, oświadczyła, że nigdzie nie znalazłaby ludzi bardziej oddanych nauce a życzliwszych dla siebie i — otworzyła w swym banku kredyt nieograniczony na nasze rozkazy. Ma się rozumieć, że przyjęliśmy jej propozycję z zapalem — niewielu uczonym dano jest pracować w takich warunkach! Teraz i pan wchodzisz do naszego kółka...

A gdy Jerzy, zarumieniony z radości, chciał dziękować, rzekł:

— Podaj mi pan rękę — to wystarczy... Rzecz

skończona! Przypuszczając pana do naszych prac, spłacamy święty dług przyjaźni dla pańskiego brata, którego odnajdziemy—jestem tego pewnym!

Umilkli obaj, jakby przytłoczeni ciężarem myśli i przechadzali się, milcząc, pod cieniem wspaniałych palm i dębów korkowych.

Aby rozweselić swego nowego przyjaciela, Ralf zaproponował mu małą wycieczkę dla poznania okolicy.

Ten zakątek, zielony, jak świeża oaza, położony w skwarzym Tunisie, był jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Droga leśna wila się wśród urozmaiconego, pysznego krajobrazu przez pagórki i doliny, to przechodząc przez zarośla różowych laurów i dzikich mirtów, to gubiąc się w kolczastych kaktusach, których kwiaty wydawały woń odurzającą. Gdzieś, drzewa dźwigające na sobie wiele stuleci, ocieniały jakąś ruinę, pozostałą z czasów rzymskich. Różne pnące rośliny zwieszały się z gałęzi do samej ziemi, a w ich gęstwinie poruszały się stada krzykliwych ptaków.

— Powiedz mi pan—rzekł nagle Jerzy—jakim sposobem znajduję pana tutaj, w Tunisie? Myślałem, że będziesz pan w Anglii lub w Indjach!

— Miss Alberta dlatego wybrała ten uroczy zakątek, aby zmylić ślad za sobą i w spokoju, zdala od ludzkich ciekawych oczu, znaleźć spokój w tym cudnym klimacie. Nie trafi tu żaden turysta! Tu możemy być pewni, że prac naszych nie zamąci niczyja ciekawość: niema tu ani reporterów, ani fotografów, ani tych eleganckich próżniaków, których nazywam «złodziejami czasu»!

Nasze laboratorium chemiczne jest tu tak zaciszne, jak gdyby w jakim opactwie średniowiecznym; przytem

jest po królewsku zaopatrzone we wszystko, czem nauka ułatwia uczonym ich pracę i badania.

— Zkądże miss Alberta znała tę okolicę?

— Przeżywała kiedyś wzdłuż tych brzegów, podróżując na swym jachcie «Conqueror» i została niemi zachwyconą.

— Czy oddawna tu mieszka?

— Nie; przed kilku miesiącami sprzedawano ten pałac po śmierci pewnego sycylijskiego bankiera, który go zbudował i miss Alberta kazała kupić go dla siebie. Patrz pan, jak cudnie stąd wygląda!

Istotnie, to cacko architektury arabskiej, zbudowane z białego marmuru, robiło wrażenie czarodziejskiego pałacu z Tysiąca i jednej nocy, rysującego się na tle ciemnej zieleni.

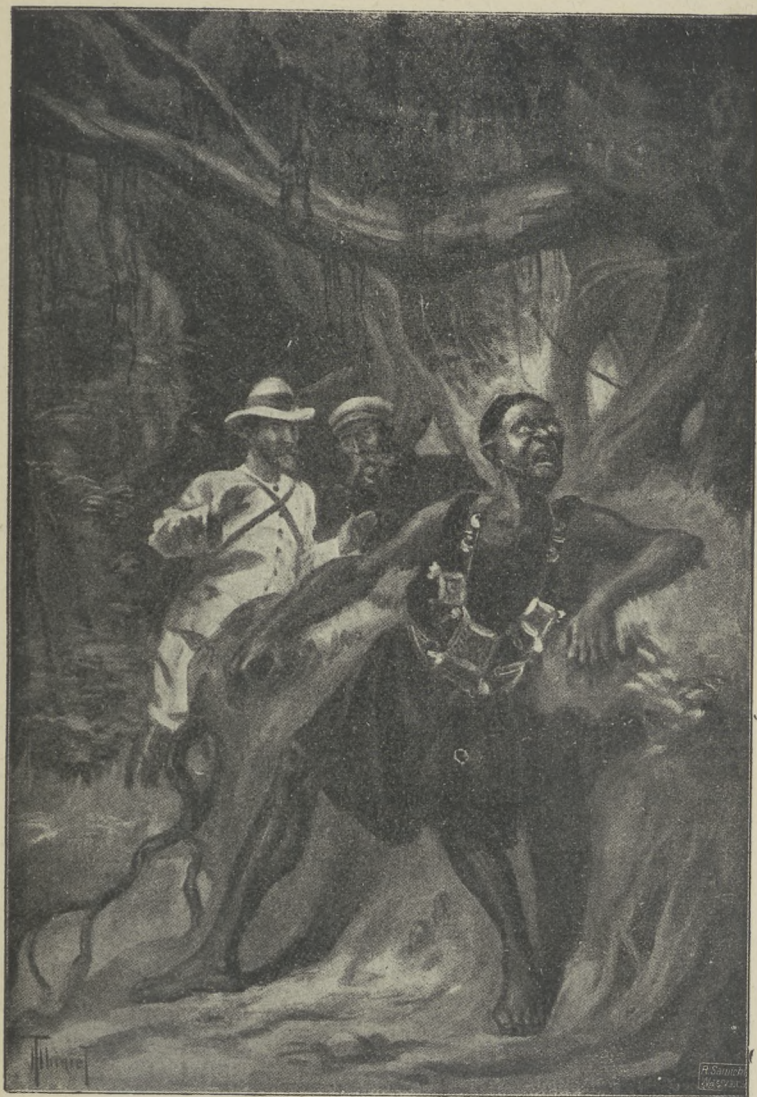
— Poznam miss Albertę! — zawołał z uniesieniem Jerzy — będę nakoniec mógł podziękować za bohaterские starania, czynione w celu odszukania biednego Roberta!

— Tak, ale nie ujrysz jej pan dziś, ani jutro — nie miałem czasu powiedzieć panu, iż wróci dopiero za kilka dni. Interesy kopalni złota wymagały koniecznie jej bytności w Londynie.

— To szkoda — szepnął młody człowiek, nieco zakłopotany.

— Czy panu wiadomo — spytał Ralf — że bajeczna wydajność tych kopalni, odkrytych przez pańskiego brata, dotąd się nie zmniejszyła? Istny złoty potok przelewa się stamtąd do kas ogniotrwałych miss Alberty! Koszty naszych doświadczeń są zaledwie drobną kropką w tym oceanie bogactwa!

Zdławiony krzyk przerwał mowę Ralfa i w tejże



Pobiegłszy nieco na prawo, zobaczyli murzyna [jakby skamieniałego
ze strachu.

chwili gromada wystraszonych ptaków zerwała się, jakby szukając lepszego schronienia.

— To krzyk Zaruka, mego murzyna—rzekł Ralf—musiał się czegoś przestraszyć, co mu się trafia dość często!

Pobiegłszy nieco na prawo, zobaczyli murzyna jakby skamieniałego ze strachu; czarna twarz jego przybrała barwę ziemistą, a wzburzone rysy i postawa skurczona świadczyły o najwyższem przerażeniu.

Jerzy ujrzał, że jest to niewidomy: źrenice jego przysłonięte były bielmem, lecz to jednak nie szpeciło go. Czoło miał wyniosłe i rysy regularne, a wargi nie były tak wstrętne grube jak zwykle u Negrów.

Ralf zbliżył się do niego.

— Co ci jest, mój biedny Zaruku? — spytał troskliwie — nie myślałem, że jesteś takim tchórzem! Czy tu niema gdzie pantery?

Zaruk poruszył przecząco głową. Był zbyt wzruszonym, aby mówić; drżenie całego ciała jego było widoczne pod okrywającym je lekkim, białym burnusem. W ręce trzymał lejce muła, który zdawał się być równie jak on wystraszonym.

— To coś niezwykłego! — szepnął Jerzy do ucha Ralfa. — A przestach tych ptaków przed chwilą... cóż to znaczy?

— Nie wiem sam, co myśleć o tem — odparł naturalista niespokojnie. — Zaruk widocznie odgadł niebezpieczeństwo — ale jakie? Oprócz kilku skorpionów, lub dzikich kotów, las ten, zwany Ain-Draham (po arabsku: źródło wody) nie ma szkodliwych stworzeń.

— A hyeny?

— O, to są podłe i bojaźliwe zwierzęta: nie napa-

dają ludzi nigdy i Zaruk nie ulęknie się takiej drobnostki!

— Lecz przed chwilą mówiłeś pan o panterach?

— To nie na serjo; są one w Tunisie nader rzadkie i ledwie czasem, raz na kilka lat można jedną schwytać. Zresztą, Zaruk, będąc rodem z Sudanu, nie więcej się obawia panter, aniżeli hyen. To musi być coś innego!

— Zaraz się dowiemy; już odzyskuje przytomność!

— Czy możesz teraz mówić? — spytał Ralf murzyna — jaki jednak tchórz z ciebie! Wiesz przecie, że przy nas nic ci nie grozi! Doprawdy, miałem cię za odważniejszego.

— Panie — rzekł murzyn bédźwicznym głosem — Zaruk być odważnym — ale ty nie wiedzieć... ach, to straszne! Zaruk nie lękać się zwierząt, ani ptaków drapieżnych — ja bać się, oh, bardzo się bać złych duchów!

— Co to ma znaczyć?

— Panie, ja przysięgać na imię potężnego i miłosiernego Allaha, na świętą brodę proroka nad prorokami, Mahometa... ja przed chwilą być dotkniętym skrzydłem dżinn'a, może nawet samego Eblisa! Wszystka krew zbiegnąć mi do serca... ledwie zdążyć wymówić trzy razy święte imię Allaha, przed którym pierzchać wszystkie dżinny, gole i diwy...*) Przez krótką chwilę, straszliwa płomienna twarz ukazać mi się w otaczających mnie ciemnościach i odlecieć natychmiast na skrzydłach... Panie, ja przysięgać: przez tę jedną chwilę ja to wszystko widzieć!

— Czyż to możebne? — rzekł Ralf niedowierzająco —

*) Złe duchy.

a czemużmyśmy nic nie widzieli? Musiało to być złudzenie, widziadło, jakie często miewają palacze opium... Pociągnij dobry łyk tej buka*) a zapomnisz o tem głupstwie!

Murzyn pochwycił butelkę z napojem i połknął chciwie kilka łyków, potem rzekł powoli:

— Ja mówić prawdę... to nie być widziadło! Wy sami widzieć ptaki uciekające i muła wystraszonego, drżącego, jak przed lwem, dlaczego? Bo i oni wszyscy zląknąć się bardzo! Wszzechmogący Allah rozkazać moim umarłym żrenicom widzieć przez chwilę, aby nas ostrzedz przed niebezpieczeństwem!

— Ja jednak twierdzą, że to było przywidzeniem— zapewne pod jego wpływem szarpnąłeś uzdę muła, co go przestraszyło, a ptaki może się zląkły przelatującego sępa...

Zaruk pokręcił głową przecząco: tłumaczenie naturalisty, jako niezgadające się z jego wiarą w złe duchy, nie trafiło mu do przekonania; jego kędzierzawa głowa była zbyt upartą!

Ralf z Jerzym poszli nieco naprzód i naturalista rzekł do swego gościa:

— Ten murzyn jest ciekawym typem! Pomimo swego kalectwa, jest idealnym służącym, gdyż jego słuch, powonienie i dotyk są nadzwyczaj czule i wrażliwe; w laboratorium zna wybornie wszystkie przedmioty i nigdy się w nich nie myli. Co ważniejsze, może określić liczbę i położenie obłoków na niebie, a kiedyśmy go wzięli z sobą na polowanie, zdumiewał nas celnością swoich strzałów.

*) Wódka figowa.

— Tak, to dosyć, jak na niewidomego!

— Co więcej, jeśli tylko raz był w czyjem towarzystwie, wyczuje obecność jego za każdym razem, bez namysłu.

— To jest rzeczywiście zdumiewające; można to jednak sobie wytłumaczyć, gdyż podobne wypadki już się zdarzały...

— Zapewniam pana jednak, że Zaruk przedstawia nader ciekawy materiał do obserwacji i niedaleki jestem od prawdy, przypuszczając, że jego źrenice oddzielone bielmem od zwykłego światła, muszą być nader wrażliwe na promienie ciemne, promienie X i inne ich rodzaje, dotąd nie zbadane. Cóż w tem jest niemożliwego?

Jerzy milczał, mocno zajęty tą śmiałą hipotezą.

— Dlaczego dotąd nie poddano go operacji?

— Kapitan chciał tego dawno, lecz Zaruk sprzeciwia się stanowczo.

Zapanowało milczenie. Nagle dała się słyszeć melodia tęskna a przeciągła, powtarzająca się wciąż; jedna z tych, które wygrywają przewodnicy karawan, sunących długim sznurem wśród równin rozpalonego piasku.

Jerzy uległ urokowi tej muzyki, w której słyszał tęskne zawołanie pustynnego wichru...

— To, co postyszałem od pana — rzekł w końcu — nie jest wcale pocieszającym: jeśli Zaruk jest tak wrażliwym, to w tem co mówi, musi być część prawdy!

— Kto wie? — szepnął Ralf zamysłony — Szekspir ma słuszność, mówiąc, iż na niebie i ziemi jest wiele rzeczy, o których się nie śni najmędrszym... Może ten murzyn jest zwiastunem ewolucji oka ludzkiego, które, po upływie setek lat, lub nieco wcześniej, będzie mogło rozróżnić promieniowania, dotąd nam nieznanę?



— To przypuszczenie zbyt śmiałe! — rzekł Jerzy.

— Dlaczego? Czyż i teraz, ludzie pogrążeni w śnie hipnotycznym, nie widzą osób oddalonych, lub przegrodzonych od nich grubym murem? A przecież wtedy mają oczy zamknięte! Dokładne zbadanie tych objawów, zamieni je w niezbite pewniki.

— Co to są owe dżinny, o których Zaruk wspominał? Co prawda, to mitologia mahometańska, wobec nauk poważniejszych, całkiem się ulotniła z mojej pamięci...

— Wiem o nich nie więcej od pana; ale zapytamy o nie Zaruka. Jest on w tym przedmiocie niewyczerpanym, a wyobraźnia jego jest pełną owych cudownych baśni, które się opowiadają zwykle przy ogniskach karawan, obozujących w pustyni.

— Zaruk! — zawołał głośno.

— Panie — odpowiedział murzyn, zbliżając się — ja słyszeć pytanie twego przyjaciela. Ale czy to rozsądnie mówić o tych strasznych istotach, kiedy one może krążyć dokoła nas?

— Nie bój się! Przecież sam mówiłeś, że w godzinę mogą przelatywać setki mil? Jeśli nawet tu były, to już muszą być daleko.

To rozumowanie napełniło radością Zaruka.

— Bez wątpienia! — zawołał z westchnieniem ulgi — to być prawdą i ja nie kłamać, ale ja się teraz niczego nie bać: Allah nas obroni!

I mówił dalej, głosem śpiewnym i nieco nosowym:

— Dżinny, to duchy niewidzialne: one zamieszkiwać między ziemią i niebem, a jest ich tysiąc razy więcej, aniżeli ludzi i zwierząt... Są między nimi dobre i złe — tych być wiele, wiele więcej! Oni być posłuszni

Iblisowi, któremu Allah dać niezależność aż do dnia sądu ostatecznego... Mądry sultan Sulejman (Salomon) szanowany nawet przez żydów i niewiernych, dostać od Allaha kamień zielony, błyszczący jak gwiazda: ten mu dać władzę rozkazywania tym duchom. One go do śmierci słuchać i nawet zbudować świątynię jerozolimską — ale po jego skonie dzinny rozproszyć się po całym świecie i popępiać wszelkie zbrodnie i dokuczać, oh, jak dokuczać ludziom!...

Zaruk w tym przedmiocie był niewyczerpanym i wliczał długo różne rodzaje złych duchów i ich straszliwe własności.

Ralf i Jerzy milczeli; zdawało im się, że są dziećmi i słuchają z przejęciem baśni z «Tysiaca i jednej nocy», a powaga Zaruka, jego głęboka wiara w to wszystko, co mówił — dodawały uroku temu opowiadaniu.

Mówił on przytem płynnie po francusku, nie umiał tylko sobie radzić z czasownikami, których używał zawsze w trybie bezokolicznym.

Zajęci jego opowiadaniem, ani się spostrzegli, kiedy stanęli przed willą Palmową.

II. Willa Palmowa.

Zbudowana w głębi wielkiej doliny, willa miss Alberty wynurzała się, jak biała marmurowa wyspa, z otaczającego ją oceanu zieloności. Umiejętne i harmonijne połączenie cudów arabskiej architektury z wykwintem pałaców weneckich, czyniły ją wprost czarowną; był to cudny sen, urzeczywistniony przy pomocy milionów bankiera Téramond'a. Od żywych kolorów

przepysznych mozaik, pokrywających ściany i podłogi, odcinała się białość kolumn marmurowych, podtrzymujących galerje, rzeźbione delikatnie, jak koronka, przez artystów opłacanych na wagę złota. Lazurowe kopuły i złożone dachy, błyszczące w słońcu, nadawały pozór czarodziejski całej tej budowli.

Jerzy stał w nieruchomym podziwieniu przed tym cudem budownictwa.

— Jakże się panu podoba nasze mieszkancko? — spytał Ralf dobrodusznie.

— Myślę, że pałac Aladyna jest wobec tego, co tu widzę, wstrętną i nędzną lepianką.

No, nie przesadzajmy, mój młody przyjacielu! Przyznać jednak trzeba, że łączy on w sobie szlachetną piękność włoskiej architektury i niedbały wdzięk arabskiej z drobiazgową wygodą i komfortem angielskim.

— Zdawało mi się, iż dach jest w części szklanym?

— Tak, nad tarasem, mieszczącym nasze laboratorium; zaś w jednej z kopuł mamy obserwatorium z teleskopem, niewidocznym z zewnątrz. Ten czarowny pałac niczem nie zdradza tego, iż jest prawdziwym arsenałem, bogato zaopatrzonym w potężne narzędzia wiedzy i nauki... Zresztą, o tem sam się pan wkrótce przekonasz.

Podczas tej rozmowy, Zaruk otworzył na rozcień wysokie drzwi z cedrowego drzewa z artystycznym okuciem. Ukazał się przedsionek wysoki, wyłożony mozaiką; ze sklepienia, wspartego na stiukowych kolumnach, zwisała się turecka latarnia z misternie rzeźbionej miedzi.

Z przedsionka wychodziło się przez kolumnadę na wewnętrzny dziedziniec, zwany w Hiszpanji patijo.

Pośrodku szemrał orzeźwiająco wodotrysk.

Ustawione między kolumnami głębokie fotele i sofy, kryte wytłaczaną skórą, zapraszały do wygodnego spoczynku. Gdy weszli, ukazała się młoda dziewczyna w białej sukni; w uszach miała delikatne złote kółka.

— Kerifo — rzekł naturalista — wskaż temu panu jego pokój, a potem zaprowadź go do laboratorium, gdzie będę na niego czekać. Dopilnuj, aby mu niczego nie [brakło!

Jerzy spojrział na dziewczynę. Jej bronzowa cera, wielkie podłużne oczy, nos orli, usta nieco wydatne i niebieskawe [tatuowania na czole i rękach, wskazywały jej pochodzenie. Mogła mieć około 15 lub 16 lat i była skończenie piękną.

— Jest to córka szeika (wodza) koczowniczego plemienia arabskiego; miss Alberta wyleczyła ją z ospy, za co dziewczyna odplaca jej bezgraniczną miłością, przywiązaniem niewolniczem prawie — i cieszy się nieograniczonym zaufaniem swojej pani. Mamy na niej dowód, czem mogliby się stać Arabowie, gdyby się z nimi obchodzono dobrze, zamiast ich łupić i ponie-
wierać, jak się to dotąd najczęściej zdarza!

Młoda arabka wprowadziła Jerzego do obszernego pokoju o kolorowych oknach, którego ściany, wyłożone mozaikowymi cegiełkami, okrągławe sklepienie, pozwalały zachować idealną czystość, nie dopuszczając gromadzenia się kurzu i mikrobow. Zasłony u okien z perełek szklanych, lekko przyćmiewały światło, a sprzęty robione podług rysunków Waltera Crane, były z miedzi kutej, dębu i porcelany. Bukiety kwiatów ze szkła kolorowego osłaniały lampki elektryczne.

Z pokojem tym sąsiadowała z jednej strony bogato

zaopatrzona biblioteka, z drugiej wykwinna łazienka z ubieralnią, będącą szczytem wygody i elegancji.

— Będzie ci tu dobrze — rzekła Kerifa z uśmiechem, który ukazał jej śliczne ząbki.—Tu jest telefon, a tu dzwonek elektryczny, który o każdej porze dnia i nocy sprowadzi ci służących. Czy nie chciałbyś jakiego napoju chłodzącego? A może jesteś głodnym?

— Dziękuję ci — zjadłem obfite śniadanie na stacji kolei...

— Dobrze, więc cię zostawiam...

I żywa, lekka, jak gazella w jej rodzinnej pustyni, znikła z pokoju.

Zostawszy sam, Jerzy z rozkoszą zanurzył się w chłodnej kąpieli, a zmywszy z siebie kurz podróży, odział się w lekkie krajowe «pijama» i zeszedł do ogrodu, z kądem Kerifa zaprowadziła go do laboratorium. Było ono urządzone na największym z tarasów willi: pięć szyb kryształowych niezmiernej wielkości, podzielonych czterema stalowymi kolumnami, stanowiło ścianę zewnętrzną, a grube pluszowe zasłony, za naciśnięciem guzika elektrycznego, zasłaniały ją całą szczelnie, zmieniając dzień w najzupełniejszą ciemność.

Jerzy stanął olśniony — bo w najlepiej zaopatrzonych stołecznych laboratorjach nie widział tego, co tutaj. Były tu klisze fotograficzne kilkometrowej wielkości, zwierciadła, zatrzymujące przez kilka minut na swej powierzchni obraz przelatującego ptaka lub owadu; olbrzymie rury teleskopów były wycelowane ku niebu, a potężne mikrofony doprowadzały do ucha najbardziej niepochwytnie szmery i szelesty na niebie i ziemi.

Były tam jeszcze różne przyrządy chemiczne i fi-

zyczne, których kształt i przeznaczenie były mu najzupełniej nieznanne.

Do laboratorium przytykała sala, gdzie były szafy pełne chemikalji, potężne baterje elektryczne i maszyny ochładzające.

Wszedłszy do tego przybytku wiedzy, Jerzy zdumiony tem, co widział, stał milczący, lecz Ralf przyszedł mu z pomocą.

— Kochany panie — rzekł swobodnie — od dziś należysz do naszego grona; zaraz panu przedstawię przyszłych towarzyszków pracy i przyjaciół pańskiego znakomitego brata...

Na te słowa, dwaj mężczyźni w długich bluzach, zajęci opodal jakąś pracą przy pomocy Zaruka, zbliżyli się szybko.

Powierzchnością różnili się krańcowo: Boleński, wysokiego wzrostu, jasnowłosy o niebieskich oczach był typowym słowianinem, żywym, wymownym i szczerym. Kapitan Wad (Ued) niski, krępy, o powolnych ruchach i rozkazującym spojrzeniu ciemnych oczu, miał długie, siwiejące już wąsy, a w postaci i ruchach sztywność wojskową. Był on jednak człowiekiem dobrym i uczuciowym, to też serdecznie uściskał dłoń Jerzego, zapewniając go o swej życzliwości.

— Możesz kapitanowi wierzyć, panie Darvel — rzekł Ralf — nie jest on skłonny do wynurzeń, waży każde słowo, lecz gdy co przyrzeknie, można być pewnym, że dotrzymał

Boleński witał go z wesołością nieco hałaśliwą.

— Cóż za nadzwyczajne podobieństwo! — zawołał — zdaje mi się, że patrzę na Roberta... Zupełnie tak wyglądał wtedy, gdyśmy razem przebywali w stepach

syberyjskich.. Kiedyś pan wszedł, w pierwszej chwili doznałem gwałtownego wzruszenia, bo mi się zdawało, że wrócił ten przyjaciel ukochany, zdobywca nowych światów!

Była chwila milczenia, które przerwał Jerzy:

- Czy panowie wierzycie w to rzeczywiście, że brat mój jeszcze żyje i że kiedykolwiek może powrócić na Ziemię?

— Stanowczo wierzę w to, że żyje — rzekł kapitan poważnie.

— Jednak, te sygnały tak nagle przerwane... — zauważył młody człowiek ze smutkiem. — Wyznam, że nie mogę się zdobyć na tę ułność i nadzieję, jaką widzę u panów, lecz pragnę gorąco, abym się mylił!

— Ależ mój przyjacielu, przerwanie sygnałów jeszcze niczego nie dowodzi! — zawołał porywczo Boleński. — Robert może żyć, ale musi być pozbawionym sposobu porozumiewania się z nami, gdyż to i nam z trudem przychodzi! Bo tylko się zastanówmy: Robert dostał się na Marsa zdrów i cały, i zdobył nad mieszkańcami jego władzę dostateczną do urządzenia fotografowanych przez nas sygnałów świetlnych. Dlaczego mamy myśleć, że zginął? Nie mamy na to żadnych danych — stanowczo żadnych!

— A jednak — zauważył Jerzy — ta cała dziwna historia uwięzienia go przez Erloory, od czasu której przzerwano sygnały...

— To nie dowód! Pomyśl pan: Robert musiał uniknąć zguby, ponieważ nas sam o tem zawiadomił, opisując porwanie, jako wydarzenie dość dawne!

— Wierz mi pan — rzekł z kolei kapitan — Robert Darvel żyć musi: ukryte i tajemnicze przyczyny współ-

działały w jego niesłychanem przedsięwzięciu, ono nie było dokonaniem napróżno! Możecie uważać mię za mistyka, jednak wierzę, że wieki przygotowywały wielkie dzieło zbliżenia się dwóch planet; Robert musiał dostać się na Marsa, a teraz musi powrócić na Ziemię, aby ją wzbogacić myślą i wiedzą nowego, odrębnego świata! Jest to dla mnie równie niewzruszoną prawdą, jak teorema Euklidesa—inaczej być nie może!

Kapitan mówił to z zapalem, który się udzielił obecnym i Jerzy nawpół uwierzył, iż bratu jego została przeznaczoną rola, mogąca mieć wielki wpływ na losy obu planet.

— A zresztą — rzekł powoli i z namysłem Ralf — nie będziemy tu oczekiwać powrotu Roberta, lecz dostaniemy się do niego — i to wkrótce!

— Doprawdy? Czyżbyś pan już znalazł sposób? — wyszeptał Jerzy, którego ogarniała ufność, ożywiająca obu uczonych.

— Niewiele do tego braknie — rzekł kapitan zamyślony — zostają tylko do opracowania techniczne szczegóły naszego przyrzędu: są to zresztą trudności drugorzędne, które pokonamy napewno za jakieś parę tygodni! Notatki pańskiego brata, które udało mi się ocalić z Kelambrum, wielce nam dopomogły w naszej pracy.

— Będę wam pomagać! — zawołał Jerzy radośnie.

— Jak panu wiadomo — mówił kapitan, pochłonięty swemi myślami — wszystkie fenomeny fizyczne, mechaniczne lub chemiczne, są tylko ruchem! Jest to już pewnikiem naukowym! Ciepło jest rodzajem ruchu, również jak i światło; możemy to sprawdzić codziennie, że ruch przetwarza się w ciepło, ciepło

w elektryczność, a ta w światło. Rozumując logicznie, możemy przyjąć, iż w pewnych warunkach elektryczność może się przetworzyć we fluid woli. W dniu, kiedy człowiek będzie mógł swój wątły mózg wzmocnić nieskończoną prawie siłą prądów elektrycznych, lub zgromadzić w swym systemie nerwowym ten fluid, tak jak się gromadzi elektryczność w akumulatorach — odniesie on wielkie zwycięstwo, zwycięży wszystko!

— Naprzykład? — spytał Jerzy.

— Tak, wszystko! Nie będą dla niego istniały: zmęczenie, choroba, kto wie? nawet może i śmierć... Żadne przeszkody nie będą dlań istniały. Brat pana wynalazł sposób gromadzenia owego fluidu woli; my szukamy sposobu przemiany elektryczności na energję.

— Czy go panowie znajdziecie? — spytał szeptem Jerzy, olśniony, prawie przerażony wspaniałym widnokreplem, jaki się jego wyobraźni przedstawiał.

— Powiedziałem panu, że nam brak tylko niektórych szczegółów technicznych... co zresztą jest drobnostką!

— A zresztą — dodał żywo Boleński — możemy i teraz dać panu dowody, iż to, o czem mówimy, nie jest jedynie teorią, lecz wydaje i rezultaty praktyczne: zaraz pan się o tem przekonasz!

To mówiąc, wyjął z pod szklanego klosza rodzaj kasku ze szkła i miedzi, który łączył się wiązką drutów platynowych z akumulatorem. Włożył go na głowę uśmiechającego się kapitana, który teraz wyglądał jak nurek w swym podwodnym kostjumie.

— Jak pan widzisz — mówił — prąd, wydzielany z akumulatora, przetwarza się teraz właśnie we fluid

woli, który się gromadzi w mózgu naszego przyjaciela. Patrz pan, jak jego oczy płomienieją, a twarz wyraża spokój, lecz zarazem nadludzką siłę — możnaby powiedzieć, że te uczucia z niej promieniują, otaczając ją nadprzyrodzoną jasnością! Wola jego jest teraz dziesięćkroć silniejszą: gdyby nam coś rozkazał, musielibyśmy usłuchać go, choćby wbrew naszej woli.

Jerzy milczał, a że inżynier wziął to za znak niedowierzania, zawołał:

— Chcesz się pan może przekonać osobiście? Kapitan teraz rozkaże ci w myśli, abys ukląkł — spróbuj mu się oprzeć!

— Rzeczywiście, to byłoby ciekawe.. — bąknął Jerzy, zbierając swe siły, by okazać opór, w razie gdyby odczuwał jakiś wpływ na swe czyny — jeżeli będzie zmuszonym uklęknąć, uwierzę we wszystko!

Kapitan rzucił na niego spojrzenie płomienne, nakazujące, a młody inżynier uczuł w piersiach gwałtowny, piekący ból.. Za chwilę, pomimo wszelkich wysiłków, aby stać prosto, uczuł, że kolana ugięły się pod nim i zaczerwieniony, z czołem pokrytem kroplami potu, musiał uklęknąć.

— To jest przerażające... — wyszeptał — któżby się mógł oprzeć tej sile?

— Nauka jest potężną władczynią! — rzekł Ralf poważnie.

— Widzisz pan więc — rzekł Boleński — że gdyby nasz przyjaciel nakazał panu myśla, pójść po ten wielki nóż, który leży na stole i uciąć nim głowę Zarułkowi, który słucha nas tak uważnie, musiałbyś pan usłuchać! Oto już nawet ulegasz nieświadomie jego woli..

Jakoż Jerzy, blady śmiertelnie, z zaciśniętymi ustami i twarzą kurczowo skrzywioną, kierował się sztywnym i automatycznym krokiem ku wielkiemu nożowi.

Westchnąwszy głęboko, wziął go w rękę i począł iść ku murzynowi, który się cofnął z przestrachem. Już był przy nim, już wznosił nad jego głową rękę uzbrojoną, kiedy wzrok kapitana zatrzymał mimowolnego zabójcę, który skamieniał w tej postawie, podczas, gdy twarz jego wyrażała znużenie i niewypowiedziane cierpienie.

— Proszę na wszystko, powstrzymajcie te straszliwe doświadczenia... To, co czuję, jest okrutnem... Mam uczucie jak gdyby ktoś zamieszkał we mnie i zabrał mi moją wolę, myśl, ciało... Wierzę teraz we wszystko, co czytałem o opętaniu przez duchy!

— Z tą różnicą—rzekł inżynier—że te objawy kierowania cudzą wolą i ciałem, mogły być dawniej udziałem tylko nader nielicznych jednostek i wymagały szczególniejszego zbiegu okoliczności, my zaś możemy je powtarzać w każdej chwili i z największą łatwością.

— Nie myśleliśmy, aby te doświadczenia, zadziwiająco istotnie, były dla pana tak przykre — mówił Ralf — chcieliśmy tylko dowieść panu, że dostanie się na Marsa, nie jest bynajmniej niedościgłym marzeniem.

— Teraz wierzę w to najzupełniej — zawołał Jerzy, który zaczynał przychodzić do siebie po doznanym wysiłku wskutek próbowania oporu woli kapitana.

— A teraz uważaj pan—rzekł Boleński—pokażemy panu coś jeszcze ciekawszego!

Szepnął Zarukowi słów kilka, a ten nacisnął guzik elektryczny na jednej ze ścian i natychmiast w oszklonym dachu tarasu usunęła się jedna z szyb, pozosta-

wiając dość duży otwór. Wtedy inżynier wyjął ostrożnie ze skrzyni rodzaj szklanego wrzeciona, cieńszego w obu końcach i trzymając je w dwóch palcach, zbliżył się do kapitana, który zaczął na nie patrzeć.

Po kilku minutach najgłębszego milczenia Boleński otworzył rękę, a szklane wrzeciono wleciało jak strzała do góry z lekkim świstem i znikło w otworze dachu.

Jerzy patrzył na to zdumiony, pogrążony w chaosie myśli..

Tymczasem [kapitan, oswobodziwszy się ze swego kasku, podszedł, mówiąc:

— Widzę, że te małe doświadczenia zrobiły na panu pewne wrażenie: ale to jest niczem wobec tego, czego możemy dokazać!

Darvel skłonił się z szacunkiem.

— Pozwól mi pan podziękować sobie za zaszczyt, którego dostąpię, będąc dopuszczonym do tych zdumiewających prac naukowych — rzekł.

— O, jestem pewnym, iż pozyskamy w panu dzielnego współpracownika!

— Radbym nim zostać — rzekł skromnie Jerzy, choć nie wiem, czy się przydam na co tak wielkim, jak panowie, uczonym.

Kapitan nic nie odpowiedział: Jerzy zdobył jego sympatję odrazu i zrobił na nim wrażenie, iż nie należy do zwykłych «zjadaczy chleba», lecz do grona wybranych, którzy wyróżniają się polotem myśli i zdolnościami obserwatorskimi.

Podczas chwilowego milczenia wzrok Jerzego spoczął na pysznym brązowym posągu, stojącym pośrodku laboratorium. Na podstawie z czarnego onyxu, wznoszący się

siła się postać młodzieńca, trzymającego w jednej ręce dzwonek, w drugiej tabliczkę, utrzymaną w stylu Odrodzenia. Wargi były nieco rozchylone, jakby miały za chwilę przemówić.

— Podziwiasz pan ten posąg? To arcydzieło rzeźby francuskiej służy nam do porozumiewania się ze światem: piękne kształty kryją w sobie przepyszny aparat telefoniczny. Jest to księżęca fantazja miss Alberty i kosztowała piękną sumkę! — rzekł Ralf.

— Rzadko można widzieć coś tak pięknego! — rzekł Jerzy.

— Nic dziwnego: bronz ten jest jedną z ostatnich prac słynnego Falguière'a, mistrza wdzięku... Twarz wyraża niepewność i oczekiwanie posła, który przybywa z nowiną sobie samemu nieznaną.

W tej chwili dźwięk dzwonka przerwał mu mowę, a zaraz potem usta posągu przemówiły głosem wyrażonym i miłym:

— To ja, Alberta... Czy nie przeszkadzam panom w jakiej ważnej pracy?

— Bynajmniej! — zawołał Ralf, zbliżając się do trzymanej przez posąg tabliczki — mam nadzieję, iż zdrowie dopisuje pani, jak zawsze i że nie miała pani żadnych przykrych przygód?

— Wszystko idzie wybornie; ukończyłam swoje sprawy na Malcie prędzej, niż myślałam i jutro «Conqueror» wypływa na pełne morze; spodziewam się wieczorem być już w willi.

— Czy pani życzy sobie zawiadomić o tem Kerifę?

— Dziękuję panu, już jest zawiadomioną i przyjedzie samochodem do przystani... Ale zapomniałam spytać, czy pan Jerzy Darvel przybył?

— Owszem, pani, jest tu już od trzech godzin.

— Proszę mu powiedzieć, iż czuję się szczęśliwą, że będziemy go mieli w naszej pustelni i że z radością go powitam! Muszę jednak pożegnać panów, gdyż czeka na mnie jeszcze kilku interesantów i adwokat dla rozmowy o procesie, wytoczonym mi przez rząd Transvaalu...

Posąg umilkł, a Jerzemu zdawało się, iż jeszcze słucha melodyjnego i świeżego głosu, brzmiącego przed chwilą.

— Może pan chciałeś z nią porozmawiać? Ale jutro tu będzie, a dziś, jak pan słyszałeś, jest bardzo zajęta. W swoich podróżach dla spraw majątkowych, nie ma chwili wytchnienia; rzeczywiście, trzeba mieć tak wyjątkowo tęgą głowę do interesów, jaką ona posiada, aby mózg skutecznie bronić swoich miliardów, przeciw zakusom różnych finansowych spekulantów!

— Zresztą sam pan ocenisz jej wyjątkowo przenikliwą inteligencję — dodał kapitan.

— Czy i w sprawach naukowych?

— Tak jest. Zdumiewa nas czasami śmiałością a zarazem ścisłością swoich spostrzeżeń. Niestety, będzie ona dla nauki straconą, gdy zostanie szczęśliwą małżonką pańskiego brata!

Jerzy pograżył się w milczeniu. Obecnie, gdy wrażenie, wywołane zdumiewającymi doświadczeniami, nieco przeminęło, myślał o olbrzymiej przestrzeni, dzielącej Roberta od rodzinnej planety i znów ogarnęło go zwątpienie.

III. Uczta Lukullusa.

W willi obiadowano o szóstej wieczorem. Dokładny podział czasu, ściśle przestrzegany, sprzyjał pracowitemu życiu naszych przyjaciół. Na dźwięk gongu indyjskiego, czterej mężczyźni udali się do jadalni o kolumnach cedrowych, zdobnych rzeźbami, wybitej skórą korduańską, wytłaczaną w złociste desenie. Bogate kredensy mieściły arcydzieła sztuki złotniczej, cenne porcelany i kryształy z dawnych i terażniejszych czasów.

Ten przepych, połączony ze smakiem artystycznym, zrobił wielkie wrażenie na Jerzym; onieśmielony nieco usiadł na jednym z pysznych hebanowych krzeseł, zdobnych w inkrustacje z konchy perłowej i koralu. Były one ocalone przed rabunkiem, jakiemu uległ pałac brazylijskiego cesarza, Don Pedra i znalazły tu bezpieczne schronienie.

Uwagę Jerzego zwróciło złociste koło, obracające się pod sufitem.

— Jest to wentylator, będący ostatniem słowem wykwinu i nowoczesnej techniki — rzekł Boleński — w obwodzie tego koła są otwory, przez które wydziela się lodowaty powiew, wychodzący z rezerwoaru z powietrzem płynnem, umieszczonego w środku koła. Tym sposobem podczas największych upałów mamy tu czyste i chłodne powietrze.

— Widzę, iż i elektryczność ma tu różnorodne zastosowanie.

— Tak, i oszczędza w znacznym stopniu pracę służby, np. jedna mała winda dostarcza wprost z kuch-

ni gorące potrawy, druga, z piwnicy, mrożone wina i inne napoje.

Jerzy czytał z roztargnieniem spis potraw, zawierający oprócz wykwintnych dań europejskich, specjały kuchni miejscowej, jak pasztet z mureny z białemi truflami tunetańskimi, wątróbki bażancie, czyżyki pieczone w liściach mirtu i inne osobliwości gastronomiczne.

— Ależ to, doprawdy, prawdziwa uczta Lukullusa! — zawołał z komiczną rozpaczą młody człowiek, któremu Ralf przysuwał półmisek z delikatnem, parującym pieczysem.

— Nie mówilbyś pan tego — zgromił go naturalista — gdybyś wiedział, co będziemy spożywać za chwilę! Będzie to ulubiona potrawa tego smakosza: potrawka z języków flamingów — rzecz przepłacana przez starożytnych rzymian na wagę złota!

— Rzeczywiście, ten przysmaczek musi kosztować sumy szalone, gdyż te ptaki z trudnością dają się podejść. Arabowie, uchodzący za najlepszych strzelców, rzadko kiedy zabić je mogą.

— To prawda, ale w tych dniach cała gromada tych ptaków, zagnana burzą, spadła na jeden z pobliskich stawów: krajowcy zabili ich kilkadziesiąt, które zakupił natychmiast mister Frymcock, nasz kucharz. Jest to znakomitość w swoim rodzaju... Przystudjował wszystko z literatury starożytnej, co ma związek z kuchnią i nie dziwiłbym się, gdyby zaczął to tłumażyć!

Pitcher wymówił te słowa z zachwytem, nasuwającym [myśl, iż nie był [obojętnym dla zalet dobrej kuchni.

— Oby tylko nam nie podał słowicznych języczków, posypanych proszkiem z pereł i brylantów, jak to u Lukullusa bywało! — rzekł, śmiejąc się, Jerzy.

— On i do tego byłby zdolnym! Czy pan uwierzysz, że urządził kiedyś polowanie na rekina dlatego tylko, że potrzebował jego pletw, które są jedną z koniecznych przypraw do zupy z gniazd jaskółczych...

— Ależ to niepośledni oryginał! Po tem, co słyszę o nim od pana, chciałbym go poznać.

— To będzie łatwo; tylko muszę pana uprzedzić, iż jest on, jak większość artystów, nader próżnym i zręczną pochwałą można go sobie zjednać odrazu.

Historja jego jest dość niezwykłą i sądzę, iż mogę ją opowiedzieć bez niedyskrecji.

Pochodzi on z hrabstwa Sussex i jest jedynym synem lorda angielskiego. Studjował chemję w uniwersytecie oksfordzkim, a mając lat dwadzieścia, pisywał do pism specjalne artykuły z tego zakresu. Upatrywano w nim przyszłą znakomitość — gdy rzeczy wzięły nieprzewidziany obrót.

Stary lord umarł nagle, a syn ujrzał się posiadaczem olbrzymiego majątku. Pierwszym użytkiem z tego bogactwa było wydanie dla trzydziestu swoich przyjaciół kolosalnego bankietu, o którym dzienniki angielskie rozpisywały się, jako o bezprzykładnem szaleństwie w dziejach gastronomji.

— Gdzież się to odbywało, na lądzie czy na morzu?

— W olbrzymiej halli, zamienionej na ogród, pełen najrzadszych kwiatów i roślin. Stoły były zastawione między krzakami róż, magnolji, mirtów i jaśminów, a setki podzwotnikowych ptaków i motyli ożywiały te zaczarowane gaje. Młody lord pragnął, aby ta sardana-

palowa uczta zadowoliła wszystkie zmysły biesiadujących i nie zaniedbał niczego w tym kierunku.

— Cóż było dla słuchu?

— Orkiestra, ukryta w krzewach, towarzyszyła każdemu daniu odpowiednią muzyką, pisaną specjalnie przez najświetniejszych artystów.

— Nie rozumiem tego dokładnie... — rzekł Jerzy.

— Zaraz to panu wytłomaczę: np. przy zupie z zielonego żyta grano śliczną pasterską melodję, na fletach, gitarach i obojach. Kompozytor uwydatnił w tym utworze budzenie się wiosny na stepie rosyjskim, falowanie traw za podmuchem wiatru i tęskne choć nieco monotonne pieśni ludowe, wykonywane na bałałajkach. Ho-marom, podanym na sposób amerykański, towarzyszyła melodja «Yankee doodle» przy towarzyszeniu trąb, podrzymywanych i prowadzonych potężnym głosem organów, naśladującym świst wiatru i ryk burzy.

— Jakąż muzykę miał plum — pudding? — spytał, śmiejąc się Jerzy.

— O, nie śmieć się pan, proszę! Byłem jednym ze szczęśliwych biesiadników i mogę pana zapewnić, iż wrażenie tej muzyki było najwspanialsze, jakie sobie można wyobrazić. Plum-puddingowi towarzyszyła kolenda staroświecka, którą się śpiewa na Boże Narodzenie, połączona z narodowym hymnem angielskim i ulubioną przez anglików rzewną pieśnią: «Home, sweet home»... Każde danie było uroczyście wnoszone przez służbę odpowiednio przybraną — i tak: ryby morskie z rodzaju płaszczy (turbot) ulubione niegdyś przez Domicjana, podane były przez rzymian, poprzedzonych przez liktorów i złote orły; comber sarni podawali paziowie w strojach średniowiecznych, przy odgłosie rogów

myśliwskich. Trąbę słoniową, gotowaną w sosie ostrym i korzennym podawał książę murzyński, otoczony bogatym orszakiem, a słodczyce i ciasta przynosiły malutkie paryżanki, ucharakteryzowane za margrabiny, w białych peruczkach.

— Cóż za pomysły! — śmiał się Jerzy.

— Tak, to było ciekawe widowisko! Kawa i likiery podane z bajecznym, iście wschodnim przepychem, zakończyły ucztę, podczas której na urządzonej w głębi scenie, grano i wykonywano tańce różnych narodów. Ta nieporównana uczta trwała cały dzień i połowę nocy, lecz nikt z biesiadników nie uwierzyłby temu: czas ten przeszedł jak jedna chwila.

— Jedno mię zadziwia — zauważył Jerzy — jak mogli biesiadnicy jeść i pić tak długo, nie odczuwając skutków swego nieumiarkowania.

— Wszystko to było przewidziane. Przy każdym nakryciu stał mały flakonik z ekstraktem wynalazku naszego amfitrjona. Kilka kropli tego płynu, którego główną częścią składową musiały być pepsyny, przyspieszało nadzwyczajnie trawienie i przywracało biesiadnikom pierwotny apetyt.

— Lecz czyż ten eliksir niszczył równie skutki mocnego wina?

— Najzupełniej; przez cały czas uczyty obecni zachowali wesołe usposobienie i najzupełniejszą przytomność: żadna nieprzewidziana przyгода nie zepsuła nam tej pięknej uroczystości gastronomicznej.

— Jakież były dalsze losy szanownego gospodarza?

— Przez jakiś czas potem podróżowałem po Indjach; gdy wróciłem, lord Frymcock był już zupełnie zrujnowanym.

Po opisanym przezemnie festynie, nastąpiły inne i cała jego ojcowizna ulotniła się z dymem kuchennym.

Nie dosyć na tem: ktoś rzucił na niego oszczerstwo, iż na owej uczcie podaniem było mięso ludzkie. Nie było w tem ani cienia prawdy, w co wierzę najmocniej, jednak biedny lord przebył czas jakiś w zamknięciu, pod zarzutem ludożerstwa i utracił dobrą opinię.

— Cóż było dalej?

— Po wyjściu z więzienia, przyjaciele, podejmowani nigdyś z takim przepychem, odwrócili się od niego a i pospółstwo było przeciw niemu, nazywając go Kannibalem. Gdy go spotkałem, myślał poważnie o sarmobójstwie. Starałem się go odwieść od tego zamiaru i pocieszyć, a ponieważ byłem pewnym, że taki człowiek musi zainteresować miss Albertę, opowiedziałem jej jego historję.

Uśmieła się do łez, a w parę dni lord został zaangażowanym jako kuchmistrz, na królewskich warunkach. Teraz robij, co mu się podoba, w wydatkach nie jest zupełnie krępowanym i żywi nas przepysznie!

— Właśnie przechodzi, widzisz go pan? — dodał Boleński, pochylając się w stronę okna.

Jerzy zbliżył się szybko, spodziewając się zobaczyć figurę okrągłą, jowialną, nieco apoplektyczną, gdy tymczasem spostrzegł człowieka wysokiego a chudego o twarzy żałosnej, wargach cienkich, idącego powoli, jakby pochłoniętego jedną wyłączną myślą.

— Powierzchność jego nie odpowiada wyobrażeniu, jakie pan sobie o nim utworzyłś, nieprawdaz? Ma on wygląd arcysmutny, lecz pomimo tego jest dobrym kolegą i wesołym towarzyszem.

Jerzy usiadł na dawnem miejscu, obiecując sobie

w duchu, że postara się jaknajprędzej poznać z lordem-kuchmistrem.

Teraz dopiero spostrzegł, iż kapitan nie dotknął żadnej z potraw, któremi się oni obaj raczyli, lecz odżywił się w najdziwaczniejszy sposób.

Miał przed sobą rodzaj apteczki, zawierającej mnóstwo małych flakoników, oraz talerz różowej galarety i karafkę, napełnioną fioletowym płynem.

Kapitan brał na łyżkę nieco galarety, dodawał kroplę płynu z flakonika i zjadał to z apetytem. Od czasu do czasu nalewał do szklanki płyn fioletowy i po dodaniu doń również kilku kropli z tajemniczych flaszek, wychylał z przyjemnością ten napój.

Darvel przyglądał się temu w milczeniu, wreszcie kapitan, widząc jego zdumienie, rzekł:

— Widzę, że mój sposób obiadowania zadziwia pana; niema w tem jednak nic nadzwyczajnego. Postępuję tylko logiczniej niż inni, jedząc tak, jak za lat sto lub dwieście, jeść będą wszyscy. Ta różowa galareta, przygotowana chemicznie, zawiera w sobie wszystkie pierwiastki, potrzebne do należytego odżywiania organizmu, bez żadnej domieszki innych, bezpożytecznych lub nawet szkodliwych, znajdujących się w pokarmach zwierzęcych i roślinnych.

— Skromna uczta! — zauważył żartobliwie Jerzy. — Wyznaję, że co do mnie, to wolę arcydzieła lorda Frymcock.

— Zdaje mi się, że jesteś pan w błędzie: dzięki tym ekstraktom, zawartym we flakonikach, moja vitalosa (tak się nazywa pokarm przezemnie używany) przybiera smak, jaki chcę jej nadać:

Jerzy ze zdumieniem wyczytał na flaszeczkach napi-

sy: «ekstrakt rybny», «ekstrakt z wędliny», «ekstrakt z kuropatw», dalej szły ekstrakty z homara, ze zwierzyzny, migdałowe, mleczne i t. d. Wszelkie możliwe potrawy znajdowały się tam, zamienione w mocne, skoncentrowane wyciągi.

— Może pan chcesz spróbować skrzydelka z bażanta? — spytał kapitan ze spokojnym uśmiechem.

I podał młodemu człowiekowi łyżeczkę galarety z kroplą ekstraktu. Jerzy z niejakim wahaniem wziął do ust ów podejrzany pokarm, lecz po chwili przyznał, że złudzenie było zupełnem — czuł smak bażanta!

— W ten sam sposób — rzekł kapitan — nadaję temu płynowi w karafce smak napoju, jakiego zażądam.

— Musisz pan być dumnym z tej wyższości nad resztą śmiertelników?

— O, nie zależy mi wcale na tem! Jest to pewnego rodzaju doświadczenie naukowe, które wykonywam na sobie samym i jestem pewnym, że takie odżywianie przyniosłoby świetne korzyści pod względem ekonomicznym. Mała zaś objętość pokarmów wymaga bardzo małego żołądka; a ponieważ liczne operacje sławnych chirurgów, dowiodły, że można się obywać bez niego...!

— Więc co? — spytał Jerzy z uśmiechem.

— Więc żołądek stanie się stopniowo organem zbytecznym i zacznie zanikać. Jestem pewnym, że człowiek, po milionach lat, zostanie oswobodzonym od kłopotliwych narządów trawienia, udoskonalone zaś maszyny zastąpią mu ręce i nogi...

— A zatem, podług pana, człowiek przyszłości będzie tylko duchem?

— Nie, lecz mózg jego dojdzie do znacznej objętości kosztem innych organów, które przestaną istnieć..

Tu rozmowa przybrała kierunek naukowy, a Jerzy dał w niej poznać swe rozległe wiadomości we wszelkich gałęziach wiedzy.

Zaczął później mówić o Robercie; Jerzy, ze wzruszeniem, którego nie usiłował nawet ukrywać, opowiadał, jak brat starszy był dobrym i troskliwym dla niego. Gdy tylko zarobił jaką kwotę, odkładał z niej zawsze część dla Jerzego, aby mógł skończyć nauki, a i potem czuwał nad nim z najżywszem zajęciem.

— Brat mój—rzekł w końcu—uskutecznił nadludzkie przedsięwzięcie, które nazwisko nasze okryje chwałą. Oddałbym ją jednak wzamian za jego powrót!

— Człowieku małej wiary! — zawołał Boleński — przecież powtarzam, że go odnajdziemy! Widziałeś już pan, co potrafimy: czy powątpiewasz o naszych zdolnościach?

— O nie! Jeśli ten niestłuchany zamiar może być spełnionym, to jedynie tylko przez panów; jest to mojem głębokiem przekonaniem i proszę mi wybaczyć tę chwilę zwątpienia!

— Nie myśl o tem! Znamy dobrze wszyscy te chwile nadziei i niepewności, a pan przecież znasz dotąd zaledwie małą cząstkę naszych odkryć...

— Chodźmy popatrzeć na Marsa! — rzekł Pitcher.

— Zgoda! — odparł kapitan.

Po chwili wszyscy czterej zasiedli na wyższym tarasie willi; nad ich głowami rozpościerało się szafirowe sklepienie nieba utkane błyszczącemi gwiazdami. Ciemny las, otaczający willę, zdawał się wdychać z rozkoszą, po dniu upalnym, chłód nocny. Ciszę

przerywało tylko niekiedy wycie hjeny lub szczekanie psa z odległych wiosek arabskich.

Na niebie czystem i pogodnem, bez żadnej chmurki, czerwony blask Marsa zdawał się żywszym i wyróżniał go z pomiędzy innych planet. Podziwiano go długo w milczeniu. Bezwiednie, każdy z mężczyzn myślał, że Robert w tej samej chwili patrzył na Ziemię, która również dla niego była tylko drobnem światełkiem, migocącym w niezmierzonej przestrzeni.

Wtem Jerzy wyciągnął rękę ku niebu.

— Gwiazda spadająca! — zawołał. — A oto druga, trzecia... Jest to prawdziwy fajerwerk niebieski!

W istocie, teraz przelatywały całemi dziesiątkami, zostawiając ślad jasny, lecz gasnący natychmiast.

— W moim kraju — rzekł Boleński — lud wierzy, iż to są dusze zmarłych, lecące do nieba po odcierpieniu kary czyśćca.

— Prawda jest niemniej poetyczną — rzekł Jerzy. — Te gwiazdy, spadające w pewnym, stałym czasie, są odłamkami dawnych planet, zniszczonych po długich wiekach krążenia. Rzucone potężną siłą w ciemne, międzyplanetarne przestrzenie, wpadają w końcu w sferę przyciągania Ziemi. Tarcie o warstwy powietrza rozgrzewa je tak, że świecą jak gwiazdy, choć w rzeczywistości są tylko zwykłemi bolidami.

— Kto wie, czy niektórych z nich nie wyrzuciły wulkany Marsa? — rzekł Ralf zamyślony.

I rozmowa weszła znów na tor ściśle naukowy. Czemużby ludzie nie mieli się dostawać z jednej planety na drugą, jak te bezwładne odłamy? Niektóre z nich ważyły przecież do czterechset kilogramów, a jednak powierzchnia ich została nienaruszoną, nie

były ani spękane, ani stopione wskutek rozpalenia. Nie jest-że to dowodem możliwości komunikacji międzyplanetarnej? Wówczas, gdy będzie zbudowanym pocisk, posiadający odpowiednią siłę rzutu, zagadnienie to rozwiązaniem zostanie.

Niezbita logika tego rozumowania dodawała otuchy Jerzemu.

Późno już było, gdy się rozeszli na spoczynek; Jerzy, wyczerpany tyłu nowemi wrażeniami, usnął natychmiast, a we śnie widział Roberta, wracającego na Ziemię wozem fantastycznego kształtu, ciągnionym przez gwiazdy spadające i wypełnionym różnemi osobliwościami marsyjskimi. W końcu usnął mocniej i marzenia pierzchły.

IV. Niewidzialny.

Jerzy Darvel zbudził się z uczuciem szczególnej rzeźwości. Zdawało się, iż noc odjęła mu wszelki niepokój, wahanie i zniechęcenie. Czuł się zdrow i silny ciałem i umysłem i pragnął teraz dokonać czegoś wielkiego, co byłoby godnem jego brata — odkrywcy nieznanych światów.

Myśląc o ułatwieniu wszelkich trudności w pracach naukowych, przez hojność miss Alberty, czuł dla niej wdzięczność głęboką, i przysiągł sobie, iż się okaże godnym tak szczęśliwego losu.

Zajęty temi myślami zeszedł do laboratorjum bardzo wcześnie, zastał tam już jednak kapitana przy pracy z nieodstępnym Zarukiem.

Murzyn zapomniał już o wczorajszym przestrichu,

witając Jerzego ze wschodnią, nieco przesadną grzecznością. Kapitan w rozmowie badał zręcznie Jerzego, chcąc wypróbować jego wiadomości z fizyki, radiografji, chemji i kosmografji, poczem poczynił mu pewne zwierzenia...

Oto poszukując wyjaśnienia tajemnicy Roberta, poczynił ciekawe odkrycia, co było po części przyczyną, iż ich ekspedycja na Marsa była jeszcze nie gotową.

Przez dzień cały Jerzy pracował z zapalem, a trzej uczeni zdumiewali się nieraz bystrością jego spostrzeżeń, jasnością w rozwiązywaniu zawitych kwestji. Był prócz tego świetnie obeznanym z pracą w laboratorjach, co jest koniecznem dopełnieniem wiedzy książkowej.

Dnia tego upał był nadzwyczajnym: powietrze było skwarne, duszące — i wentylator ze skroplonem powietrzem był ciągle czynnym, gdyż bez tego trudno byłoby oddychać.

Tego to właśnie popołudnia zaszedł jeden z najdziwniejszych fenomenów, jakie zapisały kroniki naukowe.

Kapitan tłumaczył właśnie Jerzemu jedno ze swych odkryć.

— Widzisz pan tę banię szklaną? Płyn, wypełniają ją, ma własność ukazywania nam pewnych promieni ciemnych, przechodzących przez niego; np. promienie X są za jego pomocą widzialne całkiem dokładnie...

Tu nastąpiła w uczonym wykładzie przerwa: był to głos Zaruka, pełen nadludzkiej trwogi i zgrozy.

— Dżinn! dżinn! — powtarzał głosem ochrypłym, wskazując banię, której zawartość, dotąd przejrzysta, była zmaconą i zdawała się falować.

Jerzy spostrzegł na jego twarzy ową ziemistą, szarawą bladłość, która u murzynów jest oznaką najwyższego przestachu. Czterej uczeni patrzyli nań ze zdumieniem, on zaś odsuwał się jaknajdalej od bani; kędzierzawe włosy jego zjeżyły się do góry, a oczy wytrzeszczone, błędne, straszne, zdawały się wychodzić z orbit.

— Panie... panie... — szeptał pobladłymi wargami.

— Co ci jest, niedołego? — zawołał Ralf — mów-że przecie! Czyś oszalał... co ci się stało?

Lecz murzyn zdrętwiałym językiem bełkotał jakieś słowa bez związku.

— Uspokój się — rzekł naturalista łagodnie — i powiedz, co cię tak przestraszyło? Mówiłem ci przecie nieraz, że nie trzeba poddawać się strachowi!

Zaruk energicznie pokręcił głową na znak przeczenia. Nogi się ugięły pod nim i jak gdyby odpychany niewidzialną siłą, cofał się w tył, mając oczy utkwione w banię, która w promieniach słonecznych iskrzyła się i migotała.

— Wpadł w halucynację — nic innego! — zawołał Boleński, zdenerwowany przestachem negra.

Dodać trzeba, iż cierpliwość nie należała do rzędu jego zalet.

Lecz Ralf ścisnął go silnie za rękę.

— Cicho! — szepnęła z najżywszem wzruszeniem — któż wie, czy ten ślepy nie jest obdarzony wyjątkową zdolnością widzenia istot, których nasz wzrok, przytępiony zbyt mocną jasnością dzienną, dostrzedz nie może? Myślałem nieraz nad tem: jeśli istnieją promienie X, dlaczego nie miałyby istnieć jakieś niewidzialne

istoty X? Przypuszczenie to jest śmiałe, można go jednak dowieść...

Kapitan nie słuchał dłużej: poskoczył ku wynalezionemu przez siebie przyrządowi optycznemu, a zbudowanemu specjalnie dla badań promieni X. Był on skierowanym ku szklanej bani, której zawartość rozświetlał i powiększał zarazem.

— Ach, gdyby to było możebnem... — szepnęła Ralf.

— Zaraz się dowiemy — odrzekł kapitan głosem wzruszonym.

Dotknął guzika elektrycznego i natychmiast ciężkie pluszowe zasłony zakryły szczelnie szklane ściany laboratorium: nastąpiła zupełna ciemność.

Kapitan schylił się i popatrzył przez soczewkę aparatu. Pomimo jednak, iż był zapalonym badaczem i mógł tryumfować, widząc swoje domysły sprawdzonymi — odskoczył, zdjęty przerażeniem i zgrozą, drżąc całym ciałem. Ralf, który spojrział przez soczewkę zaraz po nim, był nie mniej wzruszonym: cofnął się z takim pośpiechem jak gdyby nadeptał na jadowitego węża...

W tej chwili ozwał się dźwięczny głos z telefonu:

— Mówię ja, Kerifa.

— Czego chcesz, moje dziecko? — spytał kapitan bezdźwięcznie — jesteśmy w tej chwili nadzwyczaj zajęci...

— To lord Frymcock chce mówić z panem...

— Właśnie mi on w głowie teraz! Nie mam czasu na rozmowę o sprawach kuchni; niech przyjdzie później, albo niech czeka... niech zresztą zrobi, co mu się podoba!

I nie czekając na odpowiedź, odszedł od telefonu.

Podczas tej rozmowy Jerzy spojrział w aparat.

To, co ujrzał, było tak dziwnem i straszem, iż usprawiedliwiało zupełnie przestach kapitana i Ralfa.

W fosforyzującym płynie, wypełniającym banię, widniała nieruchoma, potworna istota, podobna do skurzonego głowonoga, lub ogromnej źrenicy w orbicie oka.

Była to masa szarawa, zaledwie naszkicowana: w olbrzymiej głowie tkwiły oczy wielkie, bez źrenic — nos duży, ślad uszu; usta wielkie i bardzo czerwone.

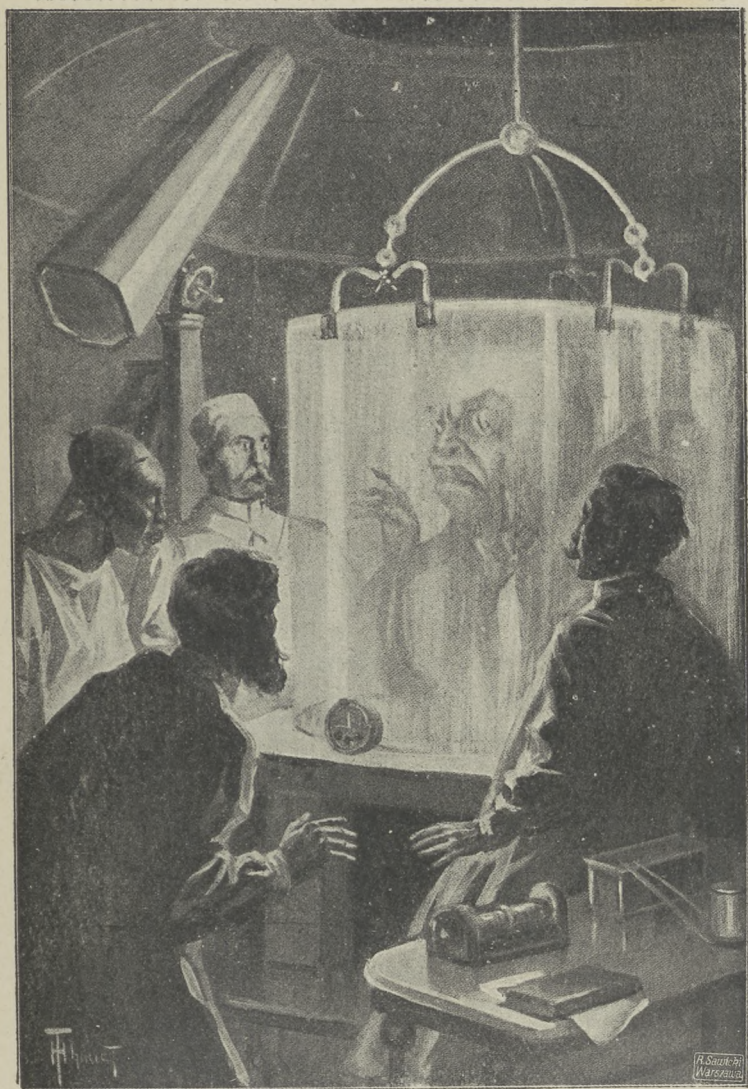
Głowa ta przechodziła wielkością trzykrotnie głowę ludzką; ciała brakowało zupełnie, tylko pod tą masą galaretowatą opuszczały się na dół w powolnych ruchach jakieś pletwy, macki, czy ramiona.

Ta dziwna i wstrętna istota nie reagowała wcale na obecność ludzi: może nie odczuwała jej nawet.

Po pierwszym odruchu przerażenia, Jerzy zbliżył się, aby się przyjrzeć straszdydu dokładniej: wtedy zauważył po obu stronach głowy jakieś brudno-białe płyty, wyglądające jak zwinięte skrzydła. Nadawały one temu skrzydłu pozór motyla, wyjętego przedwcześnie ze swej poczwarki. Jerzy pomyślał z dreszczem obrzydzenia i wstrętu, że taką to larwę straszliwą musiał odczuć Zaruk w lesie Ain-Draham — i wziął za «dzinna» (złego ducha).

Teraz w obiektyw patrzył Ralf, zdyszany, z czołem pokrytem kroplami potu; doświadczał szalonej radości, oraz niesłychanej odrazy, lecz nie mógł oderwać wzroku: spojrzenie potwora formalnie go hipnotyzowało... Dołączało się do tego uczucie gorzkiego rozczarowania.

Więc to tak wyglądały owe niewidzialne istoty X, o których tyle marzył, wyobrażając sobie, iż są piękne i mgliste jak elfy i ondyny, subtelne i delikatne...



...W fosforyzującym płynie, wypełniającej banię, widniała
nieruchoma, potworna istota...

A. Szwed
Warszawa

To, co widział, przyprawiało go o mdłości.

Czyżby te odpychające stworzenia, te wstrętne mikroby o twarzy szatańskiej, zaludniały otchłanie nieba i morza — będąc niewidzialnymi dla oczu ludzkich?

Myśli te nasunęły się zapewne wszystkim uczonym; wszyscy czterej stali milczący, w słabem świetle fosforującego plynu.

Może żalowali teraz, iż uchylili rąbek zasłony, kryjącej tyle tajemnic?...

Boleński starał się wymyśleć sposób pochwylenia straszdyła.

W tej chwili zapukano lekko do drzwi.

— Któż tam, do licha! — zawołał kapitan — nie można mieć ani chwili spokoju!

Zapukano powtórnie.

— Kto tam? — zawołał niezbyt uprzejmie Ralf.

— To lord Frymcock — rzekł bojaźliwie Zaruk.

— Wpuść go, niech już raz się dowiemy, czego chce! Zresztą, ja się z nim prędko załatwię.

Mówiąc to, Ralf nacisnął guzik elektryczny, pluszowe firanki usunęły się, sfaldowały przy ścianach i natychmiast fala oślepijąco jasnego światła zalała wnętrze laboratorium. Wszyscy czterej mężczyźni odwrócili się prawie jednocześnie, patrząc na szklaną banię — lecz teraz plyn był kryształowo czystym, a padające nań promienie słońca zapalały w nim brylantowe i opalowe blaski.

Tymczasem lord Frymcock, przyodziały w elegancki garnitur wizytowy, wszedł do laboratorium; na widok przyrządów naukowych, o nieznanym mu kształtach, usta jego okolił pobłażliwy uśmiech.

— Panowie — rzekł uprzejmie — darujcie mi, iż

przerwałem wasze naukowe doświadczenia, lecz chciałem panów uprzedzić o tem, że miss Alberta, wbrew pierwotnemu zamiarowi, wróci bardzo późno. Odebrałem w tej chwili depezę z Malty, gdyż miss Alberta nie miała już czasu telefonować.

Tak mówiąc, lord nierozważnie zbliżył się do naczynia z płynem; wyciągnął po nad niem rękę, w pierścieniach której brylanty iskrzyły się kolorami tęczy.

— Nie zbliżaj się pan! — krzyknął Boleński — na miłość Boga, oddał się w tej chwili! Pan nic nie wiesz, wiedzieć nie powinieneś nawet...

Ostrzeżenie przyszło zapóźno: ręka lorda została nagle pochwyconą przez niewidzialnego potwora i zanurzona w płynie. Przerażony, z obłądnym wzrokiem, wzywał ratunku głosem ochryplym, lecz ręka pozostawała uwięzioną, a płyn zabarwił się krwią. Po chwili zbladł trupio, a oczy wyrażały trwogę, graniczącą z szaleństwem.

Jerzy i Boleński, po chwilowem osłupieniu, rzucili się na ratunek, lecz zaledwie z wielkim wysiłkiem udało im się wyrwać rękę ze strasznego uścisku.

Prawie w tejże chwili płyn się wzburzył: bryzgi i krople rozleciały się dokoła i jakaś niekształtna, mglista masa wyleciała w górę z szumem i pluskiem i znikła w otworze szklanego dachu. Zanim oprzytomnieli, Zaruk poskoczył i nacisnął guzik elektryczny: otwór zamknął się natychmiast. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a Ralf zawołał radośnie:

— Nareszcie się wynióś!

— Nie mamy się z czego cieszyć — odparł Boleński — stało się wielkie głupstwo! Mieliśmy teraz jedy-

ną sposobność: powinniśmy byli uwięzić to straszdyło. Obyśmy nie pożałowali tego zaniedbania!

— Tak, to możliwe! — mruknął kapitan — straciliśmy zimną krew i panowanie nad sobą... Ale na co się zdadzą wyrzuty? Co się stało, już się nie wróci! Lepiej zajmijmy się lordem, który jest w położeniu godnem litości...

Zbliżyli się więc do wpółomdłego biedaka: Ralf i Jerzy cucili go solami trzeźwiącemi, a on przychodził powoli do zmysłów. Ujrzeni wtedy ze zdumieniem, iż ręka cała była pokryta krwawiącemi, drobnemi rankami, umieszczonemi na grubszych żyłach.

Gdyby nie szybka obrona, lord byłby umarł wskutek utraty krwi, jak ci, których pochwyca potworna ośmiornica.

— Cóż, czy czujesz się pan lepiej? — pytał troskliwie Jerzy.

— Ó, tak! — odparł, westchnąwszy głęboko — i zaraz dodał: -- Cóż to za zwierzę szczególne, którego nigdy nie jadłem!..

— Brawo! — zawołał, śmiejąc się Ralf — kiedy już zaczyna rozprawiać o kuchni, będzie niewątpliwie zdrow! Przez chwilę obawiałem się, aby nie oszalał ze strachu: to też bardzo się cieszę, widząc, że mu się nic nie stało. Jeśli się panu uda kiedykolwiek, kochany lordzie, pochwyć tego potwora, zgadzamy się, aby był podanym z sosem, jaki sam uznasz za najstosowniejszy! Co do mnie jednak, oświadczam iż go nie skosztuję.

Podczas tej rozmowy, kapitan obmył zranioną rękę silnym środkiem antyseptycznym i nałożył bandaż.

Jak to było do przewidzenia, nikt po odejściu lorda nie myślał o wznowieniu doświadczeń. Wszyscy jesz-

cze byli pod wstrząsającym wrażeniem zaszłego dopiero co wypadku.

Po niejakiem czasie jednak zapał naukowy ogarnął ich na nowo; wyrzucali sobie teraz (jak to przewidział Boleński) wypuszczenie z rąk okazji, nigdzie nie zapisanego w ziemskiej historii naturalnej.

Wybadywano Zaruka, lecz ten, nie ochłonawszy jeszcze z przerażenia, dawał niejasne i powikłane odpowiedzi. Przekonanym był, iż w tę sprawę wdały się złe duchy, o których słyszał tyle i tak strasznych legend...

Kapitan skłonny był do uwierzenia, iż w tych podaniach jest jednak wiele prawdy: wieszczki, koboldy, błędne ogniki z bajek ludowych — te fantastyczne istoty, które znajdujemy w baśniach wszystkich narodów, były może właśnie tymi niewidzialnymi, wymykającymi się dociekaniom nauki?

Przypuszczenie, iż pewne organizmy posiadają własności wspólne z niewidzialnymi dla nas ciemnymi promieniami — nie mogło być zupełnie bezpodstawnem.

Można więc przyjąć, że źrenice Zaruka, osłonięte od mocnych wrażeń światła, posiadały niesłychaną wrażliwość i odczuwały promieniowania, których obecność, zaledwie najcudowniejsz obmyślane przyrządy są w stanie wykazać.

Tym razem hipoteza ta była popartą przez fakt niezaprzeczony, który miał miejsce w obecności poważnych świadków i pozostawił rzeczywiste ślady.

V. Katastrofa.

Na zwykłym swym miejscu, na tarasie willi, skąd roztaczał się widok na dolinę, Jerzy Darvel rozprawił z przyjaciółmi swymi o nadzwyczajnym wydarzeniu, którego byli świadkami. W ożywionej rozmowie, Jerzy dowiedział się o wielu wynalazkach, przez nich poczynionych, a będących dla ogółu jeszcze tajemnicą. Kapitan Wad odkrył promienie Z, pozwalające widzieć pokłady geologiczne w głębi ziemi, zapalać miny wybuchowe, palić okręty na odległość nieprawdopodobną.

Inżynier Boleński wynalazł i udoskonalił telefot, będący dla wzroku tem, czem telefon dla słuchu; dzięki jemu, baśń o zwierciadłach magicznych, pozwalających widzieć osoby oddalone, stała się rzeczywistością.

Opracował także plan urządzenia stacji leczniczych powietrznych, po nad obłokami, gdzie powietrze idealnie czyste, nasycane sztucznie ozonem i innymi gazami, będzie mogło, w nader krótkim czasie, uzdrawiać z wielu chorób.

Ralf Pitcher znów, pracując nad zagadnieniami siły elektrycznej bez drutu, miał już na ukończeniu wielki wynalazek: przenoszenie siły tej, jako motoru, na odległość. Rozstrzygnięcie tej kwestji sprowadziłoby zupełny przewrót w przemyśle, rzemiosłach i umiejętnościach: siła nieujarzmionych dotąd strumieni, huraganu i fal morskich zostałaby zużytkowaną na korzyść człowieka! Akumulatory aeroplanów i statków podwodnych byłyby zasilane z odległości, bez straty czasu.

Pomimo całego podziwu dla tych genialnych wynalazków, Jerzy nie mógł się oprzeć myśli, że gdyby

wcześniej nad tem pracować zaczęto, komunikacja międzyplanetarna byłaby już dziś faktem spełnionym!

Będąc z natury szczerym i otwartym, wypowiedział głośno swe przypuszczenia, a Ralf odrzekł:

— Drogi mój Jerzy — pogląd twój jest trochę dziecinny! Wiedza ludzka jest całością złożoną z wielu części, łączących się z sobą i dopełniających wzajemnie. Jak górnik w kopalni za odkrytą żyłą kruszcu, tak i mędrzec postępuje za nową prawdą—i wierz mi, nie my kierujemy wynalazkiem, lecz on nami.

— Możesz pan jednak być pewnym, że Mars nie ujdzie synom Ziemi i będzie zbadanym—dodał kapitan!

Rozmowa przeszła potem na kwestję niewidzialności, a kapitan wyznał, iż w młodości pytanie: jakim sposobem możnaby stać się niewidzialnym, zajmowało go silnie.

— Zmora niewidzialności — mówił — nawiedzała od wieków umysły ludzkie i to jest dla mnie dowodem możliwości jej urzeczywistnienia, gdyż każde marzenie, które możemy sobie wyobrazić dokładnie, prędzej czy później musi się spełnić. Umysł nasz nie mógłby sobie wyobrażać rzeczy, któreby nie mogła istnieć. Takie jest moje przekonanie!

— Tak jest — dodał Ralf — od początku dziejów człowieka, podania indyjskie, sanskryckie, egipskie mówią nam o bóstwach i cudotwórcach, którzy podług swej woli ukazują się lub znikają. Grek Herodot opowiada nam o pierścieniu Gygesa, w baśniach arabskich i perskich pełno mamy tych przygód. Cud ten dotąd nie przestał zajmować poetów i powieściopisarzy!

— Czy i w tem doszedłeś pan do jakiego prak-

tycznego wyniku? — spytał Jerzy z uśmiechem niedowierzania.

— Nie, lecz jestem pewnym, że to jest możliwem i zauważyłem wiele faktów, popierających tę hipotezę, której wydarzenie dzisiejsze dodaje nowej mocy. I rzeczywiście, jeśli przyroda wydaje twory niewidzialne, nie mamy żadnych danych na to, że tajemnica ta pozostanie na zawsze niezgłębioną. Nie mówiąc o cudach indyjskich fakirów, które sam widziałem, w niektórych chorobach nerwowych, sprowadzających wygórowaną drażliwość i nadczułość, chorzy nieraz czuli dotknięcie, a często uderzenia, zadawane im przez istoty, dające się wyczuwać — lecz niewidzialne. Któż nam dowiedzie, że to co nazywamy jasnowidzeniem, nie jest rzeczywistością, tylko o wiele subtelniejszą?

— Może przejdziemy do laboratorium — rzekł nagle Boleński — jest tu szalony upał, a tam płynne powietrze ochłodzi nas nieco... Jestem pewnym, że się zanosi na straszną burzę: nerwy moje drżą jak struny zbyt naciągnięte!

— I owszem — rzekł kapitan — od kiedy słońce zaszło i ja się czuję niedobrze; może mi tam będzie lepiej.

W tej chwili olbrzymia, szeroka błyskawica zajaśniała, oświecając skłębione, czarne chmurzyska, o brzegach postrzępionych, złocistych — mające pozór całunów pogrzebowych. Krajobraz widzialny przez chwilę na tle ognistem, znów znikł w ciemnościach. Powietrze było ciężkie, duszne od woni kwiatów, bez najłżejszego wiatru. Cała przyroda jakby zamarła w oczekiwaniu i ciszy, przerywanej tylko czasami płaczącym wyciem szakali, lub głosami innych drapieźców nocnych.

— Tak, wróćmy do laboratorjum — rzekł Ralf — doświadczam dziwnego ściśnienia serca... Gdybym był przesadnym, myślałbym, że grozi mi jakieś nieszczęście.

— Nie śmieście się państwo ze mnie — mruknął Boleński — ale mam wrażenie, że to wstrętne straszycło krąży wciąż przy nas!

Nikt się jednak nie śmiał, gdyż wszyscy odczuwali to samo, w mniejszym lub większym stopniu.

— Możebyśmy pojechali na spotkanie miss Alberty? — zapytał Jerzy, oddychając z trudnością w dusznym powietrzu.

— A to po co? — rzekł Ralf — automobil już wysłany na stację, droga nie jest niebezpieczną ani długą i jeśli tylko piorun nie uderzy...

Nie dokończył, przejęty jakąś nieokreśloną obawą. Po kilku minutach weszli do laboratorjum, gdzie wszystko zostało tak, jak było w chwili ucieczki nieznanego straszycła.

Inżynier zapalił lampy elektryczne i puścił w ruch wentylator.

— Czy chcecie — spytał — abym zasłonił okna?

— Nie trzeba! — odrzekł kapitan — będziemy mogli podziwiać burzę, która się zapowiada potężną: w chwilach, gdy się z trzech stron równocześnie widzi błyskawice, ma się wrażenie przebywania w piecu ognistym...

Przerwało mu mowę wejście Zaruka, który drżąc na całym ciele, z twarzą wystraszoną, niósł coś pod burnusem. Po wejściu natychmiast zamknął otwór w szklanym dachu, otwarty przed chwilą przez Ralfa.

— Co ci jest, Zaruk? — spytał Boleński.

Murzyn, zamiast odpowiedzi, rzucił coś na stół. Były to martwe zwłoki młodego szakała.

— Na coś to przyniósł, tchórze? — zawołał Ralf, lecz po chwili krzyknął ze zdziwienia.

Pogładziwszy futro zwierzęcia, uczuł pod ręką tylko miękki, bezwładny worek ze skóry, w którym był szkielet — ani śladu mięsa, krwi, żył!

Kapitan się zbliżył, a rozgarnawszy sierść za uchem szakala, ujrzał na skórze drobne, krwawe centki.

— Spodziewałem się tego — mruknął — takie same znaki miał na ręce lord Frymcock! Teraz już wiem, co to jest: ten szakal jest wyssany, pozbawiony krwi przez niewidzialnego!

— Albo przez niewidzialnych... Któż nam zaręczy, czy rodzaj ludzki nie będzie teraz napastowanym przez te potwory, wypłoszone ze swych odwiecznych kryjówek przez tępienie lasów, koleje, statki podwodne i aeroplany?

— A więc walka na śmierć i życie! — zawołał Ralf z zapalem. — Przecież i one muszą mieć jakąś słabą stronę — musimy więc ją znaleźć! Czyż warto być spadkobiercami całej wiedzy, geniuszu ludzkiego, ażeby dać się zwyciężyć w pierwszej walce z temi potworami! Upiory te mogłyby mieć powodzenie w starożytności, gdzie ciemni poganie wzięliby je za bóstwa — lub w ponurych mrokach średnich wieków, kiedyby uznano je za djabły — ale nie teraz. Wiedza uzbroiła nas przeciwko wszelkim wrogom, wszelkim katastrofom; niepodobieństwa nie istnieją dla niej!

— Owszem, nawet cieszyć się możemy, żeśmy pierwsi ujawnili te istoty — dodał Jerzy — jest to odkrycie wiekopomne!

Słowa te rozproszyły przygnębiające wrażenie, spowodowane przyjściem Zaruka; badano go już spokojniej.

Opowiedział szczegółowo, iż siedział pod drzewem w ogrodzie, używając poobiedniego wypoczynku.

Dzięki swemu kalectwu, słuch jego był nieprawdopodobnie bystrym i wrażliwym na niepochwytnie dla innych szmery i szelesty. Wtedy też usłyszał ruch miękkich skrzydeł, a wkrótce po nim przedśmiertne chrapanie jakiegoś zwierzęcia. Oblany zimnym potem, nie ruszał się z miejsca, odczuwając obecność straszliwego «dzinn'a».

Nakoniec, gdy wszystko ucichło, wyszedł i z łatwością odnalazł ciało szakala, zupełnie wysane, wtedy, dziwiąc się swojej śmiałości, pochwycił go i przybiegł do laboratorjum, szukając schronienia.

Gdy skończył mówić, zapanowało milczenie. Każdy rozmyślał nad tem nadzwyczajnem wydarzeniem.

— Te wstrętne istoty — rzekł wreszcie Boleński — muszą posiadać jednak potężną inteligencję; widzieliśmy zarysy jego czaszki, które dowodzą, że mózg dominuje swoim rozmiarem nad resztą ciała.

— Kiedyś, po setkach wieków — rzekł zamyślony kapitan — ludzie jednak staną się podobnymi do tych stworów; stopniowy rozwój da mózgowi olbrzymią objętość. Jest to ogólnie znanem, iż bezużyteczne organa zmniejszając się stopniowo, zanikają wkrótce zupełnie; na przykład u ludów cywilizowanych, duży palec u nogi, niegdyś długi i chwytny, maleje coraz bardziej. Podług wskazówek słynnego chemika Berthelot'a pokarm uproszczony chemicznie, spowoduje zmniejszenie objętości żołądka i kiszek, oraz uczyni udział wątroby w trawieniu — zbytecznym. U człowieka, odżywianego preparatami, wchłanianymi natychmiastowo prawie, przewód pokarmowy będzie coraz krótszym. Jest to dla

mnie pewnem, iż jeszcze później, będziemy równoważyć codzienne zużywanie się naszego ciała przez wprowadzanie odpowiednio przyrządzonych substancji wprost w arterje. Wtedy narzędzia trawienia przestaną być potrzebne i zanikną zupełnie.

— Jednakże — zauważył Jerzy — stopniowy zanik niepotrzebnych części organizmu u tych straszyleł, tak, iż zostały prawie samym mózgiem — nie tłumaczy wcale tego, iż są niewidzialnemi! Posiadają również, choć w stopniu pewnego zaniku: nos, oczy, uszy...

— Zaraz panu na to odpowiem. Niedawno pewien węgierski uczony, potrafił przywrócić wzrok niewidomemu człowiekowi, działając wprost na ośrodki mózgowe, rządzące nerwami ocznemi. Jest to cenna wskazówka, której następstwa mogą być nieobliczalne! Podług mego zdania, zmysły człowieka są skazane na zagładę; komórki mózgowe będą odbierały wrażenia wprost, bez ich pośrednictwa; wtedy zmysły stracą rację bytu.

— Czyżby więc te istoty doszły już do tego idealnego stanu, który my tylko przypuszczać możemy? Pozwoli pan sobie powiedzieć, że ta piękna hipoteza stoi na kruchych podstawach!

— A to dlaczego? Muskuly są ciężkim, pierwotnym mechanizmem, zależnym od narządów trawienia i mózg; doszedłszy do najwyższego stopnia swego rozwoju, wybornie się bez nich obędzie. One to człowieka robią podobnym zwierzęciu i godność jego, jako istoty myślącej, obniżają haniebnie!

— Więc wyższy umysł nie może się mieścić w ciele wielkiem?

— Tego nie mówię, lecz z małemi wyjątkami, ludzie genialni, panujący nad światem, nie posiadali zwykle

wielkich sił fizycznych. Ci zwycięzcy ludów byli poważnie wątlej budowy: któżby mógł sobie wyobrazić Newtona, Ludwika XI, Sykstusa V-go, Michała-Anioła, Napoleona I-go jako atletów! Duch panuje nad ciałem—mózg rządzi światem! Siłą swego umysłu, energią swej woli, cesarze, filozofowie, przykuci chorobą do łoża, trzymali pod swą władzą tłumy... Walter, Renan, Kartezjusz, byli wąтли, szczupli... Mógłbym przytoczyć tysiące przykładów!

— Tak... tak! — potwierdził nieco ironicznie Ralf — już i w naszych czasach mieszkańiec wielkich miast coraz mniej posługuje się muskułami; dzięki automobilonom, kolejom i aeroplanom, wkrótce nie będzie potrzebował wcale chodzić! Wynaleziono setki sposobów, aby mu oszczędzić dźwigania ciężarów... Wkrótce skoncentrowane pokarmy uwolnią go od pracy trawienia... Wtedy siła fizyczna stanie się zbytkiem lub zawodem.

— A robotnicy rolni lub fabryczni? — spytał Jerzy. — Przyznasz pan przecież, że oni są potrzebni..

— Jako siła fizyczna—na to zgoda! Lecz z każdym dniem traci ona swoją wartość, gdyż maszyny ją zastępują świetnie we wszystkim. Dziś już rolnik i rzemieślnik ucieka się do pomocy maszyn i blizkim jest czas, kiedy maszyna będzie wyręczać człowieka na każdym polu pracy!

Wymowna ta tyrada została przerwana hukiem gromu. Zbliżająca się oddawna burza wybuchła teraz potężnie. Rozmowa ucichła wobec wspaniałego widoku ze wszech stron. Zdawało się, iż cała wściekłość burzy skierowaną była na dolinę, w której stała willa miss Alberty. Niebo, rozdzierane raz po raz przez szerokie błyskawice, było blado-płowe, a na niem w chwili

błysku rysowały się wyraźnie czarne sylwetki dalekich lasów.

Były to potoki, kaskady olśniewającego światła, jak gdyby jakaś niewidzialna armja bombardowała ognistemi pociskami świat bezbronny. Deszcz zaczął padać wielkimi kroplami, lecz wydawały one fosforyczne błyski, co nadawało tej ulewie jakąś piekielną grozę.

Dante byłby z tej burzy stworzył jeden z najbardziej wstrząsających opisów piekła!

Jerzy wraz z towarzyszami podziwiał ten widok nie bez pewnego uczucia zgrozy. Nie była to zwykła burza; rzekłbyś, iż w górzystym półkolu, otaczającym willę, elektryczny fluid nagromadził się, jak w olbrzymim kondensatorze. Ten fantastyczny widok trwał już prawie godzinę, kiedy nagle charakter jego zmienił się zupełnie.

Do szerokich błękitnawych błysków przyłączyły się błyskawice prostopadłe, oślepiająco czerwone, przerzynając gładkimi linjami, bez zwykłych zygzaków — chmury skłębione i jakby drżące.

Po tych jaskrawych błyskawicach, otaczających willę jakby ognistemi mieczami, następował głuchy grzmot. Jedna z nich dosięgła starego dębu korkowego, który runął z hukiem.

Ralf zamienił z kapitanem porozumiewawcze spojrzenie.

— Nie uwierzę nigdy, aby to były zwyczajne błyskawice — mruknał, kręcąc głową — i zapewne byłoby bezpieczniej odejść stąd zawczasu...

— Czyżbyś pan myślał, że nam tu co grozi? — spytał Boleński.



...Oślepiająca jasność zawisła nad szklanym dachem...

— Tak jest — i powtarzam: chodźmy stąd!

— Nie jestem wcale tego zdania! — zawołał inżynier — i nie rozumiem, o jakim niebezpieczeństwie pan mówisz? Czyż willa ma być bezpieczniejszem schronieniem? Przecież tego laboratorjum strzegą cztery pionochrony i...

Nie dokończył... W tej sekundzie oślepiająca jasność zawisła nad szklanym dachem, który stał się jednym wielkim ogniem... Jakaś olbrzymia, ognista kula spadła na laboratorjum ze straszliwym świstem i głuchym hukiem.

Wpół oślepiony przez ów meteor, z opaloną prawą ręką, Jerzy odskoczył w tył z okrzykiem zgrozy.

Ściany szklane, rozbite w bryzgi padały dokoła: mimowolnym odruchem rzucił się na taras — i to go ocaliło. Powrócił jednak natychmiast, wzywany rozdzierającymi głosami, wołającymi pomocy, z pod zgłiszcz dymiących.

Nagle słup olśniewająco białego płomienia wzniósł się prosto do góry: zapaliło się naczynie z eterem, stojące w piwnicy pod tarasem.

Ta kolumna rażąco białej jasności, sięgająca nieba, wciąż dotąd przerywanego błyskawicami, dodawała jeszcze większej grozy tej straszliwej katastrofie.

Wszystko dokonało się w przeciągu niecałej minuty. Jerzy czuł na rękach i w oczach ból straszny, piekący, zewsząd otaczały go ostre odłamki szkła; oszołomiony rzucił się w stronę ognistego słupa, skąd dochodziły rozdzierające jęki, przechodzące w wycia...

Nagle, jakiś człowiek z opalonemi włosami i brodą, wywijając rękami jak obłąkany, skoczył ku niemu.

— Jerzy! Jerzy... czy to ty? — zawołał ochryplym głosem.

— To pan... panie Ralfie? Zaledwie widzę pana... W oczach mam pełno szkła i krwi... Cóż za straszne rzeczy... Gdzie jest kapitan, gdzie Boleński?

— Zapewne, już nie żyją!

— A Zaruk?

Pitcher wskazał na bezwładne ciało, leżące na ziemi.

— Nie wiem czy zabity, czy tylko zemdlony... Pomóż mi go wynieść stąd — nie możemy tu pozostawać ani chwili! W piwnicy jest mnóstwo materiałów wybuchowych... To dziwne, że dotąd nie ma eksplozji!

Obaj wzięli na ręce bezwładne ciało i wynieśli do głównego korpusu willi.

— W powietrze może wylecieć tylko laboratorium — rzekł Ralf — reszta ocaleje!

— Ale co się stało z tamtymi? — szepnął Jerzy, pełen zgrozy.

Milczeli przez chwilę, oczekując huku, zwiastującego wybuch... Krew, płynąca z ich pokaleczonych oczu, przesłaniała im widok spustoszenia — odurzeni, zdumieni tym kataklizmem, nie myśleli nawet o ratowaniu swego życia, jak domownicy willi, którzy wrzeszcząc w niebogłosey, uciekali gromadnie.

W tej chwili ukazała się na tarasie chuda postać lorda.

— No i cóż tu się stało? — zapytał z całym spokojem — czy piorun uderzył?

— To nie piorun... — wyjąkał Ralf — nie wiem, co to było.. Wad i Boleński są tam!

I drżącą ręką wskazywał stos odłamków szkła,

pogiętych prętów niklowych, spajających przedtem szyby szklane, a nad tem wszystkim, słup białego płomienia eteru.

— Więc trzeba ich ratować—rzekł krótko lord.

— To niepodobne — zresztą wszystko za chwilę wyleci w powietrze!..

I Ralf zaśmiał się dziko, jak obłąkany.

— Tak, wszystko wyleci w powietrze! — powtórzył jak echo Jerzy.

— By God! *) Przestrach odebrał im zmysły! — krzyknął Frymcock. — Hej! Czyście poszaleli? ruszcie się przecie: musimy ugasić pożar i próbować ocalić kapitana i Boleńskiego! Dalej, chodźcie natychmiast!

Ralf powstał z ziemi, gdzie klęczał przy Zaruku i przeciągnął rękę po czole gestem pełnym znużenia. Twarz jego, poparzona i pokaleczona odłamkami, wyglądała strasznie i znać na niej było walkę, jaką przechodził, aby odzyskać trochę spokoju.

— Tak — szepnął — trzeba... pomogę panu! Przeżyłem chwile okropne — i to mię obezwładniło...

Jerzy, który tamował chustką krew, płynącą z pokaleczonych oczu, zbliżył się również.

— Odwagi, panowie! — zawołał Frymcock — przecież we trzech coś poradzimy! Gdzie są bomby do gaszenia ognia?

— Tutaj — rzekł Ralf, odzyskując przytomność — są na każdym tarasie, ale lepiej otworzyć kran z gazem, gaszącym ogień... Czemuż dotąd nie zrobiłem tego!

W willi był zapas bomb szklanych, z płynem gaszącym ogień w chwili ich stłuczenia—nadto gazometr,

*) Na Boga!

zawierający gaz, który unicestwiał najgwałtowniejszy pożar.

Nie zważając na płonący wciąż ogień i możliwość wybuchu, Ralf szybko odkręcił kurek gazometru, podczas gdy Jerzy z lordem otwierali krany wodociągowe. W parę minut płomienie znikły, zastąpione przez obłoki pary, o woni ostrej i gryzącej, a niebezpieczeństwo eksplozji było usunięte.

Gdy para rozproszyła się nieco, trzech mężczyźni, do których się przyłączył oducony z omdlenia Zaruk, wzięwszy latarnie zapalone przez Kerifę, (która jedyna z całej służby pozostała w willi), zbliżyli się do dymiących zgliszcz.

Cóż za widok uderzył ich oczy!

Z pysznego laboratorium zostały tylko stalowe ramy, utrzymujące niegdyś olbrzymie szyby: kosztowne narzędzia były rozbite w proch! Pyszny posąg, ukrywający w sobie telefon, leżał zczerniały i pokrzywiony, a pośrodku laboratorium utworzyła się okrągła przepaść, do połowy zapełniona szczątkami i obłatkami szkła i żelaza.

Na brzegu leżało ciało Boleńskiego, straszliwie zeszepeczone: przez czaszkę, rozłupaną jak od uderzenia siekiery, widać było mózg — nieszczęśliwy musiał być zabitym w jednej sekundzie, gdyż na twarzy pozostał uśmiech, który przy pokaleczeniach i krwawych plamach wyglądał straszliwie.

— Biedaku! — szepnął Pitcher, nie starając się ukryć łez, płynących mu po twarzy — przed chwilą byłeś tak energicznym, tak pełnym życia!... Nie pojmuję, nie mogę wynaleźć przyczyny tego nieszczęścia...

— Gdyby chociaż kapitan ocalał — szepnęła Jerzy — szukajmy... Kto wie?

— Nie mam żadnej nadziei — rzekł Ralf — on spoczywa tam!

Tu wskazał na przepaść, otwartą pod ich stopami.

— Musimy jednak dowiedzieć się napewno — rzekł Frymcock. — Pozwólcie mi tam zejść.

— Nie narażaj niepotrzebnie swego życia — odezwał się Zaruk — jeśli zechcecie, zejść tam natychmiast.

— Nie! — zawołał Jerzy — ja tam zejść muszę...

W tej chwili pomimo grzmotów i wycia wichru, dała się słyszeć trąbka automobilu.

— Miss Alberta... Tak, to ona! — wykrzyknął Ralf z rozpaczą. — Jak ją zawiadomić o śmierci kapitana i Boleńskiego?

Wszyscy patrzyli na siebie bezradnie.

Trąbka zabrzmiała bliżej.

— Trzeba coś postanowić — rzekł Ralf przygnębiony — muszę tam iść... albo... chodźmy wszyscy — tak będzie najlepiej!

Ze śmiercią w duszy, odważyli się wkońcu zejść; przeszli dziedziniec, którego piękna mozaika poczerniała od dymu i otworzyli drzwi wejściowe w chwili, gdy automobil się zatrzymał.

VI. Zagadkowy meteoryt.

W świetle latarni automobilu, miss Alberta ukazała się Jerzemu, jak widziadło zaświatowe. Jej piękna twarz była trupioblada, niebieskie oczy podkrążone mocno, złote włosy w nieładzie, a kostjum podróżny był obryzgany błotem.

Wyskoczyła szybko, pytając trwożnie:

— Mam nadzieję, panie Pitcher, że poniesliśmy tylko materialną szkodę? Widziałam ogień... Czy to piorun uderzył w willę?

A spostrzegłszy ukłon Jerzego, dodała:

— Zapewne pan Jerzy Darvel? Witam pana serdecznie! Ale gdzie jest kapitan i pan Boleński?

Mówiła to z taką swobodą, że Ralf nie śmiał odpowiedzieć.

— Miss Alberto...—wyjąkał wreszcie.

— Ależ pan jesteś strasznie poparzony! — zawołała ze wzruszeniem — i pan także, panie Darvell! Ach, oto Kerifa i lord Frymcock, na szczęście, zdrowi i cali!

Lecz widząc pomieszanie obecnych, spytała żywo:

— Dlaczego nic mi nie mówicie o kapitanie i o Boleńskim? Mówcie, bo znieść nie mogę tej strasznej niepewności!

— Miss Alberto... — wyszeptał Ralf drżącymi ustami — obaj przyjaciele nasi zginęli... Taką jest ta straszliwa prawda!

Grobowe milczenie zapanowało... Miss Alberta stała jak gdyby skamieniała po tej okropnej nowinie.

Wreszcie zaczęła płakać gwałtownie.

— Mój Boże! — szeptała wśród łkań — na cóż mi się przyda mój cały majątek, jeśli nim nie mogłam zapewnić bezpieczeństwa najdroższemu przyjacielom! Któż mi zastąpi ich obu, ich dobroć, wiedzę... przyjaźń?

Zawiele jednak posiadała wrodzonej energii, aby się długo oddawać łzom i rozpacz; otrząsnęła się wkrótce z przygnębienia i po kilku pytaniach, zadanych Ralfowi, dowiedziała się o całym przebiegu katastrofy.

— Może kapitan jest tylko raniony, mogli się nad

nim spiętrzyć belki, jak się to często zdarza w tego rodzaju wypadkach... Powinniśmy zrobić wszystko, co można, aby go odszukać i uratować... Nie chcę ani jeść, ani spocząć, póki się o jego losie nie dowiem...

Kerifa wbiegła i ze wzruszeniem całowała ręce swej pani.

— Jesteś nareszcie! — szeptała — byłam tak niespokojna o ciebie! Burza musiała być straszną na morzu, prawda?

— Tak, byłam najpewniejszą, iż zginiemy wszyscy. Bo też ta burza była jakąś nadzwyczajną: fale błyszczały ogniem i niebo nim płonęło... Kapitan, który od czterdziestu lat pływa po różnych morzach, a z nim i załoga, oświadczyli, iż nigdy nie widzieli tak szczególnych meteorytów. Z pokładu fala zmiotła kilku ludzi...

— Jesteś tak znużoną — szepnęła Kerifa z czułością — pomimo wszystko, kazałam zastawić wieszak; może się posilisz choć trochę...

— Jak możesz tak myśleć! Dziękuję ci za troskliwość, ale pomóż nam lepiej ratować kapitana, jeśli jest jeszcze czas po temu... Gdzie służący?

— Wszyscy uciekli ze strachu, są w lesie!

Miss Alberta skierowała się w stronę laboratorium, mężczyźni i Kerifa szli za nią. Pochód zamykał Zaruk, który przez ten czas postarał się o pochodnie, oraz o motyki i rydło, które przyniósł z ogrodu.

— Powiedz mi pan — rzekła miss Alberta do Ralfa — czemu pan przypisuje tę katastrofę?

— Nie mogę jeszcze powiedzieć nic pewnego; sądzę jednak, iż był to piorun — rzekł Ralf wzruszony.

— Przecież na laboratorium były piorunochrony?

— Tak, ale, jak pani zapewne wiadomo, zdarzają

się wypadki, że i najlepiej urządzone piorunochrony wypowiadają nieraz posłuszeństwo i to z przyczyn nieznanych. Jak to już mówiłem, stoimy tu wobec niewytłomaczonego i nieznanego zjawiska!

— A co pan mówiłeś o jakiejś kuli ognistej?

— Piorun bardzo często przybiera tę postać—i do prawdy, że tu niczego nie jestem pewnym — nic nie wiem!

— Zaraz się wszystkiego dowiemy!—rzekła z mocą.

Po schodach wewnętrznych zeszli do apteki, mieszczącej się tuż pod laboratorium. Ralf otworzył drzwi.

¶ Panował tam najzupełniejszy chaos: złomki drzewa i żelaza, podruzgotane naczynia, meble nawpół spalone... Woń gazu, użytego do gaszenia ognia, ostra i mdła zarazem, napelniała powietrze, drażniąc krtań i płuca.

— Miss Alberto — rzekł naturalista — czy pani wiadomo, że tu jest balon z pikratem potasu? Cud to prawdziwy, że dotąd nie wybuchnął jeszcze...

Młoda dziewczyna skinęła ręką lekceważąco.

— Proszę panią usilnie, abyś tam nie schodziła... Ogień może się tlić jeszcze; prócz tego, dość jednego uderzenia, aby wywołać wybuch! Niech pani wróci na górę! Narażanie życia w tych zgłiszczach byłoby szaloną i bezcelową nierozwagą!

— Przecież i pan się naraża także! Do mnie należy dawać dobry przykład innym, więc idę z panem.

— To zupełnie co innego!—obruszył się Ralf—dla nas, badaczy praw natury, chemja i fizyka codziennie przedstawia te same niebezpieczeństwa. Myśmy już na to przygotowani!

— Nie nalegaj pan dłużej — rzekła stanowczo —

uważam za swój obowiązek podzielenie z wami niebezpieczeństwa, jeśli ono istnieje rzeczywiście!

Ralf umilkł, widząc bezskuteczność swoich uwag. Rozdzielił narzędzia ratunkowe między Jerzego, Zaruka i lorda — miss Alberta i Kerifa miały przyświecać przy robocie pochodniami. Zapalono też parę latarni ogrodowych, które oświetliły ten straszny obraz. Pośrodku widniał otwór okrągły a głęboki; z przepaści tej sterczały szyny stalowe, na których opierało się przedtem sklepienie.

Zaczęto z tysiącnymi ostrożnościami wyciągać te szczątki; mężczyźni wynosili szyny na taras, a butelki i słoje z produktami chemicznymi do bezpiecznego schronienia w drugiej piwnicy. Pracowano usilnie już od godziny, nie znajdując śladu kapitana.

Miss Alberta była w rozpacz i zadawała wciąż nowe pytania Ralfowi.

— Co to może znaczyć, żeśmy go dotąd nie znaleźli? Czyżby piorun mógł obrócić go w proch?

Ralf odparł po chwilowym namyśle:

— To nie był piorun — gdyż w takim razie miedź i stal byłyby stopione; a widzimy, że przełamania ich są czyste i świejące... Wyglądają, jak gdyby pękły pod naciskiem jakiegoś ogromnego ciężaru...

Nagle umilkł: motyka jego zahaczyła o kosz, upleciony z łoży, zabezpieczający szklany balon.

— Pikrat potasu! — krzyknął — co za szczęście, że nie uderzyłem mocniej w tej chwili!.. Ale jak też się szczególnie szyny nad nim spiętrzyły; to go uchroniło od wybuchu...

Wyjęto ostrożnie groźny balon i umieszczono na tarasie. Pitcher zamyslił się, a po chwili rzekł:

— No, teraz oddycham — bo dotąd zdawało mi się, że stoimy na wulkanie... Jednakże, widzę teraz, że źle prowadziliśmy nasze poszukiwania, ale to już moja wina... Nie znajdziemy tu ciała biednego kapitana, gdyż ta rozpalona masa musiała je pociągnąć za sobą, przebijając sklepienie, aż na dno piwnicy...

Teraz już zdawali sobie sprawę z przebiegu katastrofy: rozpalona bryła, niewiadomego pochodzenia i składu, przebiła, jak pocisk armatni, dwa sklepienia, położone pod laboratorjum. Teraz wszyscy zeszli o piętro niżej, do łazienki z mozaikową podłogą; ściany jej były wyłożone białym marmurem, a na jednej z nich widniała smuga krwi.

Jerzy w milczeniu wskazał ją miss Albercie, która szepnęła smutnie:

— Zejdźmy jeszcze niżej...

— Czy wie pani — rzekł nagle Ralf — co mi przyszło na myśl? Oto dzisiejsza katastrofa jest nader podobną do tej, która spowodowała śmierć starego Ardayeny.

— Więc cóż pan myślisz o tem?

— Że jesteśmy świadkami wydarzenia, dość często się powtarzającego... To jakiś zwyczajny meteor lub bolid, czy może gwiazda spadająca wielkich rozmiarów, która spadła wprost na willę.

— A ten bolid?

— On to wybił okrągły otwór w sklepieniach. Teraz mogę z całą pewnością powiedzieć, że na dnie tego otworu leży zwykły bolid!

Słowa te sprawiły głębokie wrażenie na młodej dziewczynie: popatrzyli na siebie oboje z Jerzym, nie

śmieć wyrazić słowami przypuszczenia, które mieli na myśli.

Zstępowali śpiesznie na najniższe piętro.

Były tam olbrzymie, sklepione podziemia, pochodzące jeszcze z czasów Rzymian; ta część Tunisu zawiera mnóstwo podobnych budowli. Willa była zbudowaną na miejscu starożytnej fortecy, której podziemnych lochów nie zasypano, lecz zużytkowano na piwnice, oraz pomieszczono w nich kaloryfery i motor elektryczny. Lecz ognisko maszyny zagasło, a mechanik i palacz uciekli, sądząc zapewne, iż cała willa wali się im na głowy. Dziwnem nawet było, że uszli cało, gdyż o kilka metrów ode drzwi padł złowrogi pocisk, zdruzgotawszy część maszyny.

— A col! — zawołał Pitcher, potrząsając pochodnią — to bolid, byłem tego pewnym! I to bolid sferyczny!..

Wszyscy się rzucili w tę stronę. Przy świetle pochodni ujrzano bryłę okrągłą, mającą około trzech metrów średnicy, utworzoną z rodzaju szklistego granitu, o powierzchni lśniącej mika. Obłok pary otaczał ją dokoła.

Frymcock, który chciał jej dotknąć, odskoczył z okrzykiem bólu.

— Na Jowisza! — zawołał — to jest rozpalone do czerwoności żelazo!

— Kapitan jest pod tą bryłą... — szepnął z boleścią Ralf.

— Kto wie? — rzekła cicho znękana miss Alberta — dopóki nie ujrzymy ciała, nie trzeba tracić nadziei...

— Na nieszczęście, nie możemy już mieć żadnej wątpliwości — odparł Jerzy z mimowolnym dreszczem zgrozy, wskazując na spód bryły.

Widniała tam zaciśnięta, nawpół spalona ręka...

Miss Alberta zamknęła powieki, jej piękna twarz pokryła się trupią bladością.

Pitcher płakał jak dziecko.

Wszyscy stali w osłupieniu.

— Miss Alberto, odejdz pani, błagam! Oszczędź sobie straszego widoku... to nie na pani siły! — szepnął Jerzy.

— Nie! — zawołała z mocą, choć gwałtowne łkanie wrywało się jej z piersi — pozostanę tu do końca, powinnam to uczynić dla niego... Gdybyście, tak jak ja, znali jego dobroć, jego poświęcenie, jego charakter... Kochałam go jak ojca — i pomimo rzeczywistości, nie mogę jeszcze uwierzyć w tę prawdę straszną!..

W milczeniu zabrano się do ponownej pracy, próbując oswobodzić ciało kapitana. Nie mogło być mowy o ruszeniu z miejsca rozpalonej bryły; postanowiono więc próbować rozbić ją na części, ponieważ minerały tego składu są zwykle dość kruche.

Jerzy pierwszy zaczął nad tem pracować, używając motyki ogrodniczej. Po kilku minutach odpadł duży odłam, a Jerzy ujrzał ze zdumieniem, iż powierzchnia meteorytu wyglądała zupełnie inaczej, niż wewnątrz. Była ona czerwono-bronzową w zielonawe plamy, jakie nadaje głazom wysoka temperatura; pod tą powłoką była substancja biała, w której tkwiły rurki koloru czerwonego, ostro zakończone. Niektóre z nich strzaskanę zostały uderzeniem motyki Jerzego i sączyły się z nich kroplami płyn bezbarwny, gęsty.

Jerzy zatrzymał się, nie wiedząc, co ma o tem myśleć.

— Co mam dalej robić, panie Pitcher? — zapytał —

żadne przyrodnicze badania nie wykryły podobnych meteorytów!

— Zwyczajna krystalizacja! — mruknął Ralf, pochłonięty smutkiem.

— Nigdy nie widziałem krystalizacji, zawierającej we wnętrzu płyny — rzekł Jerzy — przytem bryła ta ma kształt tak regularny, jakby ją obrobiła ludzka ręka... Zdaje się, iż jesteśmy na drodze do nadzwyczajnych odkryć! Pomyślcie, że ten dziwny gład musiał zapewne przywędrować z jakiejś dalekiej planety... Jeśli go skruszę, nie będziemy go mogli badać... Doprawdy, nie wiem co robić!

Wszyscy byli przejęci niecierpliwem oczekiwaniem.

Miss Alberta zamieniła z Ralfem znaczące spojrzenie.

— Rozbijmy tę bryłę! — zawołał gwałtownie Pitcher — tylko musimy uważać, aby nie tworzyć drobnych odłamków.

Jerzy wziął ostrożnie w rękę odbity kawałek.

— Szczególna rzecz! — szepnął gorączkowo — z wierzchu kamień jest rozpalony, a wewnątrz zimny, prawie lodowaty. Czem możesz pan to wytłomaczyć?

— Nie wiem... nic nie wiem — dalej do pracy!

Ręce ich, drżące z niecierpliwości, pracowały ze zdwojoną siłą, kiedy nagłem uderzeniem motyki Jerzego został odbity większy odłam. Z czterech piersi wydarł się okrzyk zdumienia... W otworze ukazała się, oswobodzona z kamiennej powłoki — stopa ludzka!

Motyka wypadła z ręki Jerzego, ogarniętego wstrząsającym wrażeniem.

— Człowiek... człowiek! — powtarzał, jak obłąkany — w tym gładzie zakuty jest człowiek!

— Chyba trup człowieka — rzekł glucho Ralf.

— Wszystko mi jedno, muszę go widzieć! — wołał Jerzy. — Czyż nie pojmujecie, że tym człowiekiem może być tylko brat mój, Robert! Muszę się dowiedzieć — żyje, czy zginął!..

— Jakże możesz tak się łudzić? — rzekł Ralf ze smutkiem. — Myślę o tem już od jakich dziesięciu minut, ale nie śmiałem... nie mogłem tego powiedzieć!

Tu wskazał ruchem ręki na miss Albertę, która z twarzą zbieła, słaniając się, oparła głowę na ramieniu Kerify.

Na te słowa jednak wyprostowała się z ogniem w oczach, z rękami wyciągniętymi, ożywiona szaloną, nieprawdopodobną nadzieją. W świetle pochodni, pod wysokimi sklepieniami, delikatna jej piękność nabierała wyrazu tragicznego: rzekłbyś, że to któraś z bohaterek starego Eschyleśa, przyzywająca niebo na świadkil

— Nie, panowie—rzekła uroczyście—Robert Darvel nie umarł.. on nie mógł umrzeć! Ludzie tacy nie ulegają tak łatwo—głos jakiś mi mówi, że wraca — zwycięzca!

I dodała z zupełną, ślełą wiarą:

— Czyż byłby tutaj, gdyby był zginął? Nic nie jest niedostępnem dla zwycięzcy przestrzeni—wrócił tu, bo chciał tego!

Te gorące słowa zachwiały przekonanie Ralfa; serce jego zaczęło uderzać gwałtownie; nie mogąc odzyskać spokoju, był blizkim szaleństwa.

— Ależ — wyjąkał wreszcie — czyż mamy pewność, że to jest Robert?

Nie dokończył jeszcze tych słów, a już Jerzy rzucił się znów do bryły, zadając ślepe razy tu i owdzie. Ogarnął go rodzaj szału: pod jego uderzeniami odłamki bryły leciały na wszystkie strony, a ze zmiążdzo-

nych rurek szklanych wyciekał płyn o zapachu przejmującym.

— Ależ uważaj pan — zawołał Ralf — nie można się do tego brać z taką furją, przecież możesz go zranić!

Uwaga była słuszną; Jerzy zaczął pracować spokojniej.

Teraz kształt ludzki wyłaniał się coraz bardziej z niekształtnej bryły, jakby go z niej wydobywała ręka biegłego artysty-rzeźbiarza. Człowiek ten siedział, z brodą wspartą na kolanach; na nich również założone były skrzyżowane ręce. Ten kształt nadają mumjom mieszkańcy wysp Azorskich i niektóre ludy Ameryki, np. Inkasowie, zamykając je następnie w wielkich urnach glinianych.

Pitcher, uderzony tem podobieństwem, opuścił głowę, milcząc.

Zauważył jednak, iż owe rurki, mieszczące płyn tajemniczy, były z jednego końca rozszerzoną lejkowato i ten przylegał bezpośrednio do ciała człowieka, z drugiego zaś zwężone i zamknięte. Przyszło mu na myśl, że płyn ten musi mieć własności przeciwnie, potrzebne do przechowania mumji. Lecz ten domysł mu nie wystarczał, a nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek słyszał o środku takim.

Podczas tych jego rozmyślań, Jerzy pracował w poście czoła; wkrótce cały tors człowieka już był odkrytym.

Pozostawała tylko jeszcze twarz, z odsłonięciem której Jerzy się zawahał. Nie śmiał odrzucić tej ostatniej powłoki, a serce jego ścisnęło się w obawie za wodu, który go może oczekuje.

Ciało pozostawało bez ruchu, w jednakowej postawie.

— Kończyciel — szepnęła miss Alberta — raz dowiedzmy się prawdy, aby wyjść z tej straszliwej niepewności!

— Nie mam odwagi — wyjąkał Jerzy, którego głos ledwie się wydobywał ze ściśniętego kurczowo gardła.

— Więc ja to zrobię — rzekł Ralf — i zaczął odbijać resztę osłony.

Niepewną, drżącą ręką zadawał śpieszne uderzenia i nareszcie odrzucił na bok ostatni kawałek kamienia.

Ukazała się twarz, wychudzona i wybladła, lecz uderzająca siłą i szlachetnością wyrazu; czoło było wysokie, oczy zamknięte. Zbladłe usta były delikatnie zarysowane i zdawało się, iż błądzi jeszcze po nich uśmiech, pełen dobroci.

— Robert!

— Mój brat!

Zabrzmiały jednocześnie dwa okrzyki.

Wzruszenie to było zbyt silnem dla miss Alberty; Ralf i Kerifa musieli ją podtrzymać, gdyż staniała się bezsilnie.

Lecz Jerzy zaledwie to zauważył.

Ze wzrokiem błyszczącym gorączkowo, rzucił się jak szalony na bezwładne ciało brata, tak cudownym sposobem oswobodzone ze swej kamiennej trumny.

Dotknął czoła Roberta — było lodowato zimne; przyłożył ucho do jego piersi, chcąc wyczuć choćby najłżejsze uderzenia serca. Napróżno! Pierś była nieruchomą.

— Nie żyje! — wyszeptał — i owładnięty rozpaczą, ukrył twarz w dłoniach.

Stojący obok niego Zaruk uśmiechał się zagadkowo.

VII. Usilne zabiegi.

Blade światło jutrzenki oświeciło dzieło zniszczenia: w lesie było wiele drzew połamanych, lub wyrwanych z korzeniami, wszędzie płynęły potoki, wezbrane wodą czerwoną od rozpuszczonej w niej glinki, a wszystko przesłaniały strugi drobnego, gęstego deszczu.

Służba, ochłoniwszy z przestachu, powróciła do willi, głęboko przekonana, iż wszystkie te okropności były dziełem «czarowników», którym ich pani udzieliła przytułku.

Ich to praktyki ściągnęły ogień niebieski na ziemię i utworzyły czarną, głęboką przepaść na miejscu pięknego laboratorium ze stali i kryształu!

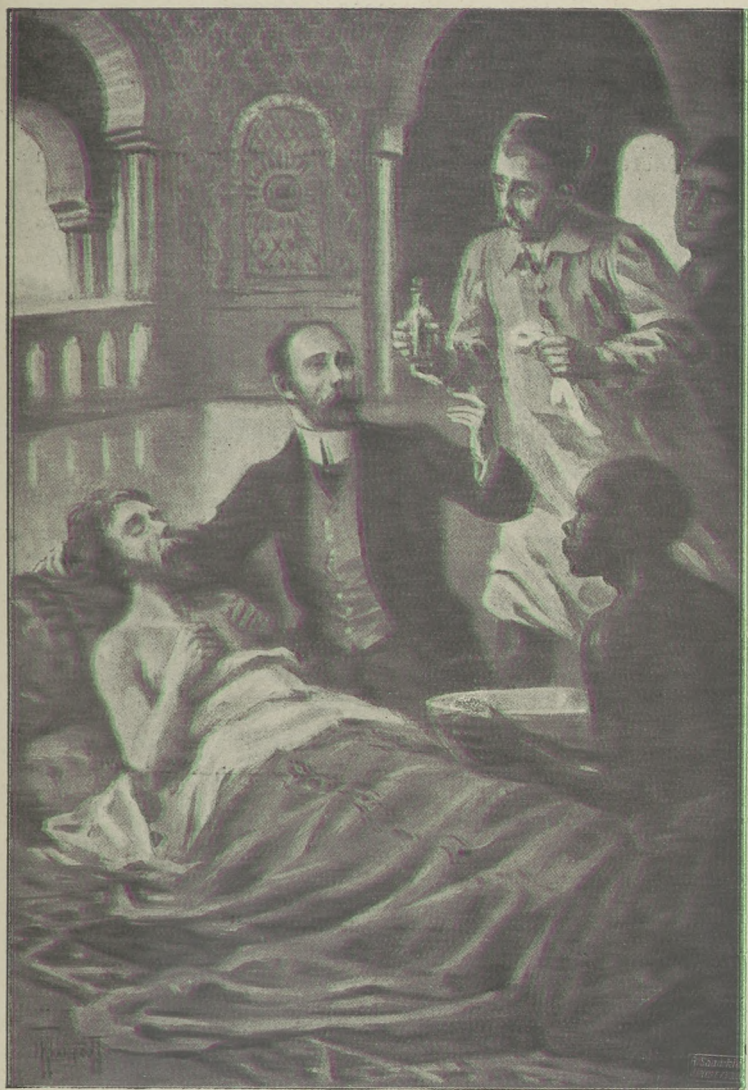
Lord Frymcock zajął się przeniesieniem straszliwie zeszeponych zwłok kapitana i Boleńskiego do sali parterowej, gdzie w powodzi kwiecica oczekiwały uroczystego pogrzebu.

Wszystko pozornie wróciło do dawnego porządku, tylko do pokoju zmarłego kapitana Wad, nikomu ze służby pod żadnym pozorem wchodzić nie było wolno.

Tam rozgrywał się ostatni akt dramatu, ze wszelkimi przejmującymi szczegółami, gdyż umieszczono tam nieruchome ciało Roberta Darvela.

Chociaż były na niem widoczne niektóre oznaki śmierci, miss Alberta i Ralf nie zniechęcali się tem wcale, a nawet dodawali odwagi Jerzemu, tłumacząc mu, iż te oznaki nie dowodzą jeszcze niczego pewnego.

Opowiadali mu różne cuda, których w Indjach byli świadkami: długi sen jogów i powstawanie z niego żywym i zdrowym, praktykowane w Kelambrum.



¶ Rozwidniało się już, a Robert nie dał najmniejszego znaku życia..

Pod wpływem tych słów, Jerzy uczuł powracającą nadzieję — a miss Alberta sama wydawała rozporządzenia i kierowała energicznie ratunkiem.

Nieruchomego wciąż Roberta położono na łożku i owinięto wygrzanymi kołdrami. Wszelkie znane środki przywrócenia do życia były już wyczerpane: próbowano energicznego rozcierania całego ciała, do nóg przykładano mocne synapizmy, nawet wpuszczano mu w gardło różne ożywcze kordjały. Wszystko napróżno! Rozwidniało się już, a Robert nie dał najmniejszego znaku życia.

Zwątpienie zaczęło ogarniać wszystkich.

— To się na nic nie zda! — wymówił Jerzy z głębokim smutkiem — widzicie przecież, że on już umarł!

— Nie mów pan tego! — zawołała miss Alberta — może nasze starania przywrócą go do życia: zresztą powinieneś pan wierzyć w genjusz swego brata! Zapewne chwila, wyznaczona przez niego na przebudzenie się, nie nadeszła jeszcze. Nie rozpaczajmy i bądźmy cierpliwi!

Lecz ona sama wymówiła te słowa z pewnem przygnębieniem. Znać było, iż utraciła już wiele z tej wiary i zapału, które przed kilku godzinami kruszyły zimny sceptycyzm Ralfa i podtrzymywały ufność Jerzego.

Teraz Pitcher okazywał największą energję w zabiegach około Roberta, a bezsilność używanych środków jakby podwajała jego gorliwość.

— Miss Alberto! — zawołał nagle — trzeba posłać automobil do Tunisu lub Bizerty — i to jaknajprędzej!

— Po co? — spytała bezdźwięcznym głosem.

— Niech przywiozą najlepszego, jakiego znajda

chirurga! Pozostaje nam spróbować operacji, nadzwyczaj niebezpiecznej, która liczy na sto wypadków tylko dziesięć z pomyślnym rezultatem — lecz cóż mamy robić?

— Jakaż to? mów pan! — szepnął gorączkowo Jerzy.

— Masowanie serca... jest to ryzykowne i niewielu chirurgów odważa się na to... Operator rozcina pierś i ujmując serce w rękę, rozciera i usiłuje wywołać w niem na nowo ruch wstrzymany.

— Tak... czytałem o tem — zauważył Jerzy, lekko wzruszając ramionami — lecz operacja ta, najniebezpieczniejsza może ze wszystkich, bywała zwykle przedsiębraną w krótkim czasie po ustaniu ruchu serca; tu zaś jest inaczej...

— To nic! — zawołała Alberta — nie możemy zaniedbać niczego!

Mówiąc to, podeszła do telefonu, który dawniej służył biednemu kapitanowi i wydała stosowne rozkazy.

— Samochód wyjedzie za dziesięć minut i na południe przywiezie tu głównego chirurga szpitala z Bizerty — rzekła po chwili.

— A jednak — zauważył Jerzy — jeśli brat mój oznaczył swój powrót do życia na datę nieco późniejszą, czyż to nie byłoby straszmem dokonywać sekcji na żyjącym człowieku?

— Może nam doktor podda jaką myśl nową? — rzekła miss Alberta, wyczerpana z sił.

— Przepraszam panią, że niepytany wypowiem swoje zdanie — odezwał się milczący dotąd lord Frymcock — lecz są jeszcze środki, których moglibyśmy spróbować przed przybyciem doktora... Naprzykład elektry-

zacja, lub wstrzyknięcie eteru; dawało to nieraz znakomite wyniki!

Ralf podskoczył na krześle.

— Elektryczność! — zawołał — czemużem dotąd o niej nie pomyślał! A przecież mamy pyszną maszynę...

Wybiegł z pokoju i niebawem powrócił, obciążony wszystkim, co było potrzebnem: zrobiwszy lekkie nacięcia na kolanie i ramieniu Roberta, oparł na nich końce dwóch przewodników i puścił słaby prąd. Skutek był natychmiastowy: kolana i ramiona opadły zwolnione, oczy się otworzyły... Ciało, porzucając kształt sztucznie mu nadany, leżało wyciągnięte na łóżku, lecz oczy zamknęły się ponownie.

— Wiedziałem, że to pomoże! — zawołał tryumfująco Ralf.

— To jeszcze nie dowodzi niczego — odparła miss Alberta — przecież wiemy wszyscy, że pod działaniem prądu ciało zupełnie martwe wykonywa różne ruchy... Muskuly są wstrząśnięte, jednak ciało jest zimnem i sztywnem, oczy zamknięte i nieruchome, a serce...

— Zaczekajmy chwilę! Teraz użyję prądu tak samo słabego, lecz przez czas nieco dłuższy, a następnie zastrzyknę mu eter — to musi poskutkować!

Wszyscy się zbliżyli, choć bez ufności w nowy środek, lecz aby śledzić uważnie jego działanie. Było ono zrazu bardzo słabe, niewidzialne prawie, jednakże można było zauważyć, że muskuly i stawy traciły stopniowo swą sztywność. Ralf nie przerywał prądu i po jakimś czasie stało się widocznem, iż muskuly twarzy zwolniały, a ciało zaczęło odzyskiwać pewną giętkość.

— Teraz jest stosowna pora na zastrzyknięcie eteru — rzekł Ralf, usiłując pokonać ogarniające go wzruszenie.

Przywołując na pomoc całą siłę woli, napełnił eterem szprycę Pravaz'a. Oczy wszystkich śledziły go z niepokojem.

Wszyscy znali silne działanie eteru, który nawet konającym przywraca pozory życia. Gdyby ten środek miał zawieść — trzebaby się było wyrzec wszelkiej nadziei...

Miss Alberta nie spuszczała gorączkowo błyszczącego wzroku z rąk Pitchera, gdy ten powoli zagłębiał wydrażoną igłę w skórę przedramienia Roberta.

Upłynęło kilka sekund w grobowym milczeniu.

Wnętrze miniaturowej pompki było próżne — Robert nie dawał najłżejszych oznak życia...

Miss Alberta spojrzała na Jerzego wzrokiem pełnym rozpacz.

Lecz powoli twarz Roberta zaczęła się lekko zabarwiać różowym odcieniem, powieki drgnęły, a pierś poruszyła się słabym oddechem... Otworzył oczy, powiódł wkoło mętnem i nieprzytomnem wejrzeniem.

— Żyje... żyje! — wykrzyknęła Alberta z szaloną radością.

Ralf ruchem ręki nakazał spokój i szepnął półgłosem:

— Tak, żyje niewątpliwie... lecz nic tego życia jest tak wątłą i słabą, iż najmniejsze wstrząśnienie zerwać ją może. Wzrok jest przyćmiony i błędny... Nie mam odwagi powtórzyć wstrzykiwania eteru, bo może siły jego nie wystarczą na to...

Rozpoczęto więc znów energiczne rozcierania, lecz

Robert był wciąż nieruchomy, jakby pogrążony w śnie kataleptycznym. Słabe tylko uderzenia pulsu wskazywały, że iskierka życia tłała jeszcze w organizmie wycieńczonym niewygodami wszelkiego rodzaju.

Ralf patrzył ze zmarszczonymi brwiami; męczyła go myśl, że ten człowiek, tak mu drogi, nie wyjdzie już może nigdy z tej zmartwiałości...

Nagle przyszła mu do głowy myśl nowa.

— Panie Jerzy—zawołał—co się stało ze szczątkami bryły?

— Zaniósłem je podług pańskiego życzenia do gabinetu fizycznego i umieściłem na płytach porcelanowych. Pozbierałem także resztki rurek ze szkła czerwonego: jest w nich nieco płynu, który zawierały — zrobimy jego analizę później — nieprawdaż?

— Proszę, przynieś pan tu zaraz wszystek ten płyn!

— Cóż pan chcesz z nim zrobić?

— Nie wiem, czy mój domysł jest słuszny, lecz przypuszczam, że płyn ten ma własności toniczne, odżywcze i przywracające siły. Jest wiele lekarstw działających przez skórę...

— Możemy spróbować — odparł Jerzy po chwili namysłu—ja, coprawda, byłem przekonany, że rurki te zawierają zapas żywności lub powietrza, w jakie się Robert musiał zaopatrzyć na podróż tak daleką.

Wyszedł i wkrótce wrócił, niosąc w czarce szklanej ów płyn nieznan. Za pomocą małej gąbki, Ralf począł nacierać nim ciało i, uszczęśliwiony, spostrzegł wkrótce, że lekarstwo to wywiera cudowny skutek.

Twarz Roberta nabierała z każdą chwilą coraz więcej życia, oczy się otwały, wejrzenie ich było prawie przytomne, a ciało odzyskało możliwość ruchu.

Po półgodzinnych staraniach, nakoniec wróciła przytomność: wynędzniałą twarz rozjaśnił uśmiech, a źrenice nabrały wyrazu szczególnej słodczy.

— Jerzy... Miss Alberta! — wyszeptał głosem słabym, jak gdyby dochodzącym z oddali.

Wzrok jego nie mógł się już teraz oderwać od tych dwóch ukochanych twarzy, pochylonych nad nim z troskliwością niezmierną.

Lecz to wstrząśnienie było zbyt jeszcze silnem dla niego, gdyż po kilku chwilach oczy jego znów się zamknęły, a spokojny oddech świadczył o śnie głębokim.

— Ocalony! — zcicha zawołał Ralf — rękę za jego życie! Teraz potrzeba mu tylko spokoju i wygód.

Przybyły wkrótce z Bizerty doktor potwierdził tę djagnozę.

Robert, pomimo swego wynędznienia, był silnym i zdrowym — to też eskulap obiecał, że za parę tygodni wstanie z łóżka z pewnością.

Historji chorego słuchał jednak z grzecznem niedowierzaniem. Aby go więc przekonać, pokazano mu kawałki rozbitej bryły. Na ich widok, niedowiarstwo jego zmieniło się w zdumienie; prosił, aby mu dano jedną z rurek, napełnionych jeszcze płynem, którego rozbioru chciał dokonać. Podług jego przekonania, płyn ten zawierał wielką ilość tlenu.

Ralf nie widział przeszkody w obdarowaniu doktora ową rurką; prosił tylko, aby ten zachował bezwarunkowe milczenie co do wypadków, których willa była widownią. Odtąd zdrowie Roberta stale się polepszać zaczęło. Nie miał jeszcze tyle siły, aby dłużej rozmawiać, lecz sen jego był spokojny, odżywianie zaś, dzięki arcydziełom sztuki kucharskiej, przyrządzanym

przez lorda Frymcock, nie pozostawiało nic do życzenia i powracało mu siły.

W willi zapanował znów ruch i życie; gdyby nie strata kapitana i Boleńskiego, szczęście miss Alberty byłoby zupełnem.

Tylko jeden Zaruk był i teraz ponurym; gnębiła go wciąż ciągła trwoga, powtarzał, iż «niewidzialni», których po swojemu nazywał «dżinnami» — krążą w wielkiej ilości dokoła willi. Słyszał szelest ich skrzydeł zarówno w ciszy nocnej, jak i podczas ruchu dziennego.

Prześladowany temi widziadłami, biedny murzyn nie miał chwili spokojnej; nie ośmielał się też nigdy wychodzić dalej niż do ogrodu. Wielkiem także zmartwieniem jego była niewiara, z którą się na każdym kroku spotykał; w dodatku powrót Roberta tak pochłonał myśli i uwagę otaczających, że nikt nie chciał na jego słowa zwracać uwagi. Co najwyżej, mówiono mu, iż teraz, gdy zdobywca planet powrócił, potrafi znaleźć sposób na odpędzenie «niewidzialnych» lub ujarznienie ich w razie potrzeby.

Ale Zaruk, słysząc to, potrząsał smutnie swoją własnistą głową — i gdyby nie gorące przywiązanie, jakie miał dla miss Alberty i Ralfa, uciekłby pewnie do rodzinnej oazy na południu Afryki, gdzie jest wprawdzie zawiele słońca i piasku, ale za to niema «dżinnów»!

VIII. Opowiadanie Roberta.

Pomimo, że Ralf gorzał z niecierpliwości i z trudem powstrzymywał się od zadawania Robertowi niezliczo-

nych pytań, postanowiono, iż tenże nie będzie opowiadać pojedynczych wydarzeń, lecz opowie całą swą podróż. Czekano więc cierpliwie zupełnego powrotu Roberta do sił, aby mógł, mówiąc długo, zdać całkowitą relację ze swych przygód.

Ten czas wydawał się niestychanie długim tak miss Albercie, jak i reszcie otoczenia, a i Robert cierpiał nad tem, iż nie mógł zaspokoić ich ciekawości. Po tygodniu jednak pozwolono mu wstać z łóżka, a na drugi dzień wyszedł już do ogrodu, prowadzony pod rękę przez Ralfa i Jerzego. Z jakąż rozkoszą oddychał wonią jaśminów, magnolji, mirtów! Wszystkie te krzewy były jakby dawnymi przyjaciółmi, których o mało nie utracił na zawsze!

Jednego tylko zapachu nie mógł znosić: woń przepysznie kwitnących różowych oleandrów była mu nad wyraz wstrętną. Miss Alberta i Jerzy nie dziwili się temu, lecz Ralf, ze zwykłą ruchliwością umysłu, wysnuwał stąd różne domysły o lasach oleandrowych, które pokrywały zapewne równiny Marsa. Sok tych drzew, którego trujące własności wzmagają się w miarę gorącości klimatu, musiał tam być tak zabójczym, jak legendowe drzewo mancinelli, zabijające wszystkich przechodzących w pobliżu.

Robert używał teraz i czuł w całej pełni rozkosz powrotu do zdrowia; zwyciężył przecież dwa niebezpieczeństwa: chorobę i swą dziwną, nieprawdopodobną podróż międzyplanetarną, na wspomnienie której uczuwał jeszcze zawrót głowy.

Z początku jego wycieńczony żołądek ze wstrętem zaledwie przyjmował mięso z drobiu, starte na delikatną masę — później jaja na miękko, zwierzyna, soczyste

mięso, stare wina — następowały kolejno, powracając mu siły, odbudowując zużyte tkanki organizmu.

W dziesięć dni wyglądał już prawie tak, jak w czasie pobytu w Londynie, gdyśmy go poznali przed wyjazdem z Ardaveną do Indji — tylko nieco srebrnych włosów na skroniach, kilka zmarszczek przedwczesnych w okolicy oczu, zdradzały nadludzkie trudy i wysiłki, które przeszedł. Zdawał się jednak młodszym od Ralfa, a nawet od Jerzego—obu chwilowo zeszpeconych oparzelizną twarzą.

Czuł się przytem tak silnym, iż śmiejąc się, prosił o przyśpieszenie terminu, w którym mógłby zacząć opowiadanie swych przygód z międzyplanetarnej podróży, tak niecierpliwie oczekiwane przez całe jego otoczenie.

Umówiono się zatem, iż po obiedzie zbiorą się wszyscy w wielkim salonie, z okien którego rozciągał się przepyszny widok na lasy i morze.

Zgromadzenie całe miało nastrój nieco uroczysty.

Gdy Robert zasiadł na przygotowanym dla niego wygodnym fotelu, zapanowała cisza, będąca w równej mierze objawem podziwu, jak i ciekawości. Obok niego zajęli miejsca Ralf i Jerzy — naprzeciwko usiadła miss Alberta, promieniejąca szczęściem. Przy pobliskim stoliku z przyborami do pisania, umieścił się lord Frymcock, któremu pozwolono stenografować słowa Roberta. Za fotelem Ralfa stanął wierny Zaruk, a Kerifa przykucnęła na poduszce u nóg swej ukochanej pani.

Kolorowe lampki elektryczne, umieszczone między sztukaterjami sufitu, rzucały łagodne i fantastyczne światło na tę całą grupę.

— Moi drodzy — rzekł Robert — czy chcecie, abym

opowiadał od początku, czy też od czasu, kiedy sygnały świetlne zostały przerwane?

— Naturalnie, że od przerwania! — zawołał Ralf. — Sam mówiłeś, iż opisy twojej podróży, podane w dziennikach, są dość dokładne. Ulituj się więc nad naszą ciekawością — i opowiadaj!

— Niech i tak będzie! — odrzekł inżynier z uśmiechem i zaczął:

— Wiecie więc, iż mię te ludzkie nietoperze uniosły do jaskini i w niej uwięziły...

Tu twarz Roberta spoważniała nagle, a wzrok pobiegł w przestrzeń.

— Ach! Zdaje mi się, że dotąd widzę te ciemne sklepienia, podtrzymywane olbrzymimi stalagmitami... Czarna przestrzeń, usiana milionami błyszczących oczu, od których szedł półblask dziwny i przyćmiony — ściany okryte czarnymi, błoniastymi skrzydłami tych potworów, niby całunem śmiertelnym — tworzyły prawdziwie piekielną wizję. Panował tam zaduch nieznośny: pokłady nieczystości oraz zatęchłe resztki kości i mięsa, pozostałe po biesiadach tych potworów, wytwarzały niemożliwą do zniesienia atmosferę.

Przyznaję, że uczuwałem strach — i nie wiem, czy kto inny na mojem miejscu byłby odważniejszym — ale wstręt był silniejszym od lęku. Obrzydłe, z miękkich błon utworzone skrzydła muskały mię co chwila, co mię przejmowało niewypowiedzianą odrazą; ona to znieczulała moje nerwy i dlatego tylko nie zemdlałem.

Stałem pośrodku rojów tych straszylet, wytrzeszczających na mnie oczki, pełne złości, przytulony do skalistej ściany. Na nogach i rękach czułem mocne więzy z włókien roślinnych.

Erloorów przybywało coraz więcej: niekiedy na tle pomrukiwania groźnego a ciągłego, wybuchały ostre krzyki, piski, skowyty... Żaden sabat czarownic, lub różne «pokuszenia» uwieczniane w malowidłach średniowiecznych, nie mogą dać najmniejszego wyobrażenia o tem, co tam ujrzałem i przeszedłem.

Byłem pewny, iż potwory kłóca się o to, który z nich ma mię pożreć — i nie widząc sposobu ocalenia, wpadłem w zupełną obojętność.

Nigdy się nie dowiedziałem, o co im chodziło; jednak, mniej więcej po godzinie, w ciągu której przeszedłem tortury śmiertelnego oczekiwania, ohydny tłum zaczął się rozpraszać. W pośród szumu skrzydeł, jaskinia zaczęła się opróżniać, świecących punkcików było coraz mniej — wreszcie znikły zupełnie.

Zostałem sam w ciemności tak czarnej, że prawie dotykalnej.

Jeśli to nie było wybawieniem, to przynajmniej odpoczynkiem.

Wywnioskowałem, że zapewne Erloory, zwierzęta wyłącznie nocne, udały się na zwykłe łowy. Otaczająca mię cisza i samotność przyniosły mi wielką ulgę; byłem jednak straszliwie zmęczony i bardzo wygłodniały. Sen mię morzył, lecz obawa nie dawała mi usnąć.

Pomyślałem, że możeby się dało przetrzeć na skale bazaltowej, przy której stałem, moje więzy — i zacząłem nad tem pracować.

Już mi się udało oswobodzić lewą rękę i wyprostowałem ją w powietrzu, kiedy otrzymałem w nią uderzenie tak mocne i dotkliwe, iż krzyknąłem z bólu. Uczułem krew płynącą po ręce — i patrzcie: dotąd noszę ślady szponów Erloorów!

Tu Robert wyciągnął rękę, na której widniało pięć czerwonych blizn.

— Nie zauważyłem — mówił dalej — że za mną siedziało przyczajone jedno stworzenie, widocznie dla pilnowania mnie. Odwróciwszy się, spotkałem się z niem oko w oko. Źrenice jego błyszczały gniewem; groźnym mruknięciem ten potwór nakazał mi zaprzestanie usiłowań uciezki.

Zrozumiałem go i nie próbowałem już zrywać więzów, w końcu znużenie mię ogarnęło... i usnąłem.

Zmęczenie doprowadzone do najwyższego stopnia, zwycięża wszelkie uczucia, tak moralne, jak fizyczne. Widziałem to niezliczone razy—i fakt ten, że artylerzyści wyczerpani z sił, usypiają przy swych działach wśród huku bitwy, z lontem na dłoni — jest dla mnie zupełnie zrozumiałym.

Gdy się obudziłem; jaskinia była wciąż równie cicha; lecz zdawało mi się, że nikły brzask jutrenki zastąpił poprzednią ciemność — mogłem już w tym mroku odróżniać zarysy stalagmitów, podpierających sklepienie.

Ze wszystkich stron dochodził mię jakiś pomruk głuchy, rytmiczny a ciągły, niby warczenie oddalonych motorów. Nie wiedziałem zrazu, czemu to przypisać; dopiero później poznałem, iż było to chrapanie wstrętnych Erloorów, które za nadejściem dnia powróciły do jaskini i spały, zawieszane na nogach, głowami na dół, we wklęsłościach skał.

Potwór, będący na straży przy mnie, zdrzemnął się również i słyszałem tuż po za sobą jego głośne chrapanie.

Sen powrócił mi siły; rozmyślałem nad tem, czyby

podczas snu moich prześladowców, nie spróbować raz jeszcze ucieczki, gdy usłyszałem nad sobą łopot skrzydeł, płomieniejące oczy zabłyły przedemną... Uczułem, że coś ciągnie moje więzy, a chrapliwy głos wymówił:

— Pójdź!

Poznałem głos Erloora, którego oswajałem i który wydał mię swoim. Nauczyłem go wymawiać kilka słów z mowy marsyjskiej, a rozumiał prawie wszystkie.

— Dokąd chcesz mię zaprowadzić? — spytałem.

— Pójdź! — powtórzył, bijąc niecierpliwie skrzydłami.

To mówiąc, zdjął więzy z moich nóg, tak, że mogłem iść, lecz ręce pozostały skrępowane. Pod nogami czułem szczątki kości zwierzęcych, czasem zapadałem do kolan w pokład suchego guana, które było warte miliony i mogło zbogacić niejedno przemysłowe przedsiębiorstwo.

Szliśmy długim, podziemnym korytarzem, w końcu którego widać było słaby brzask światła dziennego.

Rozróżniałem już ściany, czarne i gładkie, zapewne z bazaltu. Mój dozorca nie leciał, lecz podskakiwał ciężko obok mnie, a skrzydła jego wlokły się po ziemi, jak brudny płaszcz; zauważyłem też, że w miarę zbliżania się do światła, ruchy jego były coraz mniej pewne.

Nie mogłem się wyrzec szalonej myśli, iż żałował teraz swej zdrady i chciał ją okupić daniem mi sposobności do ucieczki.

— Dokąd mię prowadzisz? — spytałem tonem rozkazującym, jak wtedy, kiedy był moim niewolnikiem w wiosce marsyjskiej.

Podniósł do góry swą łapę, zaopatrzoną w pazury

i potrząsnął nią, dając mi do poznania, iż nie może o tem mówić.

— Czy chcesz mię zabić? — pytałem z całym spokojem.

Poruszył głową przecząco. Przykro mu było widocznie, że idę tak odważnie, lecz widziałem, że już ani słowa nie wyciągnę z niego.

Gdzież i jaki może być cel naszej drogi? Gniew mię ogarnął — krzyknąłem więc:

— Chcę stąd wyjść! Każę ci, abys mię natychmiast wyprowadził!

I rozpaczliwym wysiłkiem rozluźniłem naderwane wczoraj więzy. Rzucił się wtedy na mnie, a ja wolną prawą pięścią uderzyłem go z całej siły w piersi.

Zachwiał się i upadł, płacząc nogi w swych skrzydłach.

Przez chwilę miałem się za zwycięzcę — lecz padając, pochwycił jedną z kul kamiennych, zakończających lasso, krępujące mi nogi: sznur się zacisnął mocniej, aż uczułem ból.

Zarzechotał wtedy strasznym śmiechem, który wykrzywił jego twarz ohydą.

— Dobrze! — rzekłem — nie chcesz powiedzieć dokąd idziemy — nie pójdę dalej!

I zatrzymałem się natychmiast. Chciał mię pociągnąć z sobą, lecz pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł tego dokazać. Wtedy wskazał na koniec galerji, gdzie widać było nieco światła i wymówił słowo «jeść» jedno z pierwszych, jakich go nauczyłem.

Zrozumiałem więc, że chce mi dać coś do zjedzenia; byłem zbyt głodnym, ażeby mu się dłużej opierać i poszedłem za nim.

Nie mogłem się nigdy dowiedzieć, czy to zrobił ze swego natchnienia, czy też z czyjegós rozkazu.

Nie uszliśmy dwudziestu kroków, kiedy się stało znacznie jaśniej: na ziemi widać było mnóstwo kości dawnych i świeżych, oraz odpadków wszelkiego rodzaju.

Światło najwidoczniej razilo wzrok Erloora: szedł teraz powoli, mrugając oczami, ze schyloną głową, ja zaś szedłem coraz to prędzej, pociągając go za sobą.

Jak to przewidziałem, po niejakim czasie wyrwał mi się i zatrzymał w miejscu, chowając głowę pod skrzydło.

Wydałem okrzyk radości i zacząłem biedz jak szalony, wiedząc, iż w świetle dziennem będę zabezpieczonym od jego pościgu. Lecz on nie próbował nawet tego; siedział na ziemi, skurczony i najzupełniej nieruchomy.

Ja zaś pędziłem, jak gdybym miał skrzydła, pewny, że ten otwór, jaśniejący blaskiem dziennym, jest dla mnie wyjściem z niewoli.

Jakże gorzki zawód mię czekał! To, co brałem za wyjście z korytarza, było tylko olbrzymiem oknem, mającem z drugiej strony ścianę prostopadłą, najzupełniej gładką! Wychyliwszy się przez nie, ujrzałem, o jakieś tysiiąc stóp pod owem oknem, żółtawe, mętne fale burzliwej rzeki.

Niepodobna było wydostać się stąd bez pomocy skrzydeł! Rozpacz mię ogarnęła... Byłem tym zawodem tak znękany, iż uczulem łzy w oczach.

Po długiej chwili dopiero ujrzałem, że z okna tego rozciągał się widok piękny i rozległy. Lasy, widziane z góry, wyglądały jak wzorzysty kobierzec. Kolory: żółty, czerwony i pomarańczowy iskrzyły się całym

bogactwem odcieni. Tysiące ptaków krążyły w powietrzu, a zębate szczyty gór różowo-czerwonych zamykały daleki widnokrąg.

Ten piękny widok uspokoił mię trochę. Po namyśle uznałem, iż na razie będzie najlepiej powrócić do mego Erloora, choć jego postępowanie ze mną było niezrozumiałem.

Nasyciwszy wzrok barwami i światłem, wracałem już do mej ciemnej i cuchnącej pieczary, kiedy uszedłszy kilka kroków, spostrzegłem wgłębienie w skale, którego wprawdzie nie zauważyłem. Na kawałku gładkiego drzewa leżały tam owoce, kawał piezzonego mięsa i sporo smacznych, trójkątnych ślimaków, które były moim pierwszym na tej planecie pokarmem.

Erloory zapamiętały jednak dobrze, co Marsjanie jadali obecnie. Naczynie z kory, pełne czystej wody, uzupełniało tę ucztę, która mi powróciła siły, a w ślad za tem, na wiele rzeczy zacząłem patrzeć inaczej. Powiedziałem sobie:

— Rzecz widoczna, że Erloory nie mają zamiaru mnie zabijać; widocznie jestem im potrzebnym: ale na co?

Nie mogąc tego na razie odgadnąć, postanowiłem posłuszeństwem i spokojnem zachowaniem się, uspić czujność moich prześladowców, a tymczasem obmyślać ucieczkę, której plan już mi świtał w głowie.

Nie miałem z czego spleść sznura tak długiego, aby dosięgnął powierzchni rzeki, ani czasu, aby to wykonać — ale postanowiłem zbudować spadochron. Mocne włókna roślinne, któremi byłem skrzepowany, oraz moje ubranie z piór, miały mi dostarczyć potrzebnego materiału.

Przywiążę sobie do ramion ten przyrząd i skoczę do rzeki, którą przepłynę z łatwością...

Siedziałem jeszcze długo przy oknie, jak gdyby chcąc wchłonąć w siebie zapas światła i powietrza przed powrotem do mego dusznego i ciemnego więzienia.

Już miałem odejść, kiedy w dali ujrzałem... o radości! wązkie pasmo niebieskawego dymu, wznoszące się w górę z pomiędzy drzew.

Ten widok nappełnił mię szaloną radością, nadzieją—ten lekki słup dymu zwiastował mi, że mam niedaleko oddanych mi przyjaciół, którzy mi dopomogą w ucieczce. Przecież Marsjanom tylko znane było rozniecanie ognia — Erloory bały się go straszliwie!

Przypuszczałem, iż Marsjanie mię szukali i serce moje biło gwałtownie na myśl, iż mam tak blisko siebie wiernych przyjaciół.

Nie mogłem się oderwać od tego widoku: musiałem użyć całej siły woli, aby zagłębić się znów w ponurą, ciemną galerję... Dozorcę mojego znalazłem tam, gdzie go zostawiłem: odprowadził mię w milczeniu do jaskini. Cały nieskończenie długi dzień zeszedł mi na rozmyślanie nad mojem położeniem, lub spaniu. Gdy noc zapadła, Erloory zbudziły się ze swego odrętwienia i pieczara znów się zapełniła łopotaniem skrzydeł, świecące oczy błyskały zewsząd...

Zauważyłem jednak, iż teraz mniej zwracano na mnie uwagi. Widocznie, choć mój dozorca nie odstępował mię ani na chwilę, przestałem zaciekawiać resztę potworów. Było to bardzo sprzyjającym dla mojego projektu ucieczki.

Zaczęło się teraz dla mnie życie przerażająco jednostajne.

Każdego ranka, mój Erloor prowadził mnie do miejsca, w którym zastawałem żywność, dla mnie przeznaczoną i mogłem napawać się dowolni światłem i powietrzem.

Niestety, nie ujrzałem więcej owego pasemka dymu, które wzbudziło we mnie tyle złudnych nadziei!

Przygotowywałem się w tajemnicy do budowy spadochronu: w szczelinie skały schowałem kilka ostrych skorup ze zjedzonych ślimaków — miały mi one posłużyć do przecinania włókien. Obrachowałem, że tutaj, wskutek mniejszej, niż na Ziemi, siły przyciągania, spadochron może być również mniejszy; nic jednak nie mogłem przedsięwziąć w ciągu całego tygodnia, gdyż mimo pozornej wolności, byłem ściśle strzeżonym.

Rozpacz mię ogarniała: czułem, że energia moja słabnie i że zatrute powietrze jaskini nabawi mię wkrótce jakiej choroby. Erloory wbrew memu początkowemu mniemaniu, okazały się przy bliższej obserwacji tylko krwiożerczemi zwierzętami; całego rozumu używały na mordowanie słabszych od siebie.

Jedyną ich inteligentną czynnością było splatanie mocnych sznurów z łyka drzewnego (podobnemi i mnie skrzepowano), które im zapewne służyły do ich nocnych łowów.

Sądzę jednak, iż robiły to bezwiednie i odruchowo, gdyż nie było w tej robocie żadnego urozmaicenia: sznury były wszystkie jednej grubości i długości, z kulą kamienną na jednym końcu.

Czynnością tą zajmowały się stare Erloory, nie mogące już latać. Przypuszczam, że sznury te musiały

im służyć zamiast wędek na ryby — od których roiły się kanały marsyjskie — w czasie, gdy im brakło zwierząt lądowych na pokarm.

Gdy wzrok mój oswoił się z ciemnością panującą w podziemiu, odważyłem się pewnego dnia zapuścić w kręte jego korytarze: były one nadzwyczaj rozległe i niektóre z rozgałęzień były tak głębokie, iż nie odważyłem się w nie zapuszczać.

Z początku nie umiałem sobie wytłómaczyć skąd się wzięła tak wielka ilość kości i szkieletów w miejscu mego pobytu; lecz przyjrzawszy się im bliżej, poznałem, że są to szkielety starych Erloorów, które zapewne od wieków tu przychodziły na świat, żyły i ginęły, a szczątki ich zatruwały powietrze swemi wyziewami.

Wkrótce do wszystkich trosk moralnych i fizycznych przyłączyła się myśl, która mi zatruła ostatecznie pobyt w straszliwej jaskini, gdzie czułem się jakby pogrzebanym żywcem. Była to obawa o los dobrodusznych Marsjan, którzy byli teraz pozbawieni mojej opieki.

Prawda, iż jak nowy Prometeusz, zdobyłem ogień i obdarzyłem ich tym darem bezcennym, będącym potężną bronią przeciw ich prześladowcom: znając jednak ich ociężałość i niedbalstwo, przeczuwałem, że poprzestaną na pozorach obrony, a to wkrótce zakończy się zwycięstwem ich wrogów.

Nawiedzały mię wówczas okropne obrazy okrucieństw, spełnianych na tych dobrych ludziach, słyszałem jęki, widziałem ciała ich szarpane straszliwemi szponami — i serce mi się krajało na myśl o losie, jaki czekał moich przyjaciół!

Zrozumiałem wtedy postępowanie tych potworów ze

mna: oto trzymano mię tu dla uczynienia Marsjan bezbronnymi, oddanymi na ich łaskę i niełaskę!

Wreszcie nadeszła chwila przełomowa: na myśl o nieszczęściach, na jakie wystawieni są moi przyjaciele, uczułem gniew szalony, który wyrwał mię z przygnębienia i martwoty, w jakich byłem dotąd pogrążonym.

— Jak to? — rzekłem — dokonawszy takich rzeczy, jakich dokonałem, mam zostać potulną ofiarą tych wstrętnych, okrutnych straszylek? Nie! póki żyję do tego nie dopuszczę — przysięgam! Może mi się nie uda wyrwać stąd — ale spróbować muszę!

I zacząłem natychmiast zgromadzać materiały na spadochron. Miałem wielką trudność z wyszukaniem giętkich prętów dla zbudowania szkieletu, który następnie miałem pokryć swoim ubraniem: lecz przypomniałem sobie, iż w jaskini widziałem dużo starych, opuszczonych gniazd Erloorów. Były one zbudowane z mocnych, giętkich ljan i nadawały się wybornie do mojej roboty.

Przez kilka dni poprzednich, przecinałem, siedząc sam u okna, włókna moich więzów, za pomocą ostrych muszli, tak, że choć trzymały się jeszcze, mogły być w każdej chwili zerwane. Za nadejściem nocy, gdy obrzydłe stworzenia wyleciały ze swej pieczary na łąwy — wzięłem się do roboty. Jak mi się zdawało, powinienem był ukończyć swoją pracę przed ich powrotem.

Mój stróż również odleciał z nimi, będąc zapewne przekonany, iż dostatecznie się już przyzwyczaiłem do mego więzienia.

Była to okoliczność szczęśliwa, z której należało korzystać.

Wielką przeszkodą był mi brak potrzebnych narzędzi, oraz ból skaleczonej przez Erloora ręki, która dotąd nie mogła się zagoić. Jednak pomimo to wszystko, pracując po ciemku, zdołałem wykończyć mocny szkielet sporego parasola, bez rączki, z otworem pośrodku. Na krótki czas przed świtaniem skończyłem swoją pracę, a niezadługo gromady Erloorów zaczęły się zlatywać, napełniając jaskinię szumem skrzydeł i wstrętą wonią swoich ciał spoconych.

Neleżało teraz czekać dnia: siedziałem więc spokojnie w swojej framudze, zakrywając sobą mój przyrząd, drżąc z niecierpliwości. Upłynęło w ten sposób około pół godziny: wracały jeszcze pojedyncze Erloory, podlatując ciężko, uchodząc przed zbliżającym się dniem.

Nakoniec przez czas dłuższy nie przybył żaden więcej, a miarowe chrapanie, rozlegające się ze wszystkich stron, dowodziło, iż potwory popadły już w sen głęboki.

Była to pora, kiedy ciemność blednie, ustępując powoli: byłem tak zdenerwowany spędzoną bezsennie nocą, oraz blizkiem, jak mi się zdawało, wyswobodzeniem, iż nie czekając wschodu słońca, wbiegłem w korytarz, ciągnąc za sobą swój przyrząd. Doszedłszy do okna, ujrzałem przy ziemi bladą linię świetlną: z rzeki szła rzeźwa, wilgotna woń — dzień się zbliżał.

Z rozkoszą oddychałem czystym, chłodnym powietrzem!

Postanowiłem nie czekać dłużej: obejrzałem starannie mój spadochron, przywiązałem go do ramion i skoczyłem. Uczułem się w próżni...

Przebyłem zaledwie trzecią część drogi, gdy ciemna jakaś masa przysłoniła mi oczy: uczułem się pochwyt-

conym w locie i uniesionym do góry, jak gołąb porwany przez jastrzębia.

Nieszczęście chciało, że dostrzegł mię ostatni z powracających Erloorów!

Jakże gorzko wyrzucałem sobie swoją niecierpliwosć!.. Schwycony w pół ciała, owinięty błoniastem skrzydłem, przyciśnięty do wstrętnego stworzenia, zaledwie mogłem oddychać.

Było to nieopisanie straszne: czułem po gorączkowym trzepotaniu się mego prześladowcy, po jego przyspieszonym i chrapliwym oddechu, że ciężar mój był nad jego siły prawie. Przez chwilę byłem pewnym, iż mię puści i spadnę do rzeki; już nawet przez pewien czas zniżył swój ciężki lot — lecz nagle gorączkowo wzbił się do góry i ostatnim wysiłkiem złożył mię wpół martwego na oknie, z którego tak niedawno wyskoczyłem... Wtedy, chcąc mi widocznie odjąć spójność i nadzieję nowej ucieczki, zaczął szarpać na strzępy mój biedny spadochron, który z takim trudem i mozołem zbudowałem.

Później silnem szarpnięciem porwał mię z okna i włókł za sobą, wydając, zapewne na znak radości, przenikliwe gwizdanie.

Odprowadził mię na to samo miejsce, gdzie się już tyle czasu przemęczyłem i wydał krzyk ostry, gwałtowny, który natychmiast rozbudził mnóstwo Erloorów.

Znów ujrzałem miliony oczu, płonących dokoła, a groźny pomruk dawał się zewsząd słyszeć. Lecz teraz nie ciekawość wiodła ku mnie te potwory: w ich chrapliwych głosach czułem złość i groźbę.

Popychały mię, drapały, uderzały całym ciałem: jak Indjanin, przywiązany do «słupa męki», czekałem tylko, rychło mię rozszarpia na kawałki

W tej chwili doznałem jakby chwilowego omdlenia, czy jasnovidzenia. W chwili, gdy najzacieklejszy z moich wrogów rzucił się na mnie z wyciągniętymi szponami, uczułem, że tracę zmysły... Jakiś obłok zasłonił mi wszystko, co mię otaczało. Ujrzałem się w rodzaju pagody indyjskiej i widziałem przez chwilę miss Albertę, ciebie Ralii i trzecią twarz, nieznaną mi zupełnie.

— Do licha! — wykrzyknął Ralf — to musiało być bezwątpienia tego dnia, kiedy na żądanie biednego kapitana, pewien jog, imieniem Fara-Szib wywołał twój obraz!... Istota twoja wtedy tak się uduchowiła, iż na tę chwilę przybyłeś do nas: byłem tam i widziałem cię oraz Erloora, który się na ciebie rzucał równie wyraźnie, jak i teraz.

— Nie zaprzeczam temu, gdyż wszystko jest możliwem — rzekł Robert — opowiadam tylko. Ten stan szczególniejszy trwał zaledwie kilka sekund, po upływie których wróciła mi pamięć mego strasznego położenia; wpośród płonących wielką nienawiścią oczu i ostrych szponów — uczułem się zgubionym.

Teraz już nie poprzestawano na krzykach i pogróżkach. Co chwila któryś z potworów unosił mię na kilka stóp w powietrze, poczem spadałem na ziemię, zasłaną kośćmi, raniąc się boleśnie.

Inne ciągnęły mię za ręce i nogi, jakby chcąc rozszarpać żywcem, a jeden podniósł mię za włosy. Słowem, bawiły się ze mną złośliwie i okrutnie, jak kot z myszą.

Już miałem ramię rozdarte pazurami, cały byłem

pokrwawiony, w pół oślepiiony... Całą duszą pragnąłem śmierci, aby prędzej te katusze zakończyła...

Po raz dziesiąty może leżałem na ziemi, wśród pastwiących się nade mną Erloorów, kiedy usłyszałem straszną wrzawę w głębi jaskini, a jednocześnie ukazała się światłość czerwona, wciąż się zwiększająca.

Potwory puściły mnie natychmiast, wydając dzikie okrzyki zgrozy... Kręciły się bezmyślnie w powietrzu, jak liście, pędzone wichrem, nie mając innego wyjścia prócz galerji, z której przybliżał się ów blask złowrogi.

Widok odbłasku ognia, niewytlómaczony, niespodziany — powrócił mi siły i energję. Schwyciłem jakąś puszczel, leżącą na ziemi i szedłem w kierunku zbawczego blasku, rozdając razy na prawo i lewo.

Nagle...

Krzyk radości i tryumfu wydarł się z mej piersi: przy świetle pochodni ujrzałem kilkunastu Marsjan, prowadzonych przez moją wierną Eoję!

Szli więc za mną, odszukali mnie, choć ich porzuciłem i przybywają mnie wybawić! To było z ich strony szczytem odwagi!

! Na mój widok zaczęli krzyczeć z radości, lecz nie było chwili do stracenia: nasz jedyny a straszliwy sprzymierzeniec — ogień, mógł się wkrótce wyczerpać. I teraz kilka pochodni było już wytraconych z rąk, kilka zgasto od silnego podmuchu skrzydeł... Kazałem znieść na środek jaskini wszystkie gniazda, uplecione z ljan i podpalić je natychmiast.

Wkrótce buchnął jasny płomień, oświetlając wszystkie zakątki jaskini i zaczęło się prawdziwie piekielne widowisko. Erloory, duszone dymem, wzbijającym się

pod sklepienie, gdzie się schroniły, spadały na dół wprost w olbrzymie ognisko, gdzie Marsjanie urządzali z nich rzeź prawdziwą, bijąc je swemi maczugami lub dusząc bez litości.

Był to widok straszny: niby rozdział Apokalipsy, ilustrowany przez malarza o bujnej wyobraźni...

Ogień, strzelający wysoko, wśród ścian czarnego bazaltu, te postacie potworne, wijące się w mękach wśród płomieni, krew płynąca strumieniami, krzyki, wycia ogłuszające — tworzyły obraz, który ścinał krew w żyłach...

Nakoniec wyszliśmy, nie mogąc wytrzymać straszego zaduchu palących się ciał — przez galerję, której dotąd nie widziałem: miała ona pozór dopiero co wykopanej...»

W tem miejscu Robert umilkł, oświadczywszy, iż musi nieco odpocząć; słuchacze jego jednak tak byli pod wrażeniem słyszanych okropności, że nikt nie przerywał milczenia. Kerifa tylko wstała i podała opowiadającemu chłodny sorbet, który Robert wypił z przyjemnością.

Odpocząwszy chwilę, opowiadał dalej.

IX. Po zwycięstwie.

«Dopóki walczyłem z Erloorami, podniecenie gorączkowe podtrzymywało moje siły: nie czułem zmęczenia ani bólu z ran otrzymanych.

Lecz, gdy uczułem się swobodnym, nerwy moje uległy wyczerpaniu i wpadłem w omdlenie, trwające

kilka godzin: wszelkie starania poczciwych Marsjan nie mogły powrócić mi przytomności.

Kiedy otworzyłem oczy, Eoja siedziała przy mnie i skrapiała mi twarz chłodną wodą. Gdy ujrzała, że się ocucilem, jej dobre, jasne oczy zabłysły radością: zaczęła mię całować, śmiejąc się i płacząc naprzemian.

Wyznaję, iż nieraz mię nużyło jej przywiązanie dziecinne i czasem nieco natrętne — teraz jednak wrzucała mię jej radość i poświęcenie.

— Jakże nas przeraziłeś swoim zniknięciem! — szepnęła tkliwie — byliśmy pewni, że cię Erlóory pożarły... Widzisz jednak, żeśmy cię nie opuścili! Przyrzeknij mi, że już nigdy nie będziesz tak nierozważnym!

— Przyrzekam — odpowiedziałem, wzruszony tem naiwnem przywiązaniem.

— Nie powinienes nigdy zapuszczać się bez nas w przekłete kraje Południa! Erlóory nie są największem niebezpieczeństwem tych krain... No, ale sądzę, że już wyleczyłeś się ze swojej ciekawości! Wrócimy teraz w nasze strony, gdzie będziemy spokojni i szczęśliwi!

Ze wszystkiego, co mówiła, jedno zdanie utkwilo mi w pamięci:

— Więc mówisz, że oprócz Erloorów, kraj ten zawiera inne jeszcze niebezpieczeństwa? Jakież to, wytłomacz mi!

— Nie wiem... — wyjąkała jakby załujac, iż powiedziała zawiele.

— Jakto? Nie wiesz o tem?

— Wiem tylko, iż jest to kraj straszny, z którego nasi pradziadowie zostali wygnani dawno, bardzo dawno.

Ojciec mówi, że nie trzeba się tam nigdy zapuszczać!

Nie mogłem się więcej od niej dowiedzieć — lecz i nad tem zamyśliłem się głęboko.

Niestety, biedna Eoja napróżno mię upominała. Byłem wyczerpany niewygodami, bezsennością, zmęczeniem, poraniony — nigdy jednak nie uczuwałem gorętszej chęci przeniknięcia i zbadania tajemnic tej planety i przysięgłem sobie, iż to uskutecznię.

Tymczasem otoczyli mię Marsjanie, wydając okrzyki radości. Niektórzy całowali moje ręce, inni tańczyli lub śmieli się hałaśliwie. Ci dobrzy ludziska uwielbiali mię, jak poddani z bajek, lub romansów rycerskich, co się zaznaczało przy każdej sposobności.

Opatrzyli moje rany, okładając je liśćmi dzikiego geranium, które mają własność szybkiego zablizniania ran. Ubrali mię w nową suknię z piór i podali mi wkrótce wszystko, na co się mogli zdobyć: mięso pieczone, owoce i czystą wodę.

Pochłonałem to łakomie, co napełniło ich zachwytem. Eoja krajała mi mięso na drobne kawałki, podając często wodę i patrząc na mnie z uśmiechem. Byliśmy wtedy nad brzegiem rzeki, na którą tak często patrzyłem z okna mojego więzienia.

Na drugim brzegu, góra mieszcząca w sobie jaskinie Erloorów, wybuchała przez wszystkie okna pasmami dymu.

Byłem pewnym, że ogień i Marsjanie wytepełili wszystkie te potwory. Myliłem się jednak! Ujrzałem nagle w oknie jednego z nich, wydającego dzikie okrzyki bólu: po chwili wyskoczył głową na dół i wpadł do rzeki, lecz oślepiiony jasnością dzienną, wkrótce zniknął pod wodą, ku wielkiej ucieście moich przyjaciół. Ten sam los spotkał jeszcze kilku — żaden z nich nie ocalał.

Miejsce, gdzieśmy obozowali, było śliczne.

Była to polanka otoczona drzewami, otwarta od strony rzeki, z wybrzeżem, pokrytem różowym piaskiem.

Drzewa te, jak wszędzie zresztą, przedstawiały jaskrawą mieszaninę wszelkich odcieni koloru żółtego i czerwonego. Nie były to już topole, czerwone wiązy i orzechy, z których się składały lasy na północy tej planety. Wspaniałe drzewa z rodzaju bananów rozpościerały na wietrze swe delikatne korony, utworzone ze złocistych liści: był to literalnie złoty las — a to bogactwo kolorów aż nużyło wzrok zdumiony.

Ziemię pokrywał mech pięknego fijołkowego koloru, miękki i puszysty. Cały ten krajobraz był tak uroczy, że patrząc na niego, obawiałem się, czy nie śnię czasami.

Wyrwałem się wreszcie z niemego podziwu, prosząc Eoję, aby mi opowiedziała, w jaki sposób zdołali mnie odszukać, gdyż znając leniwy i bojaźliwy charakter moich przyjaciół, nie umiałem sobie tego wytiomaczyć.

To ją widocznie uradowało i nappełniło dumą. Zaczęła natychmiast mówić:

— Kiedy nas porzuciłeś, nie wiedziałam, co myśleć o tem; byłam pewną, że cię już nie zobaczę więcej — i płakałam długo, długo. Za nadejściem nocy rozpaliłszy wielki ogień, ale zdawało się nam, że nie potrafi on nas już bronić, skoro ciebie zabrakło. Patrzyliśmy na siebie ze smutkiem — wreszcie ja pierwsza otrząsnęłam się z tego przygnębienia i powiedziałam:

— Musimy go odszukać: jeżeli nikt z was nie zechce mi towarzyszyć, pójdę sama i muszę go odnaleźć.

Zaczęto mi odradzać; jedni wołali, że noc już za-

pada, inni, że muszą z twego rozkazu bronić wioski, inni jeszcze — że sam dasz sobie radę, a nas wymordują Erloory, bez żadnej dla nikogo korzyści.

Przekonywałam ich, jak mogłam, przedstawiając im jak rozmaite nieszczęścia spaść mogą na nich, jeśli dozwolą zginąć swemu panu i dobroczyńcy. Mówiłam, że może umyślnie uszedłeś gdzieś daleko, dla wypróbowania ich odwagi w odszukaniu cię. Nareszcie udało mi się nakłonić ich do puszczenia się w drogę z zapalonemi pochodniami.

Łatwo nam było z początku postępowania w ślad za tobą, gdyż droga, którą odszedłeś, była z obu stron obrosła kolczastemi krzakami, a na piasku widać było ślady stóp twoich. Tą drogą szliśmy ze dwie godziny, paląc dla oszczędności jedną tylko pochodnię, ale dużo, dużo ich mieliśmy ze sobą.

Cisza zupełna została naraz przerwana oddalonymi krzykami, które zbyt dobrze były nam znane. Nie można było wątpić — to były wrzaski Erloorów! Na ten głos przyspieszyliśmy kroku i biegli, co sił. Krzyki ucichły, lecz nieopodal ujrzeliśmy ślady walki: ziemia była stratowaną, a na niej tu i owdzie leżały czerwone i zielone pióra z twego ubrania.

Niestety! był to dowód niezbity, że zostałeś wprowadzonym przez te potwory!

W tej chwili chmury rozsunęły się nieco i przy świetle naszych księżyców, Fabosa i Dejmosa (czy dobrze pamiętam ich nazwy, które mi powiedziałeś?) ujrzeliśmy górę gładką skalistą, dokoła której krążyły roje Erloorów.

Moi towarzysze na ten widok chcieli uciekać, gdyż zrozumieli, że są w pobliżu schronienia strasznych wrogów, do którego cię wtrącono!

Jedna tylko rzecz uspokoiła mię nieco: wiemy, że pożerają oni swoje ofiary natychmiast po ich pochwytceniu; jeśli cię więc zabrano żywcem, to zapewne nic i nadal twojemu życiu nie zagrażało. Pomimo tej myśli, noc całą spędziłam bezsennie, w śmiertelnej trwodze: mężczyźni nasi rozpalili duży ogień pod dachem z gałęzi, wszystkich jednak przejmował strach z powodu bliskości strasznych nieprzyjaciół.

Widzieliśmy nawet całe ich gromady, lecące do jaskini i z powrotem — lecz nie zwracały wcale na nas uwagi.

Może mając w niewoli głównego swego prześladowcę, o nas wcale się już nie troszczyły, lub pogardzały nami?

Z uczuciem ulgi powitaliśmy wschodzącą jutrzenkę a Erloory wygnane jasnością, znikwały w otworach góry; wkrótce nie zostało z nich ani jednego.

Wtedy złożyliśmy naradę: wielu, straciwszy odwagę, chciało się puścić w powrotną drogę na północ. Inni dowodzili samolubnie, iż człowiek tak nadzwyczajny, jak ty, mój drogi, da sobie sam radę i obędzie się bez naszej pomocy.

Musiałam ich wstydzić za tę małoduszność i tchórzostwo. Po długich sprzeczkach postanowiliśmy, że będziemy jeszcze czas jakiś obozowali na tem samem miejscu, podtrzymując ogień, aby ci oznajmiał naszą obecność. Czy go widziałeś kiedy? *)!

*) Jak to zaznaczają notatki Roberta, mała Eoja nie wyrażała się tak poprawnie, aby jej opowiadanie mogło być zrozumiałem dla czytelników ziemskich — musieliśmy je zmieniać i uzupełniać w wielu miejscach.

Ach, przypomniałem sobie teraz ten słup dymu, który mi sprawił tyle radości i podtrzymał w rozpaczy!

— Dzień ten spędziliśmy — mówiła Eoja dalej — na szczegółowem oglądaniu góry. Niestety! była ona ze wszech stron niedostępną i trzeba się było wyrzec myśli dostania się do jej środka.

Zniechęcenie doszło do wysokiego stopnia. Wszyscy chcieli już powracać, kiedy jednemu staruszkowi udało się zrobić ważne odkrycie: w jednym miejscu twardy bazalt był poprzecinany grubemi pokładami ziemi. Podał więc myśl, aby się podkopać takim pokładem wewnątrz góry, aż do schroniska Erloorów, które zaskoczone we śnie, lub oślepięone światłem, nie będą mogły stawiać nam oporu. Na tym pokładzie ziemi, u stóp góry, rosły gęste krzaki, które mogły nas i naszą pracę ukryć przed oczami Erloorów: Wszyscy chwycili się tej myśli, choć podkop w tych warunkach przedstawiał wiele trudności!

Z rozpaczą zapytywałem siebie, czy nie przyjdzie mi zapóźno? czy cię te potwory nie pozbawią wcześniej życia?

Tego samego wieczoru jednak pozyskaliśmy cennego sprzymierzeńca: w jeden z dołów, wykopanych przez nas na brzegu rzeki, wpadł przepyszny, ogromny romboo. Natychmiast zwiąaliśmy go mocno i postanowili zmusić do kopania podziemnego przejścia. Nie przyszło nam to łatwo! Kosztem całodziennych wysiłków zdołaliśmy go zaledwie uspokoić, gdyż rzucał się, jak szalony, w swoich więzach i pieniał się ze złości, wydając głuche ryki.

Musieliśmy go biciem i pozbawieniem pokarmu nieco poskromić, lecz to niewiele pomogło: skuteczniejszym

się okazało przybliżanie do niego garnka z gorącemi węglami. Czując ciepło od nich idące, bał się go straszliwie i zaczynał wkopywać się w ziemię ze strachu.

Nam też więcej nie trzeba było!

Przyprowadzony do pokładu ziemi, o którym ci mówiłam, wziął się natychmiast do roboty; jego ogromne pazury, twarde jak kość słoniowa, wyrzucały co chwila w powietrze ziemię i kamienie ze zdumiewającą szybkością. Wszyscy mężczyźni na zmianę wynosili z przejścia podziemnego wykopaną ziemię, rozszerzając je nieco jeszcze motykami. Na noc wróciliśmy do obozu, strzegąc pilnie naszego kopacza.

Po dwóch dniach usilnej pracy, znaleźliśmy się na koniec w jaskini, gdzieśmy cię zobaczyli... — Resztę już wiesz! — kończyła wesoło — ogień, dobry ogień pomógł nam oswobodzić cię całkowicie! Teraz już nas nie opuścisz... prawda?

Powiedziawszy to, Eoja spuściła skromnie oczy, lecz widać było, jak jest dumna z dokonanego wielkiego dzieła oswobodzenia mnie z niewoli! Ja sam byłem zdumiony odwagą tak jej, jak i reszty Marsjan: wzruszało mię ich przywiązanie do mnie, którego dowiedli czynem.

Nie poznawałem w nich dawnych mieszkańców bagnisk, nędznych i oglupionych przez swoich wrogów; przyrzekłem sobie nie pozostawiać ich bez mojej opieki i zrobić wszystko, co będzie w mojej mocy, dla zapewnienia im dobrobytu i bezpieczeństwa.

Tego dnia wieczorem i przez część nocy ucztowaliśmy obficie, gdyż lasy tamtejsze pełne były zwierzyny, a moi Marsjanie doszli już do wielkiej biegłości w strzelaniu z łuku.

W lasach tych zobaczyłem po raz pierwszy odmianę pawia, z upierzeniem blado-różowem i purpurowemi koralami na szyi, jak u naszych indyków, oraz rodzaj strusia, żółto-żłocistego koloru. Nie miał on w skrzydłach piór fryzowanych, jak strusie afrykańskie, lecz cały był pokryty długimi nitkowatemi piórami, które wyglądały jak żłociste runo!

Żaden z ptaków ziemskich nie był do niego podobnym.

Mięso jego, wskutek żywienia się aromatycznymi jagodami, było nadzwyczaj smacznem.

Muszę też wspomnieć o żółwiu, przypominającym nasze, lecz pokrytym tak pięknym pancerzem pomarańczowego koloru, iż zdawał się być ukutym z przyciemnionego nieco złota.

Z pod tej błyszczącej tarczy wysuwała się szyja długa i giętka, a wysokie nogi i potężnie rozwinięty ogon pozwalały mu dawać wielkie skoki, na wzór kangura lub olbrzymiej żaby.

Żółw ten przebywał w bagnach, żywiąc się owadami i drobnymi ssakami.

W tej samej okolicy Marsjanie zabili jeszcze jedno stworzenie, nie mające podobnego sobie ani w dziełach naturalistów, ani w najbujniejszej wyobraźni fantastycznych malarzy. Wyobraźcie sobie straszdyło dwunogie, około metra wysokości mające, na nogach cienkich, jak u ptaków brodzących; głowa jego była raczej tylko olbrzymią, jak u kajmana, szczęką, uzbrojoną wielkimi, ostremi kłami, wydłużoną, jak u kajmana lub krokodyla. Po za tem, tułowia prawie nie było. Kolumna pacierzowa miała zaledwie kilka kręgów, tak, że ta straszliwa szczęka łączyła się prawie z kośćmi miednicy.

Można powiedzieć, iż potwór ten miał pysk umieszczony wprost na nogach. Całe ciało było pokryte żółtawymi łuskami, a małe, bystre oczy wyrażały niesłychaną srogość, który to wyraz powiększała jeszcze kryza krwistego koloru, kapryśnie wycinana u brzegu i ułożona w głębokie fałdy, jaką nosił każdy szlachcic za czasów Szekspira. To wszystko składało się na całość potworną i wstrętną.

Przyrzekłem sobie, że gdy znajdę takie straszyszko, to je oswoję — a kiedyś może i na Ziemię ze sobą zabiorę.

Ci, którzy go zabili, opowiadali mi, że go spotkali na bagnisku, gdzie stał, kołysząc się na swych długich nogach, jak bocian. Jego białawe, wiotkie mięso było mi wstrętnem i nie mogłem wymóżyć na sobie, aby go skosztować, pomimo zapewnień Marsjan, iż jest nader miękkie i soczyste.

Za nadejściem nocy kazałem dorzucić drzewa na stos i przysposobić zapas paliwa na całą noc, co moi podwładni uskuteczнили z wielkim pośpiechem.

Wielką radością napełniało ich to, iż dotąd nie widzieli ani jednego Erloora, wylatującego ze skalistych okien i byli pewni, że cały ród ich wrogów został wytępionym!

Nie podzielałem tych złudzeń, lecz nie mówiłem nic, nie chcąc psuć ich radości. Wszakże znałem dopiero niewielką część planety: niewątpliwie w dalszych okolicach musi się znajdować więcej schronisk obrzydłych Erloorów. Wystarczy zatem, aby jeden zbieg, z owej rzezi ocalony, wezwał na pomoc stada mieszkające dalej, a położenie nasze mogło stać się strasznym, tembardziej, iż znajdowaliśmy się w okolicy, zupełnie

dla nas nieznanej. Pomimo zmęczenia, nie mogłem z niepokoju usnąć przez noc całą; szczęściem, obawy moje okazały się płonnymi i nic nie zakłóciło spokojnego snu moich poddanych.

Wschód słońca zastał już wszystkich na nogach, czyniących gorączkowo przygotowania do powrotnej podróży.

Pomimo odniesionego nad wrogami zwycięstwa, pilno było Marsjanom znaleźć się znów na rodzinnych trzęsawiskach, w swych spokojnych chatach. Może w tem było i nieco próżności: chcieli jak najprędzej pochwalić się przed krewnymi i sąsiadami łupem swojej podróży, składającym się z owoców i zwierząt z wielkich, nieznanych im dotąd lasów.

Wesoło ruszyliśmy w drogę, stąpając po miękkim mchu czerwonym, mającym wygląd aksamitu czy pluszu.

Wszyscy nasi towarzysze byli obciążeni przyborami podróżnymi lub zwierzyną, ja tylko z Eoją szliśmy swobodnie, nie niosąc niczego. Mieliśmy też kilka wielkich naczyń glinianych, w których były żarzące węgle, ukryte w popiele, będące nieocenionym skarbem naszym i bronią.

Ten pierwotny sposób przechowywania ognia musiał nam wystarczać do czasu, w którymbym mógł przysposobić jeśli nie zapalki chemiczne, to choć krzesiwo i hubkę.

Patrzac na nasz orszak, kroczący z powagą, nie mogłem powstrzymać uśmiechu na myśl, iż te pióra na głowach, długie szaty, łuki i strzały w rękach nadawały mu pozór jakiegoś uroczystego pochodu assyryjskiego czy też babilońskiego.

Około południa znaleźliśmy się nad rzeką, której

wody, koloru jasno-krwistego, miały brzegi zarosłe trzcina, podobną do bambusu. Zbudowaliśmy z niej most, który po przejściu na drugą stronę kazałem przez ostrożność zniszczyć.

Zapewne zauważyliście, że w krajobrazach marsyjnych głównymi kolorami są czerwony i żółty, we wszelkich odcieniach. Nie umiem inaczej wytłumaczyć tego faktu, jak obfitością żelaza, chromu oraz innych metali, lub przypuszczeniem, iż atmosfera marsyjska zawiera wiele gazów, znajdujących się w powietrzu Ziemi tylko w małej ilości.

Krajobraz był przepyszny. Olbrzymie drzewa wznosiły swe gładkie pnie na wysokość pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu metrów, gdzie dopiero ich korony tworzyły ściśle sklepienia. Głębokie milczenie, panujące pod niem, przypominało mi świątynie Karnaku, które zwiedzałem dawniej; obecnie w lasach marsyjnych odnajdywałem ich tajemniczą grozę.

Od czasu do czasu wychodziliśmy na małe polanki, zalane światłem słonecznym; odpoczywaliśmy na nich, napawając się blaskiem, przed pogrążeniem się powtórnie w mroki leśne, których jednostajność i przyniatający smutek nawet na Marsjanach robił wrażenie.

Joja była ze wszystkich najbardziej zdenerwowaną i niespokojną. Co chwila oglądała się po za siebie, jakby w obawie pościgu — i czułem, jak jej ręka, wsparta na mojej, była często wstrząsaną silnym dreszczem.

— Co ci jest, moja maleńka? — spytałem, gładząc jej czerwone włosy, które ją nauczyłem splatać w warkocze, jak to robią młode dziewczyny na Ziemi.

— Nie wiem — szepnęła, zwracając ku mnie oczy

pełne łez — ciągle mi się zdaje, że słyszę nad nami szelest skrzydeł. Chwilami widzę, że jakaś mgła przesuwana się przed moimi oczami. Boję się, przeczuwam jakieś nieszczęście, zapewne jeszcze przed końcem dnia! Usiłowałem ją uspokoić.

— Nie myślałem, żeś jest tak lękliwą — mówiłem, śmiejąc się — doprawdy, nie poznaję cię! Czegóż się możesz obawiać? Czyliż nie jestem przy tobie?

— Może nie mam słuszności — odpowiedziała, drżąc — ale się boję. W tej chwili uczułam lodowatą rękę na mojej głowie.

— To przywidzenie! Staraj się pokonać rozsądkiem obawy, tak jak cię uczyłem, a przekonasz się sama, że nic nam tu nie grozi! Jesteśmy liczni, dobrze uzbrojeni, słońce świeci, jestem przy tobie! Erloory są pokonane i nie potrzebujemy się ich obawiać!

— Ja się nie ich obawiam...

— A więc czegoż innego?

— Nie wiem... To jest coś, czego nie umiem ci wytłumaczyć.

Mówiąc to, drżała jak liść na wietrze.

— Czy słyszysz? — zapytała trwożnie, tuląc się do mnie — w tej chwili słyszę wyraźnie szelest skrzydeł.

Zacząłem nasłuchiwać, aby jej wyperswadować mniemany kaprys, lecz ku wielkiemu memu zdumieniu, usłyszałem wyraźnie tuż przy nas szmer lekki, niepochwytany, jak gdyby szum bardzo lekkich skrzydeł.

— To jakiś owad lata — rzekłem, chcąc koniecznie znaleźć jakieś wyjaśnienie tego faktu.

W rzeczywistości byłem nieco zdumionym, lecz się nie przerażałem tem zanadto. Tłumaczyłem mojej matce Marsjance, że pod ścisłym sklepieniem tych drzew,

echo rozchodzi się z równą mocą, jak w pustym budynku i ów szmer, tak ją niepokojący, pochodził zapewne z brzęku skrzydeł jakiej osy.

Mogło to być również prostem złudzeniem, powstałem wskutek zmęczenia i zdenerwowania.

— Ależ i ty sam to słyszałeś!

— To był wpływ twoich słów — czysta suggestja...

Tu zacząłem jej obszernie tłumaczyć istotę i skutki suggestji, złudzenia zbiorowe i t. d.

Biedna Eoja nie rozumiała całkowicie mych dowodzeń, ale zdawało mi się, że to ją nieco uspokoiło. Usiłowała się uśmiechać, lecz widziałem, że się tuli do mnie z trwogą i że jej obawy nie rozpierzchły się jeszcze całkowicie.

Odetchnęła swobodniej dopiero wtedy, gdyśmy się wreszcie wydostali z mrocznej głębiny lasów na bagnistą równinę, poprzecinaną zaroślami i trzcina; na końcu jej wznosił się czerwony pagórek.

W tej chwili Marsjanin, idący na czele orszaku, podszedł do mnie zaniepokojony. Zapewniał mię, iż zna dobrze tę okolicę, lecz jej nie poznaje, gdyż nie pojmuje, skąd się wziął ten pagórek wprost przed nami?

Przypuszczałem, iż pomimo znajomości okolicy, musiał się zabłąkać: jednak poleciłem mu, aby szedł ciągle na północ, gdyż wiedziałem, iż powinniśmy się ciągle trzymać tego kierunku.

Puściliśmy się więc w dalszą drogę; lecz tajemniczy pagórek, w miarę zbliżania się naszego, zmieniał swój wygląd w sposób zadziwiający. Można było przypuszczać, iż był cały w ciągłym ruchu, a jego zarysy zmieniały się z każdą chwilą. Szczyt jego zniżał się,

to znów podwyższał, pod powiewem ciepłego wiatru. Przez chwilę myślałem, iż mam do czynienia z jednym z owych wzgórków piaszczystych, zmieniających swój kształt za podmuchem wichrów pustynnych, jak to widywałem na Saharze; lecz wkrótce przekonałem się, iż się mylę. Szczególny ten wzgórek podobniejszym był do łąki, falującej w ciągłym ruchu: cała ta masa zieleności pływała nad ziemią, jak wodne rośliny utrzymują się w wodzie. Wkrótce się o tem naocznie przekonałem.

Niespodziany a mocny podmuch wiatru rzucił na nas jakąś chmurę zieloną: w jednej chwili zostaliśmy zasypani miliardami drobnych roślinek.

Widywałem w głębi Afryki rośliny powietrzne, które kiełkują, rosną, kwitną i umierają w powietrzu, nie dotykając ziemi: ale to było coś zupełnie odmiennego! Byłem nadzwyczajnie zaintrygowany tem zjawiskiem.

Oswobodziwszy się z trudem z tej ruchomej zieleności, która nas omotała jak siecią, wziąłem jedną roślinkę w palce, aby jej się dobrze przyjrzeć. Miała zaledwie dziesięć centymetrów długości: listki naprzemianległe osadzone były na łodyżce nadzwyczaj cienkiej i mocno ząbkowane. Układem swoim przypominały liść wiązu lub akacyi, kolor zaś był pośrednim między zielonawo-żółtym a szaro-czerwonawym. Drobnutkie kwiatki w kształcie miniaturowej lilji mieściły się na wierzchu roślinki, której korzenie, cienkie jak włosy, były długie na kilka centymetrów. Przyjrzawszy się dokładnie, chciałem roślinkę rzucić na ziemię — lecz tu się stała rzecz zadziwiająca.

Nietylko listki wyprostowały się, tworząc prawdziwy

spadochron, lecz zostały równocześnie wprawione w ruch nadzwyczaj szybki; otwierały się i zamykały naprzemian, jak listki czulka przy wstrząśnieniu. Nawet korzonki nie pozostały bezczynne, gdyż poruszając się, kierowały roślinką, będąc sterem tego małego aeroplanu.

Wkrótce ujrzałem go wznoszącego się do góry, gdzie się przyłączył do masy zieloności. Parę takich roślinek schowałem w kieszeniach mego puchowego ubrania, a Eoja naśladowała mnie natychmiast, sądząc, iż znalazłem coś cennego.

Stwierdziłem z radością, iż moi Marsjanie, zdawszy już sobie sprawę z tego, co nas spotkało, nie przejmowali się zbytnio tym faktem. Śmiejąc się, oswobadzali się z tych zielonych więzów, żartując z siebie nawzajem.

Jednak pomimo wszystko byliśmy otoczeni tym wałem ruchomym, który tworzył przed nami ścianę równie nieprzebytą, jak najtwardsze skały. Noc już zapadła i nie chciałem narażać wszystkich na zasypanie lub uduszenie podczas snu przez te przekłete roślinotwory! Musieliśmy więc wrócić do lasu i obozować znów na polance, na której moja mała towarzyszka uczuwała taką trwogę.

Rozpaliliśmy ogniska, wyznaczyłem strażników, którzy mieli czuwać kolejno przez noc całą. Niebo było czyste i pogodne, w powietrzu unosiła się woń lasu i tysiącznych ziół i kwiatów.

Odłożyłem do jutra wynalezienie sposobu przebicia tej ruchomej ściany i zaleciwszy jeszcze raz strażnikom czujność i uwagę, zasnąłem snem głębokim.

X. Roślinotwory.

Budziłem się tej nocy niejednokrotnie, napastowany przez widziadła senne, które powstawały zapewne wskutek przebytych wzruszeń i zmęczenia, lecz, co dziwniejsza, powtarzały się z identyczną dokładnością po każdym zaśnięciu na nowo.

Widziałem wtedy Erloora, który mi kolanem gniótł piersi a ręką dusił za gardło, lub też czułem, jak potworny wąż owija mię i miażdży swemi kręgami. Budziłem się, oblany zimnym potem i dopiero widok spokojnego obozowiska, ognia i czuwających Marsjan uspokajał moje nerwy.

W dali, na tle nieba, widać było jakby wielką, ciemną chmurę.

To nieprzyjaciele nasi, drobni rozmiarami, lecz przerażający swą nieogarnioną ilością! Usypiałem po niejakiu chwili, aby znów we śnie męczyć się jak poprzednio...

Nareszcie dzień zaświtał i dałem znak obudzenia mojej drużyny. Eoja, przyszedłszy mię pocałować na dzień dobry, jak to zwykle robiła, opowiedziała mi, że i ją trapiły sny przykre, zupełnie do moich podobne. Udawałem, że nie przywiązuję do tego żadnej wagi, jednak wytworzyło to we mnie niepokój, będący także następstwem zmęczenia i bezsenności. Uderzyło mię to, iż Eoja była ciągle smutną i zamyśloną: pomimo usilnych starań, nie mogłem rozproszyć obaw mojej małej przyjaciółki.

— Napróżno mię uspokajasz — szepnęła, poruszając przecząco swoją zgrabną główką — czuję, że grozi

nam niebezpieczeństwo! Przeczuwam, że nie zobaczę już mego ojca... Żle zrobisz, chcąc przeniknąć tajemnicę tych krajów zakazanych! Ojcowie nasi zapewniali zawsze, iż taka niewczesna ciekawość tylko nieszczęście przynieść może!

Podzielałem mimowoli jej obawy, lecz starałem się nie okazywać tego.

— Jesteś małym tchórzem! — rzekłem, usiłując się uśmiechnąć — masz zasepioną minkę dziecka, które się jeszcze nie wyspało! Kiedy się rozbudzisz zupełnie, przestaniesz zważać na te dziecinne historie... Mamy do roboty coś ważniejszego: chodzi o przebicie się przez ten wał roślinny.

— Cóż myślisz z tem zrobić? Nie widzę na to żadnego sposobu!

— Zdaje mi się, że go już znalazłem. Jestem pewien, że te małe roślinki, których wrażliwość jest tak rozwinięta, muszą się obawiać dymu: więc za pomocą ognia z wilgotnych traw i świeżych gałęzi otworzymy sobie drogę!

Nie byłem całkiem pewnym skuteczności tego środka, ale na razie nie miałem lepszej broni pod ręką przeciw tym przeklętym roślinotworom.

Na mój rozkaz wkrótce zwinęto obóz i zbliżyliśmy się do złowrogiej łąki.

Wiatr nam sprzyjał, niosąc w kierunku chmury roślinnej całe kłęby dymu. Na razie wszystko szło tak, jak to przewidziałem: rośliny objęte dymem, natychmiast puszczały w ruch skrzydełkowy swoje małe listki, usuwając się coraz dalej i w przeciagu kwadransa mieliśmy przed sobą znaczną przestrzeń zupełnie wolną.

Na prawo i na lewo cała ta roślinność falowała,

jak morze podczas burzy. Na ten widok, Marsjanie zaczęli wydawać radosne okrzyki i weszli w otwarte przed nimi przejście. Byłem mocno zdziwiony łatwością, z jaką ta przeszkoda, na pozór nieprzebyta, usunęła się nam z drogi.

Dziś gorzko sobie wyrzucam tę lekkomyślność, z jaką wtedy postąpiłem!

Zaledwie uszliśmy ze sto kroków między temi zielonemi ścianami, kiedy postyszałem za sobą syczenie, jakie wydaje woda wylana na żarzące węgle. Odwróciłem się: cóż za widok uderzył moje oczy! Ogień nasz zbawczy był zagaszony, a paliwo rozrzucone na wszystkie strony...

Stałem bez ruchu, zdumiony i zaniepokojony.

Nie mogło to być sprawką Erloorów, ponieważ było to w biały dzień, a blask słońca był im wstrętny na równi z ogniem: nie zrobiły tego także Romboo, ponieważ grunt w tem miejscu był skalisty.

Jedna myśl błysnęła mi w mózgu: uciekać!

I krzyknąłem z całej siły:

— Uciekajmy napowrót do lasu!

Niestety! było już zapóźno!

Dwie ściany zielone zaczęły się ku nam zbliżać ruchem szybkim, nieubłagany... W przeciągu minuty mieliśmy odwrót przecięty i zostaliśmy ze wszystkich stron otoczeni. Chwila jeszcze i zostaliśmy literalnie zasypani, przywaleni całą masą drobnych, przeklętych roślin.

Tamowały mi one oddech, krępowały poruszenia... Słyszałem krzyki rozpaczy, wzywające pomocy — lecz te głosy nieszczęśliwych Marsjan dochodziły do mnie przytłumione, jakby zgłuszone, coraz słabsze i słabsze...

Coraz gęstsza nawała roślinna tłumiła ich konanie i jęki, jednak słyszałem jeszcze moje imię...

I to mnie wzywali na pomoc, mnie, którego sami wybawili niedawno z mocy Erloorów!

Skargi te rozdzierały mi serce: wściekłość mię ogarniała na myśl o mojej bezsilności! Gdzież jest Eoja? Od pierwszej chwili katastrofy zginęła mi z oczu, wyrwawszy rękę z mojej dłoni, w mimowolnym odruchu przerażenia.

Wtem usłyszałem głos jej o parę kroków od siebie:

— Roberciel — wołała z rozpaczą — ratuj mnie... na pomoc!

Rzucałem się jak szalony, robiąc nadludzkie wysiłki, aby się posunąć w stronę, z której dochodził głos nieszczęśliwej, lecz te usiłowania były bezpożyteczne, owszem zdawało się, iż tłocząca mię masa stała się jeszcze gęstsza. Czulem, iż na głowie dźwigam ciężar niezmierny, który mię przytłacza i odejmuje możliwość ruchów.

Przestałem prawie oddychać: powietrza mi brakło, a natomiast otaczająca mię gęstwina wydzielala zapach mdły, przypominający piżmo; czulem, jak mi się przedostaje do mózgu, wytwarzając nieznośną odrętwiałość. Miałem pewność, że przy dłuższem wdychaniu go, może stać się śmiertelnym, jak zapach wielkiej ilości bzu lub tuberoz.

Otoczył mię mrok, w którym nic już nie widziałem, jakiś pył cierpki zasypywał mi oczy, dusił w gardle...

Nie mogłem zupełnie zdać sobie sprawy z tego, gdzie się znajduję i w którą stronę iść powinienem; czy dążę do miejsca wolnego, czy też się zagłębiam bardziej w tę gęstwinę.

Odwaga, pomysłowość, nawet siła, nie zdały się na nic wobec tej straszliwej plag!

Przez chwilę myślałem, że moje ruchy gwałtowne przyciągają do mnie większą ilość roślin — postąpiłem więc czas jakiś spokojnie.

Omyliłem się! Nieruchomość moja to tylko sprawiła, iż żywa obręcz jeszcze silniej zacisnęła się wkoło mego ciała. Już teraz słabo tylko się broniłem, będąc przekonanym o bezużyteczności moich usiłowań.

Naraz potknąłem się o kamień i upadłem: myślałem, że już nie powstanę, dokonałem jednak tego z wielkim trudem, a gdy zgarbiony, z wytężeniem się dźwigałem, rozdzierający krzyk Eoji doszedł znów do mnie.

— Robercie! Robercie!..

Głos jej był stłumiony, jakby dochodzący z oddali.

Rozpacz mię ogarnęła na myśl, iż całe moje szamotanie się, zamiast mię do niej zbliżyć, oddaliło znacznie, gdyż poprzednio głos ten słyszałem o wiele wyraźniej.

Z szaloną zaciekłością rzuciłem się głową naprzód, usiłując przebić tę nielitościwą, zwartą zaporę, która pod tym naciskiem ugięła się jak materac, lecz straszną była właśnie przez swój bierny opór.

Miażdżyłem i szarpałem w rękach rośliny, gniotąc ich tysiące, lecz to wytwarzało dokoła mnie zaledwie niewielką próżnię, która się wnet zapełniała.

Szał mię zaczynał ogarniać: może się do tego przyczyniał i ów zapach mdły a odurzający — gdyż przypominam sobie, że zacząłem gryźć wściekle te djabelskie rośliny.

Nagle uczułem koło nóg leżące ciało.

Schyliłem się z okrzykiem bóleści, będąc przekonanym, iż to Eoję tu znajduję: omyliłem się jednak.

Ręce moje dotknęły twarzy, uczułem pod palcami szorstkie wasy i brodę... Był to jeden z moich nieszczęśliwych wybawców.

Położyłem rękę na jego piersiach; serce już bić przestało, ciało, choć ciepłe, zaczynało już sztywnieć; wreszcie na szyi jego uczułem pod palcami ciepłą wilgoć — była to krew!

W tejże chwili uczułem na nodze ostry ból, jak od sparzenia. Nastąpiłem na naczynie z żarzącymi węglami, które biedny Marsjanin zapewne w chwili upadku wypuścił z ręki.

Nie zastanawiałem się dłużej nad tem, w jaki sposób zginął ten nieszczęśliwy, lecz chwyciwszy naczynie, począłem drżącemi z radości rękami zbierać po omacku rozsypane węgle.

Może one będą mi środkiem ratunku?!

Włożyłem je napowrót w naczynie i zacząłem na nie dmuchać, najprzód lekko, potem coraz mocniej, zwiewając biały popiół, którym były okryte. Nakoniec ukazał się nad nimi niebieskawy płomyczek: wtedy rzuciłem nań kilka roślin i z uczuciem radości patrzyłem, jak się kurczyły na węglach, następnie rzuciłem więcej, dmuchałem zawzięcie, dopóki się nie ukazało wązkie pasemko dymu.

Zacząłem kichać, kaszlać, dusić się prawie, lecz stało się to, czego się spodziewałem: rośliny, ogarnięte dymem, zaczęły się usuwać i oddalać, jak mogły najspieszniej.

Poruszałem zbawczym garnkiem z węglami jak kadzidelnicą, rzucając wciąż weń garście zieleni; dym buchał — i wkrótce miałem dokoła siebie tyle wolnej przestrzeni, że mogłem odetchnąć i ujrzałem, jakby z głębi studni, mały skrawek nieba nad głową.

Byłem bardziej tem uszczęśliwiony, aniżeli najgenjalniejszym odkryciem: byłem pewnym, że ocale Eoję, a z nią resztę Marsjan. Rzuciłem się naprzód, rozwiewając złowrogie rośliny, tak jak jesienny wichur rozprasza zeschnięte liście, lecz za chwilę powróciłem.

Przecież powinienem najprzód ocalić tego, dzięki któremu mam w rękę tak potężny oręż do walki z nieprzyjacielem! Odnalazłem go wkrótce, lecz ciało już było zimne i nie mogłem marzyć o przywróceniu go do życia.

Ze zdumieniem jednak spostrzegłem, iż jest pokrwawiony, a na szyi ma pełno znaków podobnych do ukąszeń Erloorów, lecz drobniejszych i w wielkiej ilości...

(W tem miejscu Lord Frymcock zamienił z Ralfem spojrzenie i mimowolnie dotknął ręki pokrytej jeszcze czerwonymi bąblami. Miss Alberta dostrzegła tę wymianę spojrzeń i ruch, lecz Robert, nie zauważywszy nic, mówił dalej):

— Cała moja radość pierzchnęła na ten widok. To nie było dziełem Erloorów; jacyż zatem nowi wrogowie kryli się w tej masie zieleni? Zapytywałem sam siebie z trwogą:

— Jakież mię nowe walki czekają?

Uczułem mróz w kościach, a w krtani owo dziwne ściśnienie, jakie przychodzi zwykle w chwilach największego niebezpieczeństwa — a przecież wiedziałem, że nie mogę się poddawać strachowi i muszę zachować całkowitą przytomność umysłu, jeśli chcę się wydostać z tej matni.

Oprzytomniałem więc, nałożyłem na węgle nowy zapas roślin i szedłem prosto, nie oglądając się po za siebie, w obawie zobaczenia jakiego straszzydła, czatu-

jącego na mnie w gęstwinie. Lecz pomimo, że szedłem prędko, nie posuwałem się prawie wcale. Wązkie przejście, którem szedłem, zamykało się za mną natychmiast i mur żywy, ruchliwy, zielony, zdawał się wciąż jednolitym.

Ogarnął mię strach obłądny, szalony... Dwa razy już zatliłem swoje ubranie z piór, nie wiedząc wcale o tem. Ach! czyż mi się nigdy nie uda wyjść z tego oceanu zdradliwej zieloności?

(Tu Robert Darvel zbladł, na jego wynędzniałej twarzy odbiła się taka zgroza, jak gdyby znów doświadczał tych strasznych wrażeń. Robiąc nad sobą widoczny wysiłek, mówił po krótkim odpoczynku):

— Udało mi się jednak. W chwili, gdy się tego nie spodziewałem, kiedy się miałem za otoczonego nieprzebytą gęstwą roślin, naraz znalazłem się nazewnątrz tej potwornej pułapki — światło i powietrze objęły mię — byłem wolny!

Z rozkoszą wciągałem w płuca zapach łąki kwiecistej, lecz gdy rzuciłem wzrokiem po za siebie, nie ujrzałem już w zielonym pagórku ani śladu miejsca, skąd wyszedłem. Zielona fala zamknęła się po mojem wyjściu, jak się zamykają fale wody po przejściu statku.

Przez parę minut byłem oszołomiony, zdumiony swoim oswobodzeniem się, tak, że kilkakrotnie zmieniłem kierunek swojej drogi.

Było o wiele prawdopodobniejszem, że zginę w tej gęstej chmurze, aniżeli to, że się z niej wydobędę.

O kilka kroków ujrzałem szczątki ogniska, rozrzuconego jakąś niewidzialną ręką i natychmiast przysłała mi na myśl Eoja.

Byłbym ostatnim z ludzi, gdybym ją opuścił.. Jakże mogłem zapomnieć o niej, nawet w szale trwogi?

Bez namysłu zagłębiłem się napowrót w tę roślinną matnię, ale tym razem postanowiłem iść wprost, aby móżdżek wyjść z powrotem.

Zacząłem krzyczeć z całego gardła, nikt jednak nie odpowiadał — śmiertelna cisza panowała wkoło.

Uszedłszy z dziesięć kroków, uczułem przy nogach ciało ludzkie: był to trup jednego z Marsjan: na jego szyi znalazłem również świeże ranki.

Szedłem dalej z okropnym przecuciem w duszy.

Wkrótce napotkałem drugie ciało: to była moja biedna dziewczeczka!

Oddychała jeszcze, lecz była już naznaczoną krwawym piętnem śmierci. Zacząłem dmuchać na ogień, rośliny rozsunięły się nieco i wtedy zobaczyła mię, a chwyciwszy za rękę i suknię, przytuliła się jak tonący do swego wybawcy.

Jej jasne oczy wyrażały bezmierną trwogę, a czerwone włosy zjeżyły się ze strachu.

— Ratuj mię — szepnęła — zabierz mię stąd! Zamordowali mię!

Dopiero wtedy zobaczyłem jej twarz trupio-błądą, jak gdyby wszystka krew z jej żył uciekła podczas naszej krótkiej rozłąki.

Ogarnęło mię wzburzenie, rozpacz i żal na widok tego biednego dziecka.

— O tak, wyratuję cię, bądź spokojną! — zawołałem.

Podniosłem ją i wziąłem na lewą rękę, jak dziecko, a ona mi położyła główkę na ramię. Prawą ręką poruszałem naczynie z węglami i zacząłem iść z powrotem.

Nieszczęściem, będąc tak wzruszonym i przerażonym, zapomniałem, w którą stronę iść powinienem: straciłem drogę, a z nią i panowanie nad sobą.

Przechodziłem męczarnie, wiedząc, jak mało życia zostaje biednej istocie, jak go ubywa z każdą chwilą — i nie mogłem znaleźć drogi do powietrza i słońca, które wróciłyby jej może siły.

Naraz uczułem lekki pocałunek na czole, ciałem jej wstrząsnął dreszcz długi, konwulsyjny, ręce zaciśnięte wokół mej szyi rozsunęły się i opadły.

Biedna Eoja skończyła swe cierpienia!

Byłem jak oszalały z bólu: przemawiałem do niej, całując ją, próbując ożywić swoim oddechem, jak cudotwórcy starożytni...

Wszystko napróżno! Żadnej oznaki życia.

Ratując ją, przykląknę, postawiwszy przy sobie naczynie z ogniem, nie troszcząc się o to, że rośliny zaczęły znów mię dusić — kiedy z głębi gęstwiny doszedł uszu moich jakiś śmiech piekielny, urągliwy.

W tejsze chwili naczynie z węglami potoczyło się daleko, rozrzucając je na wszystkie strony, zupełnie jakby podrzucone uderzeniem czyjejs niewidzialnej nogi.

Położyłem na ziemi ciało biednej dziewczynki, która tak się dla mnie poświęcała i poskoczyłem, aby ocalić ogień, nie starając się wytłomaczyć sobie dziwnego sposobu, w jaki on oddalił się odemnie. Padłem na ziemię aby go pochwycić, lecz kiedy już dosięgałem naczynia, wysliznęło mi się z rąk w sposób niepojęty i jak żywe, kręcąc się i wyrzucając z siebie resztę węgla, potoczyło się daleko odemnie.

I znów usłyszałem ów śmiech straszny, rzechotanie jakieś potworne, ale tym razem tuż przy sobie.

Zadrżałem ze zgrozy: byłem teraz w zupełnej ciemności, zasypany roślinami, zduszony prawie... Ogarnęło mię tak wielkie zniechęcenie, iż już nie wstawałem z ziemi, nie myśląc się już bronić śmierci: niechby mię zabrała razem z Eoją..

Czułem, że siły moje się wyczerpują, oddychałem z trudnością, a ciemność mię ogarniała coraz większa. Rośliny, chwilowo zwyciężone, wracały na swe dawne miejsce, ich zapach mdły i odurzający odbierał mi przytomność..

Wtedy ujrzałem całe swe życie dotychczasowe; w jednej chwili przesunęły się przedemną obrazy dzieciństwa, lat młodzieńczych, wszystkie walki, niebezpieczeństwa, nadzieje, tragiczne przejścia, uczucia beznadziejne..

I to wszystko na to przeżyłem, aby ponieść śmierć samotną na planecie nieznannej i dalekiej!

Im dłużej o tem myślałem, tem większy ciężar przytłaczał pierś moją, a jednocześnie coś smukłego jak płaz, a ruchliwego, owijało się dokoła mojej szyi.

— Mój sen dzisiejszej nocy! — krzyknąłem — węzeł

Czułem, że dusząca mię zmora jest najzupełniej dotykana i rzeczywista, a wyobraźnię moją uderzyło podobieństwo ze snem, który mi się teraz wydał pro-roczym.

Usiłowałem poruszyć się, powstać, walczyć z temi płazami, skrytymi w roślinach (jak myślałem), przypisując im śmierć mych towarzyszy, lecz nie mogłem zrobić najmniejszego poruszenia.

Przerażony, nawpół uduszony, straciłem przytomność..

.

Kiedy się ocucilem, czułem się jak zбитy; szalony ból i zmęczenie w całym ciele spowodowały takie osłabienie, iż z trudnością mogłem zebrać myśli.

Nie miałem nawet pewności swego własnego istnienia, bo wszystkie myśli, wszystkie pojęcia i uczucia utworzyły w mej głowie jakiś nierozwikłany chaos. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, kim jestem i gdzie się znajduję...

Nakoniec, po wielu usiłowaniach, zacząłem sobie przypominać ostatnie wydarzenia. Po nich jednakże następowała jakaś przerwa w moich wspomnieniach, jakaś przepaść, niczem nie zapełniona...

Nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć, co się ze mną działo, od chwili, kiedy poczułem się splątany przez gady, aż do mego przebudzenia.

Spojrzałem dokoła siebie. Znajdowałem się w rodzaju małej celki, czy pudła, najprawidłowiej kwadratowego, bez śladu okien lub drzwi.

Ściany były ze szkła czy kryształu półprzezroczystego, zawierającego w sobie mnóstwo maleńkich otworków, drobnych jak ukłócie najcieńszej igły, które przepuszczały powietrze, nie pozwalając mi jednakże nic widzieć na zewnątrz.

Lecz najmocniej mię zadziwiło to, iż pośrodku mego więzienia stało wielkie szklane naczynie, rodzaj misy okrągłej, napełnione krwią.

Gubiłem się w domysłach, nie mogąc odgadnąć, gdzie się właściwie znajduję?

XI. Szklana wieża.

— Aż dotąd — mówił dalej Robert — wszystko, cokolwiek spotkałem na Marsie, miało cechy wspólne z podobnemi rzeczami na Ziemi i na podstawie prawdopodobieństwa można było tworzyć o nich jakąś hipotezę.

Przechodziłem tu wielkie niebezpieczeństwa, lecz możność walki nie była mi odjętą i mogłem sobie zdawać sprawę co do sił, któremi rozporządzali moi przeciwnicy i ze sposobu ich walczenia. Teraz było zupełnie co innego: znalazłem się w państwie tajemnic, na progu jakiegoś nieznanego świata, o którym dotąd nie miałem pojęcia. Czułem też, że dotychczasowe środki obrony będą zapewne bezskutecznymi wobec nowych, groźniejszych wrogów.

Już sam wygląd mego więzienia świadczył o ich wysoko rozwiniętej cywilizacji — gdyż fabrykacja wielkich płyt szkła z drobnymi a gęstymi otworkami, należy, nawet w obecnym okresie przemysłu ziemskiego do rzeczy dość zawikłanych i trudnych.

Najwięcej mię zaciekawiło owo wielkie naczynie, napełnione po brzegi świeżą krwią. Czy miano zmusić mię do jej wypicia, czy też było ono strasliwym symbolem czekającego mię losu? Jak długim będzie mój pobyt w tej klatce, który się niewątpliwie zakończy szaleństwem?

Usiadłem na dnie klatki, ponieważ nie było w niej żadnego sprzętu — i usiłowałem zebrać rozpierzchłe myśli. Napróżno jednak siliłem się przypomnieć sobie, w jaki sposób się tu dostałem. Jak to już mówiłem,

we wspomnieniach moich istniała pewna przerwa; od śmierci Eoji, o której nie mogłem myśleć bez ścisnienia serca, urywały się one, wszystko zasłaniała jakaś mgła, której nie mogłem przedrzeć ani rozwiać. Zmusiłem się więc do przerwania rozmyślań o przeszłości, aby się zastanowić nad sposobami ucieczki.

Przychodziło mi to jednak z tem większą trudnością, iż miałem umysł tak wyczerpany i osłabiony, jak po użyciu haszyszu lub morfiny. Przypisywałem to odurzającej woni roślinek powietrznych, lecz wrażenie to słabło pod wpływem czystego powietrza, wpływającego przez drobne otwory w szkle.

Chodząc po mojem więzieniu, stwierdziłem, że jest najściślej kwadratowe i ma około czterech metrów w każdym kierunku; lecz najszczególowsze poszukiwania nie wykryły śladów jakiegokolwiek otworu — drzwi, klapy, okien, lub czegoś podobnego. Ściany były z jednej sztuki a w pół-przejrzyste szkło wykluczało myśl o jakimś ukrytem wyjściu.

A jednak musiałem się tu dostać jakimś otworem!

Opukiwałem ściany i dół mojej celki; wszędzie wydawały jednakowy odgłos, bez żadnej różnicy.

Położenie moje było takim, jak owadu, zamkniętego w kartonowym pudełku: byłem tak samo bezbronny a nie miałem tak mocnych żuchw, jak osy lub termyty, wgryzające się w ściany domów.

Zdawało mi się, że będę mógł rozbić szklane ściany naczyniem, znajdującem się przedemną; cisnąłem więc je z całej siły na jedną z nich. Niestety, naczynie się rozprysło w okruchy, a ściany, z powodu swej grubości, pozostały zupełnie nienadwerżone! Jedynym skut-

kiem tego pomysłu było, iż zostałem obryzganý krwiá od stóp do głowy, co mi było nad wyraz wstrętne.

Byłem jednocześnie wściekły i zawstydzony. Czyż to nie było upokorzeniem dla mnie, skończonego inżyniera, że marna warstwa grubego szkła trzymała mię w niewoli? Głód, który zaczynałem uczuwać, był drugim bodźcem dla mojej wynalazczości: lecz napróżno łamałem sobie głowę — nic wymyśleć nie mogłem.

Zrozpaczony, przesiadziłem w kącie ze dwie godziny skurczony, bez ruchu, niby zwierz drapieżny w swej klatce.

Aż nakoniec, po wielu wysiłkach, przyszło zbawcze natchnienie! Przypomniało mi się pewne doświadczenie, którem nasz nauczyciel fizyki zabawiał nas w piątej klasie i które w jego zwięzłym stylu nosiło nazwę: «Cudowny sposób przecinania szkła bez użycia dżamentu».

Zrobiłem więc tak: zwinąłem w gałkę koniec połý mego ubrania z piór i zacząłem nią mocno trzeć jedną ze ścian. Po kwadransie tej roboty, szkło w tem miejscu było gorące tak, iż obawiałem się, aby pióra się nie zatliły. Wtedy zaczerpnąłem w rękę nieco rozlanej krwi i rzuciłem ją na gorące szkło.

Lekki trzask dał się słyszeć, cząsteczki szkła nagle ochłodzone oddzieliły się od gorących i na gładkiej ścianie ukazało się pęknięcie w kształcie promienistej gwiazdy. Powtórzyłem tę operację w drugim, trzecim i czwartym miejscu — z równym powodzeniem. Pot mię oblewał z wysilenia, ale przestrzeń zawarta między czterema pęknięciami, była dość wielką, abym się mógł przez nią wydobyć. Trzeba tylko jednego mocnego uderzenia, a cały ten kawał szkła wyleci na zewnątrz!

Przez chwilę jednak zawahałem się: rozsądek doradzał odłożenie ucieczki do nocy, gdyż odgłos pękającego szkła, oraz jego upadku, może sprowadzić moich prześladowców.

Z drugiej znów strony, rozważałem, że choćby nadeszli zaraz, to popękana ściana dostatecznym przeciwko mnie będzie oskarżeniem, gdyż zdradzi chęć ucieczki. Postanowiłem więc zaufać mej gwieździe i uciec natychmiast.

Uderzywszy z całej siły kolanem w miejsce ograniczone pęknięciami, zobaczyłem że wielki kawał szkła wypadł i to nawet z mniejszym hałasem, niż przypuszczałem, a to z powodu swej grubości.

Światło i powietrze napłynęły do wnętrza ożywczą falą! Naturalnie, skorzystałem natychmiast z tego otworu i wysunąwszy się z ostrożnością, aby się nie pokaleczyć, ujrzałem się na płaskiej platformie, poziomu równego z podłogą mojej celi. Byłem na szczycie olbrzymiej wieży, o średnicy przeszło pięćdziesięciu metrów, zbudowanej z takiegoż samego szkła w półprzezroczystego, jak moje więzienie.

Powiedziałem: wieży — lecz był to raczej jakiś olbrzymi budynek, wewnątrz pusty i tworzący jakby niesłychanie głęboką studnię, której dna dojrzeć nie mogłem.

Wielkie mnóstwo celek, podobnych do tej, z której się wydobyłem, tworzyło ściany tej olbrzymiej, niesłychanej budowli. Ogarnęła mnie ciekawość zobaczyć jak się zamykają te klatki, podobne do komórek w plastrze miodu.

Otóż, o ile mogłem to zbadać, każda ich ściana zasuwiała się w rodzaj wyżłobienia w listwie metalo-

wej i przytrzymałą była zamkiem z tegoż metalu, czerwonego i błyszczącego jak miedź.

Podobne ściany ruchome mają zastosowanie w mezażerjach, przy klatkach dzikich zwierząt.

Bawiłem się po dziecinnemu, otwierając i zamykając celki sąsiadujące z moją: wszystkie były puste, lecz w każdej stała czara, napełniona krwią.

W wielu z nich, czary były już puste, a krew ściemniała i wyschła; w innych natomiast, były napełnione do połowy, jak gdyby ich ostatni mieszkaniec posilał się przed podróżą.

Obwód wieży przewyższał rozmiarami swemi Kolizeum rzymskie przeszło trzy razy, a ponieważ u brzegu nie było żadnej balustrady, zawrót głowy zaczął mię ogarniać.

Płomiennie słońce zapuszczało swe promienie w głąb owej studni, skąd dochodziły niewyraźne, zmieszane odgłosy. Wychyliłem się więc nieco, aby zajrzeć w dół..

Naliczyłem trzydzieści dziewięć pięter, podpartych szklanemi kolumnami — i wszędzie cele, jedna od drugiej odgradzane głęboką framugą, pełną cieniu. Wszystkie te cele, czy komórki, były ściśle jednakowych rozmiarów.

Promienie słońca nie sięgały niżej trzydziestego dziewiątego piętra: panował tam mrok, pokrywający może jeszcze równą ilość komórek... Zapytywałem się ze zgrozą, czy ta wieża, przerażająca swą jednostajnością, ciągnie się aż do wnętrza planety? I do jakiego użytku służyć mogły owe głębokie nisze, w których można było pomieścić miliony posągów?

Wszystkie kolumny były jednakowego kształtu i wymiaru: gładkie, okrągłe, bez żadnych ozdób, oprócz

dwóch kul jako podstawa: dwie inne tworzyły kapitel. Każda kolumna, wraz z kulami, była coraz innego koloru, a wszystkie w promieniach słonecznych grały barwami tęczy, jak brylanty.

Nie mogłem się dość nasycić tym czarownym widokiem, który hypnotyzował mię swem olśniewającym migotaniem; czyniąc wysiłek nad sobą, odsunąłem się od brzegu, gdyż czułem że mię ciągnie ku sobie ta otchłań migotliwa...

Łamiąc sobie głowę nad przeznaczeniem tej wieży, doszedłem do wniosku, że widzę jakieś katakomby powietrzne, czy też cmentarz. Zapewne w niszach znajdują się zabalsamowane lub spalone na popiół ciała pomarłych Marsjan!

Niektóre szczegóły przeczyły jednak tym domysłom.

Olbrzymia wieża nie miała wcale wyglądu opuszczonego cmentarza, gdzie chętnie wschodzą rośliny, przyjaciółki ruin; tu w żadnej szczelinie nic nie rosło: wszędzie szkło miało świetny połysk nowości.

Nie chciałem się dłużej zastanawiać nad tą zagadką, którą przyszłość zapewne rozwiąże i odwróciłem wzrok od tych zaczarowanych kolumn na przyległą okolicę. Nigdy nie oglądałem czarowniejszego widoku, choć oczy moje już przywykły do wszelkiego rodzaju cudów!

Ujrzałem morze, czysto fijołkowego koloru, którego fale, o wierzchach z piany różowej jak kwiat brzoskwini, płynęły łagodnie w stronę wybrzeża, które poszarpane i wzgórzyste, podobne było do stosu olbrzymich gąbek, porośniętych krzakami koralu o powyginanych gałęziach. Morze tworzyło głęboko w ład zachodzące zatoki, wystające przylądki miały podobieństwo do fan-

tastycznych zwierząt czy roślin, a cały ten bajeczny krajobraz, zalany złocistym światłem, przeglądał się w ciemno-fioletowej toni.

Bardzo daleko widniała góra szeroka, przysadzista; z jej szczytu wychodziła wstęga brunatnego dymu: był to pierwszy, widziany przeze mnie na tej planecie, wulkan. W małym oddaleniu od wieży, w której się znajdowałem, naliczyłem jeszcze dwanaście takich samych! Wznosiły się z fal morskich, tworząc archipelag, olśniewający grą kolorów.

Przekonałem się wtedy, że nie posiadają one żadnych otworów: wszystkie miały jednakowe rzędy kolumn i arkad, lecz bez nisz głębokich. Budowa ich przypominała staroświeckie wizerunki wieży Babel, jakie się znajdują w dawnych wydaniach Biblii.

Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia, tak wszystko to było nadzwyczajnem!

«Moja» wieża również była zewsząd otoczona morzem, lecz zmęczony mój umysł nie mógł rozstrzygnąć pytania: w jaki sposób się tu dostałem?

Poszedłem w przeciwną stronę platformy: i tam były takie same wieże, dalej fioletowe wody morza, a na krańcach widnokregu biaława mgła oznaczała bliskość lądu. Boski spokój, rozlany w tym krajobrazie, działał na mnie kojąco; gdyby nie ból we wnętrznościach, będący skutkiem głodu, możebym nie szukał sposobu ucieczki.

Najgłębsza cisza tu panowała; nie widziałem ani słyszałem żadnego znaku życia i zapytywałem siebie, czy to jest sen, czy rzeczywistość?

Z westchnieniem żalu oderwałem wzrok od cudnego obrazu tajemniczej okolicy, aby rozpocząć nową walkę o życie dla wiedzy.

Okrażyłem jeszcze raz ową platformę, gdyż sama logika wskazywała, że musi istnieć jakaś droga do niższych pięter: schody, czy winda, czy choćby jakaś drabina!

Co do tego, myliłem się najwidoczniej! Gładka i ściśła powierzchnia platformy zdawała się być jednolicie odlaną: jeśli istniało jakie tajemne zejście, krawędzie zamykających je płyt przystawały do siebie z dokładnością, która całkowicie myliła wzrok. Byłem tem nieco stropiony, lecz nie straciłem odwagi; czułem, że muszę działać natychmiast, dopóki głód i zmęczenie nie odbiorą mi sił do pracy nad sposobami wydobycia się z wieży.

Gdybym tylko mógł dosięgnąć niższego piętra, to przecież te ciemne nisze muszą mieć jakieś wyjście — byle tylko się tam dostać!

Nakoniec przyszła mi pewna myśl, którą postanowiłem wykonać. Wyciągnąłem z metalowej obsady ruchomą, szklaną ścianę, a rzuciwszy ją na platformę, skrusiłem i odjąłem metalową zasuwę. Miałem więc już kawałek kruszcu, około stopy długości, który mi posłużył do wyźłobienia wklęsłości tak głębokiej, że mogłem w tym dołku umocować ów kawałek metalu, zasypawszy go dookoła okruchami szkła. Później odarłem ze swego ubrania, zeszytego artystycznie ze skór ptasich, mocnych a miękkich, dwa pasy, które skręciłem razem. Utworzył się z tego sznur dwumetrowy, dość mocny, którego siłę wypróbowałem, ciągnąc go obiema rękami. Przywiązałem go mocno do owej listwy metalowej i opuściłem się po nim na niższe piętro.

Przyszło mi to dość łatwo, ponieważ byłem obe-

znany z gimnastyką i ćwiczeniami fizycznymi — wyznaję jednak, że gdym się uczuł zawieszonym przez tę parę chwil w próżni nad przepaścią, musiałem zamknąć oczy, aby nie dostać zawrotu głowy.

Gdy tylko poczułem pod nogami kapitel kolumny niższego piętra, obawa moja minęła i po chwili znalazłem się zdrow i cały, między dwiema kolumnami świetnie szafirowego koloru. Odetchnąłem głęboko, myśląc, że nie chciałbym już powtarzać tej napowietrznej podróży.

Z prawej i lewej strony miałem przy sobie dwie czary, podobnie jak w mojem więzieniu, pełne krwi. Nie zważałem jednak na tę ponurą przepowiednię, gdyż nappełniło mnie radością odkrycie, iż każda z ciemnych nisz była, jak się tego domyślałem, wylotem schodów, które, mieszcząc się w ścianach wieży, schodziły spiralnie na dół.

Zapuściłem się więc odważnie w to mroczne przejście, lecz nie było tam całkiem ciemno, gdyż wpółprzejrzyste ściany przepuszczały niewyraźne, szarawe światło, w którym kolumny zarysowywały się słabo i lekko. Schodziłem po tych schodach, tonących w półcieniu, a w myśli powtarzałem słowa Baudelaire'a:

«Potężni po schodach ciemnych zstępowali
W otchłań, gdzie nigdy światło żadne się nie pali...»

Ciekawość moja tą szczególną budowlą była jednak tak silnie podniecona, że nie chciałem myśleć ani o zmęczeniu, ani o głodzie, który mi dokuczał.

Doszedłem nakoniec do miejsca, w którym łączyło się wiele galerji, lecz nieskończone schody szły wciąż niżej i niżej.

Musiały się zapewne kończyć w jakiejś przepaści, której głębokości nie umiałbym nawet określić. Pomi-
mo więc najżywszej chęci wyświetlenia tajemnicy wie-
ży, musiałem się zatrzymać, gdyż reszta schodów
pograżoną była w nieprzejrzaną ciemność.

Jeśli mam prawdę wyznać, to obawiałem się, że te
schody djabelskie nigdy się nie skończą i będę wiecz-
nie po nich schodził, jak ci potępieńcy poety.

Natomiast galerje, idące poziomo, pociągnęły mię
tem więcej, że w każdej z nich widać było w dali
światło łagodne i przyćmione, jak gdyby odbłask dale-
kiego ognia. Było ich jednak tyle, że nie wiedziałem
którą wybrać, gdyż było łatwym do przewidzenia, że
się zabłąkam w tym labiryncie.

Po chwili namysłu zdałem się na los szczęścia
i wszedłem w pierwszą lepszą galerję. Szła ona w dół
dość pochyło, lecz nie uszedłem dwudziestu kroków,
kiedy się znalazłem przed drzwiami ze szkła, wpusz-
czonemi w metalowe listwy, tym samym sposobem jak
to miało miejsce w mojej klatce. Otworzyłem je bez
trudu a wszedłszy przez nie, ujrzałem się w wysokiej
sali — i oniemiałem z podziwu!

Przez niezmierniej wielkości szyby kryształowe, ba-
jecznie przejrzyste, które przegradzały kolumny z czer-
wonego kruszcu, ujrzałem rozległy krajobraz podmorski.
Gaje białych i czerwonych koralu naprzemian z łąkami
o cudownej zieloności, zarosłe delikatnymi trawami,
między którymi różne rośliny, jak algi, oraz inne, nie-
znane mi dotąd, roztaczały przepych różnych kolorów.
Olśniewające ich kwiaty jaśniały wśród łądyg i liści,
przypominających bujną roślinność Afryki środkowej.
Na niektórych krzakach widniały owoce, podobne nieco

do ziemskich bananów i ananasów. Czegoż tam nie było! Kwiaty, wielkie jak Victoria Regia, której korona ma przeszło metr średnicy; lżany niezrównanej lekkości, rzucały tu i owdzie swe purpurowe łodygi; gdzieindziej, las olbrzymich varechów rozwijał swe pływające łodygi, drżące za każdym poruszeniem fal.

Lecz najwięcej mię zdumiewał w tym cudnym krajobrazie porządek, w jakim rosły te wszystkie rośliny, a który nie mógł być dziełem przypadku. Szpalery i aleje zakreślone były z geometryczną dokładnością: niektóre krzaki o szafirowych jagodach wyglądały, jak gdyby je świeżo ostrzygły nożyce ogrodnika, a ścieżki szerokie, pokryte różowym piaskiem, były najstaranniej utrzymane.

Cała ta podmorska okolica była nadzwyczaj ożywiona. Piękne ryby o łusce błękitnej ze złotem igrały między algami, lub przemykały się przez koralowe gaje, jak srebrzyste błyskawice. Skorupiaki ciemnoniebieskiego koloru, którym podobne widywałem w pierwszych dniach pobytu na Marsie, przesuwały się poważnie po różowym piasku, a meduzy, mające na sobie całą tęczę kolorów, kołysały się w wodzie. Widziałem tam żółwie mało się różniące od naszych rzecznych, oraz żółwie szyldkretowe, jak skubały różne rośliny ze spokojem owiec na pastwisku. Giętkie węgorze wysuwały się z pod krzaków, poruszając się zwinnie, jak jaszczurki, raje goniły małe rybki różnych kolorów.

Miałem przed sobą najcudniejsze akwarjum o rozmiarach niebwywałych.

Byłem silnie wzruszony: pojąłem, iż znajduję się

wobec zabytków kwitnącej niegdyś cywilizacji, którą spodziewałem się zastać na Marsie.

Zapomniałem wtedy o drapieżnych istotach i niebezpieczeństwach, jakie dotąd przechodziłem; serce mi biło jak szalone na myśl, że mogę się przyłączyć do istot potężnych swą inteligencją, które stworzyły te cuda. Ludzie zwyczajni nie potrafiliby urządzić takiego parku podmorskiego, ani zbudować tych wież szklanych.

Teraz przestałem się dziwić temu, iż mi darowano życie.

Byłem zachwycony tem wszystkim i pewny, iż memu życiu nadal nic nie zagraża. Podziw i zdumienie, jakie we mnie ich dzieła wzbudziły, powinien wpłynąć na przychylnie dla mnie przyjęcie.

Gdy nauczę się ich mowy, dam im poznać całą swoją wiedzę, wszystkie umiejętności Ziemi, opowiem im dzieje ludów i ich przeznaczenie!

Jedna rzecz zastanawiała mię w tem życiu podwodnem, które mi się tak wspaniale ukazało: oto zupełny brak zwierząt drapieżnych. Nie widziałem tu ani ryb żarłoczych, ani polipów, ani innych rozbójników głębinowych.

Wpatrywałem się w tę cudną panoramę chciwym wzrokiem, czując się wspaniale wynagrodzonym za wszystko, co wycierpiałem, gdy wtem zdumionym oczom moim ukazała się z za krzaków ludzka prawie istota. Była niewielkiego wzrostu, o kształtach zwięzłych i krępych; widać było jednak w ruchach siłę, a szybki chód nie był pozbawionym wdzięku. Całe ciało pokryte było ciemnym, połyskującym włosem, podobnym do futra foki lub wydry morskiej. Twarz i ręce były

pokryte drobną, przejrzystą łuską, pozwalającą jednak rozróżnić rysy i białosć skóry.

Są pewne choroby, które pokrywają ciało takimi łuskami; przypominam sobie teraz szczególny pogląd, zawarty w dziele pewnego lekarza duńskiego: «Trąd — mówi on — nie jest właściwie chorobą: jest to tylko fenomen naturalny, który przy nieprawidłowym przebiegu stwierdza, że w pewnych warunkach, twarz ludzka pokrywa się łuską». (Prawda, że lekarz ten żył w wiekach średnich, kiedy wierzono w różne cudowności i pisał to o rybakach, żywiących się wyłącznie świeżymi i solonemi rybami).

Siedziałem długo zamyślony, gdyż jestem tego zdania, że każda choroba jest tylko wstępem do nowej ewolucji człowieka w kierunku stanu doskonalszego, a przynajmniej innego od terażniejszości.

Ze wszystkich moich przygód, dość dziwnych i niezwykłych, ujrzenie owego morskiego człowieka warło na mnie najsilniejsze wrażenie. Nie mogłem dość mu się napatrzeć i dziś najdokładniej pamiętam wszelkie szczegóły jego powierzchowności. Palce jego były długie, zakończone błękitnymi szponami i połączone błoną, która zapewne ułatwiała mu znakomicie pływanie, nie odejmując palcom zwykłej ruchliwości. Ciemne, błyszczące oczy nie miały wcale wyrazu osłupienia i martwoty, jakie nadaje oczom rybim brak powiek: przeciwnie, miały inteligentny wyraz, jak u wielu stworzeń ziemnowodnych. Już Michelet zauważył podobieństwo tych ostatnich do ludzi; jakoż oswajają się one dość łatwo. Usta były małe, ozdobione sterzącami wąsami a czoło wypukłe i nos ładnie zarysowany nie miały w sobie nic zwierzęcego.

Nie mogłem rozstrzygnąć wątpliwości, w jaki sposób może ta dziwna istota oddychać pod wodą przy braku skrzeli: czy wypływa od czasu do czasu na powierzchnię morza, jak ryby, lub wychodzi na ląd, jak ssące ziemnowodne?

Przypomniała mi się wtedy starodawna, legendowa teoria, mająca w XVIII wieku wielkie powodzenie między doktorami, którzy zwykle zajmowali się i alchemją.

Podług niej, przemiana krwi tętniczej na żylną, przed urodzeniem się dziecka, dokonywa się bez udziału płuc, wprost z komórki prawej do lewej, przez otwór umieszczony w ścianie rozgraniczającej te komórki, nazwany od nazwiska jego odkrywcy otworem Botal'a *). Otwór ten zamyka się, gdy dziecię zaczyna oddychać płucami. Wierzono wtedy, że dziecko, zanurzone w wodzie ciepłej naprzemian z przebywaniem na powietrzu, będzie posiadać zdolność oddychania pod wodą a otwór Botal'a pozostanie u niego otwartym.

Historja zresztą dostarcza nam dowód na poparcie tego twierdzenia. Sławny budowniczy angielski, Lightwater, który obmyślił plan osuszenia Zydersee, wykonany w sto lat po jego śmierci, posiadał zdolność przebywania pod wodą, co potwierdziło wielu współczesnych świadków.

Jednak znakomici uczeni, nie zadając sobie trudu ze sprawdzaniem doświadczeń, zawartych w dziełach dawnych pisarzy, wyśmiali szyderczo tę fantastyczną hipotezę. Tylko sławny Berthelot, którego księgozbiór zawierał przeszło 30,000 dzieł traktujących o alchemji

*) Botal był anatomem, żył za czasów Henryka III we Francji, pozostawił wiele cennych prac naukowych.

i dawnej medycynie, zajmował się tem ciekawem zagadnieniem, którego śmierć nie pozwoliła mu rozwiązać. Genjalny chemik wiedział z doświadczenia, że najnieprawdopodobniejsze legendy zawierają częstokroć pewną część prawdy i niczemu na niewidziane nie zaprzeczał.

Co do mnie, jestem przekonany, iż lekarze XVIII w. mieli słuszność i że człowiek może z wszelką łatwością żyć w wodzie. Czyż nie miałem na to dowodu w tej chwili, przed memi oczami?

Podczas gdy byłem pogrążony w tych myślach, morski człowiek zbliżał się powoli do szklanej izby, w której siedziałem. Zauważyłem wówczas, iż trzymał w rękę sztabkę metalu czerwonego, lekko zgiętą w łagodne półkole, którą się podpierał jak laską.

Postać jego o rysach drobnych, ostrych, cała pokryta futrem, z wąsami sterzczącymi pod małym nosem, robiła wrażenie wielkiego kota o ludzkiej twarzy. Idąc, oglądał się czasami po za siebie, jak gdyby czekając na kogoś. Zrozumiałem wkrótce jego zachowanie się: szczególne zwierzę, będące jakby mieszaniną wydry i morsa, lecz uzbrojone, na wzór australskiego dziobaka, ptasim dziobem, przybiegło do niego w wesołych podskokach. Po chwili odeszło i skradając się, rozglądało na wszystkie strony.

Był to więc myśliwy na łowach, a to zwierzę zastępowało mu psa!

Nagle z pod krzaka splecionych morskoczyzn wypłynęła spora ryba z gatunku rai: zwierzę rzuciło się na nią, lecz zwinna ryba wyśliznęła się i uciekała jak mogła najszybciej. Wtedy myśliwy rzucił za nią kawałek metalu trzymanego w dłoni; lekko, bez żadnego

wysiłku z jego strony, broń ta, zakreśliwszy łuk, dosięgła rybę, uderzając ją śmiertelnie i tą samą drogą wróciła do ręki myśliwca.

Ogłuszona ryba leżała na piasku. Wtedy zwierzę przyskoczywszy, uderzyło ją silnie parę razy łapami, a pochwycawszy w dziób, odniosło zdobycz myśliwemu, składając u jego nóg, jak najlepiej wytresowany wyżeł.

Człowiek włożył ją do sieci, którą miał przerzuconą przez ramię a uplecionej, jak mi się zdało, z mocnych i błyszczących włókien, wytwarzanych przez pewien gatunek mięczaka. Z nich to wyrabiano w starożytności tkaninę zwaną byssus.

Byłem zdumiony tą sceną z życia podwodnego, podpatrzoną tak niespodzianie; szczególnie zastanowiła mnie tożsamość broni tego człowieka z bumerangiem dzikich Australczyków, którzy się nim w ten sam sposób posługują.

Myśliwy szedł w moją stronę i wtedy zauważyłem, że sieć jego zawierała już kilka ryb, oraz owoce podobne z kształtu i wielkości do ananasów. Widziałem takie same na krzaku, rosnącym z drugiej strony mojej izby szklanej: miał gałęzie sztywne i kolczaste, jak kaktusy, okryte fioletowymi liśćmi.

Myśliwy zbliżał się powoli, patrząc na mnie, a twarz jego wyrażała najżywsze zaciekawienie. Wkrótce rozdzielała nas tylko szyba kryształowa: patrzyliśmy na siebie wzajemnie i naraz, z niewiadomej mi dotąd przyczyny, twarz myśliwego przybrała wyraz przestachu, a nawet zgrozy.

Zapewno nie widział nigdy istot do mnie podobnych: ciałem jego wstrząsał dreszcz i zdawał się nie

rozumieć wcale mojego uśmiechu i przyjaznych gestów, jakie w celu ośmielenia go czyniłem.

Postawszy tak przez parę minut, odwrócił się i zaczął uciekać: ujrzałem go jak znikał w gąszczu krzewów, okalającym zapewne jakąś wioskę podwodną. Stałem długo jeszcze na tem samym miejscu, pogrążony w myślach.

W miarę, jak poznawałem tajemnice planety, zdziwienie moje wzrastało...

Postanowiłem w końcu iść dalej tą galerją, oświetloną okrągłemi oknami z kryształu,⁷⁾ wychodzącemi na dno morskie.

XII. Arsenaly i katakumby.

Galerja, ta była nieskończenie długą i wkrótce zrozumiałem, że została zbudowaną dla przejścia z jednej wieży do drugiej, lecz daremnie wysilałem wyobraźnię, aby wynaleźć powód, dla którego były wzniesione tak olbrzymie gmachy.

Krajobrazy podwodne, widziane przez okna galerji, zdumiewały mnie swą różnaitością. Były tam lasy krzaków wysokich, o liściach ciemno-zielonych, żyłkowanych złotem, gałęziach giętkich i lepkich. Pod nimi olbrzymie kraby swemi ciężkiemi łapami miażdżyły muszle i wyjadały z nich mięczaki.

Dalej znów były ogrody z kwiatami o barwach świętych, a nad nimi, jak rój motyli, trzepotały się całą chmurą srebrzyste, drobne rybki.

Jeszcze dalej widać było głębokie groty, w których się poruszało mnóstwo istot o kształtach ludzkich.

Pomyślałem, że to musi być jakaś kopalnia, w której się prowadzą roboty górnicze.

Z innego okna ujrzałem rodzaj długich rowów, poprzedzielanych wpoprzek murem na wysokość człowieka; w każdej takiej przegrodzie znajdował się wielki skorupiak, podobny do homara lecz znacznie większy. Niektóre z nich miały około pięciu metrów długości, a ich potężne nożyce musiały być bronią straszliwą; brzegi ich wewnętrzne, piłkowane, mogłyby z łatwością przeciąć na pół dorosłego człowieka.

Każdy z nich był uwięzionym na łańcuchu; wkrótce ujrzałem morskiego człowieka jak się zbliżył do nich, uginając się pod ciężarem kosza z rybami. Przyśtawał przy każdej zagrodzie i każdy ze skorupiaków dostał po sporej rybie.

Przyglądałem się tej scenie z zajęciem: z przegród wysuwały się potężne łapy i chwyciły rzucone im pożywienie.

Było to zapewne sztuczne tuczenie tych skorupiaków, które brano na pokarm dopiero wtedy, gdy już były tłuste.

Opodal znów, na pięknej, zielonej łące, kilkaset wielkich żółwi zostawało pod dozorem pasterza, uzbrojonego metalowym bumerangiem i mającego do pomocy dwie wydry morskie z długimi wąsami — zamiast psów.

Pasterz zajęty był zbieraniem muszli, które wkładał do małego koszyka i nie zauważył mię wcale, pomimo, iż wykonywałem różne ruchy, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

Lecz przeznaczonem mi było ujrzeć jeszcze dziwniejsze rzeczy.

W jednym z następnych okien ujrzałem prawdziwą wioskę podwodną. Było tam około stu chatek o dachach spadzistych; stały one wdzięcznie rozrzucone wśród gajów alg, żółtych i niebieskich.

Był widok zachwycający. Domki zbudowane z koralu czerwonych lub białych, a wiele z nich było ozdobionych na zewnątrz błyszczącymi muszlami. Rzekłbyś, perłowokoralowe miasto, uspione w głębi fal.

Oswojone foki i wydry drzemały leniwie na progach domów. Wązkie okna miały szyby okrągłe i wypukłe; jak sądzę, był to szyldekret wyszlifowany do przezroczystości.

Piękne drzewa koralowe, rozrzucone tu i owdzie, ożywiały ten czarujący zakątek. W pewnych odstępach stały tam kolumny, a na nich spore, płaskie czary czy misy; nie umiałem odgadnąć ich przeznaczenia, lecz powiedziałem sobie, iż pewnie służą do oświetlenia.

Jakże czarowny widok musiała przedstawiać ta wioska uspiona w głębinach morskich i oświetlona łagodnym światłem!

Oprócz stworzeń, drzemiących przy progach domostw, nie widziałem tam żadnej żywej istoty: mieszkańcy byli zapewne gdzieś dalej, zajęci polowaniem, lub doglądaniem trzód.

Jednak wrażenie odniesione z oglądania tych wszystkich cudów nie mogło przytłumić uczucia głodu, które się stawało coraz dokuczliwszem i nie widziałem sposobu, w jaki mógłbym je zaspokoić.

O, czemuż nie byłem stworzony do życia podwodnego! Skruszyłbym szybko, oddzielającą mię od tych cudownych wiosek, prosiłbym o gościnność mieszkań-

ców tych chatek z pereł i koralu, a jestem pewien, że nie odmówionoby mojej prośbie!

Teraz zaś nie wiedziałem, co mam robić ze sobą.

Domyślałem się, że na końcu galerji, którą szedłem, napotkam inną wieżę, równie pustą i milczącą jak ta, którą niedawno opuściłem. Czyż się nie ukaże nikt z mieszkańców tych zaczarowanych pałaców?

Chęć wyjaśnienia tej tajemnicy powracała ciągle do mej myśli, choć starałem się o niej zapomnieć; nie mogłem przeniknąć tej zagadki i męczyło mię to nad wszelki wyraz.

Usiadłem, aby trochę odpocząć i zastanowić się, co robić dalej, kiedy ujrzałem niska, sklepioną arkadę, która zapewne prowadziła na piętro położone pod galerją. Właśnie się namyślałem, czy mam się w te ciemności zapuścić, kiedy stamtąd doleciał mnie nagle wybuch śmiechu tak dzikiego, że zdrętwiałem; był to taki sam, jak ten, który słyszałem w gęstwinie roślin powietrznych.

Ten śmiech zgrzytliwy, ostry, który nie miał w sobie nic ludzkiego, na razie przejął mię zgrozą; uczułem chłód śmiertelny w sercu, nogi się ugięły pode mną na myśl, że mogę znaleźć się wobec potworów straszniejszych nad wszystko, co dotąd widziałem. Przewyciężyłem jednak to uczucie i zebrawszy odwagę, wszedłem pod ciemne sklepienie.

Wszystko było lepsze od niepewności, w jakiej zostawałem; zresztą, wydawało mi się niepodobieństwem, aby istoty, mogące wznieść tak wspaniałe budowle, miały być dzikie i okrutne.

Byłem pewnym, że się porozumiem z niemi.

Byłem przez nie uwięzionym, to prawda, lecz nie zrobiono mi nic złego. Prawdopodobnie byłem tylko dla

nich jakimś nieznanem stworzeniem, które zatrzymano dla robienia nad niem spostrzeżeń!

Dodawszy sobie odwagi temi rozmyślaniami, wsunąłem się w ciemny korytarz o spadku dość pochyłym, zastępującym schody. Trudność orjentowania się w ciemnościach byłaby mię może skłoniła do zaniechania tego zamiaru, gdybym nie uczuł pod nogami osadzonych w gruncie, małych wypukłych guzików, wielkości orzecha włoskiego.

W teje chwili, wskutek nieznanego mi urządzenia, sklepienie galerji zajaśniało światłem łagodnem, lecz dość żywym, abym mógł rozpoznać, gdzie się znajduję.

Przez chwilę stałem bez ruchu, zdumiony, prawie pewien tego, że się znajduję w jakimś królestwie czarów, gdzie za sprawą dobroczynnej wieszczki zostałem obdarowany światłem, gdy mi było nieodzownie potrzebnem.

Ściany były z takiego samego gatunku szkła jak i cała wieża, lecz suity przedstawiał fantastyczne zwierzęta i kwiaty, z których właśnie wychodziło owo światło, które mógłbym przyrównać chyba do t. zw. «much ognistych» Ameryki środkowej.

W miarę, jak się posuwałem naprzód, blask na suficie po' za mną gasł, a zapalał się przede mną, tak, że byłem wciąż otoczony świetlistą aureolą.

To ciężar mego ciała, naciskając guziki umieszczone w gruncie galerji, wywoływał ten blask, oświetlający miejsce, gdzie się znajdowałem.

Nie mógłbym określić natury tego blasku; mógł on pochodzić z jakich gazów fosforyzujących lub z jakiegoś specjalnego promieniowania, właściwego tej planecie. Wskutek pochyłości gruntu zstępowałem ciągle

na dół, i parę razy znalazłem się na przecięciu kilku galerji. Strzegłem się jednak zboczyć w którą z nich, gdyż nie chcąc zbłądzić w tym labiryncie, trzeba się było trzymać linji prostej.

Nagle wszedłem do wysokiej sali, gdzie się ciągnęły do nieskończoności szeregi sztywnych, hieratycznych posągów. Jedne z nich były z czerwonego porfiru, inne z kruszcu czarniejszego nieco od bronzu i nakrapianego złotem. Wyobrażały one ptaki o twarzach ludzkich, skrzydlate krokodyle, smoki najeżone kolcami, oraz najrozmaitsze zwierzęta kształtów tak dziwacznych, że zapytywałem sam siebie, czy podobne dziwotwory mogły istnieć gdziekolwiek, oprócz wyobraźni artysty?

Były też między nimi wizerunki Erloorów i Romboo, oddane z drobiazgową wiernością.

Wszystkie te olbrzymich rozmiarów posągi, których dalsze szeregi ginęły w ciemnościach, miały w sobie jakąś przerażającą i straszliwą przeszłość, która mię onieśmielała.

Patrzały wprost na moją drobną postać swemi nieruchomemi oczami z drogich kamieni, zdając się mówić:

— Nie przenikniesz nigdy tajemnicy, której jesteśmy odwiecznymi strażnikami — ona przy nas pozostanie!

Szedłem jeszcze naprzód, lecz już z niejakim wahaniem. Zdawało mi się, że poza kręgiem jasności, który mię otaczał, te potwory z kamienia i kruszcu zbliżały się do siebie, aby mi zamknąć drogę do wyjścia.

Gdy kaszlnąłem, echo powtórzyło kilkakrotnie ten odgłos w przyległych, pustych salach i miałem wrażenie, że potwór, którego śmiech urągliwy i szyderczy

słyszałem niedawno, lada chwila wychyli się z poza którego posągu i rzuci się na mnie.

Lecz ta olbrzymia sala musiała przez całe wieki stać pustką, gdyż kurz leżał wszędzie grubym pokładem.

Z podziwem dla tych wszystkich cudów łączyło się we mnie uczucie przygnębienia; czułem jakby spoczywający na mnie ciężar wielowiekowej cywilizacji masyjskiej, której nigdy nie poznam.

Już zaczynałem żałować, że się zapuściłem tak daleko, a jednak jakaś tajemnicza siła popychała mnie naprzód. Bezwiednie przyśpieszałem wciąż kroku: wprzód szedłem, teraz biegłem jak szalony, a otoczony blaskiem, który wydobywały ze sklepienia moje kroki, musiałem wyglądać jak płomienny meteor, krążący w ciemnościach.

Szał jakiś mię ogarniał: po dwóch salach, o których mówiłem, następowały wciąż dalsze i dalsze: było to całe miasto, wydrążone we wnętrzościach ziemi, obszarem równające się niektórym olbrzymim zwaliskom Indji lub starożytnego Egiptu. Wieki niewątpliwie składały się na budowę tych sal nieskończonych.

Zatrzymałem się nareszcie, zwątpiwszy czy kiedykolwiek dosięgnę ostatniej z nich. Znużony i zgłodniały, nie miałem ochoty iść dalej, jak również powracać do miejsca, skąd przyszedłem.

Ujrzałem jednak jeszcze nowe zejście w dół; postanowiłem zwiedzić tylko to ostatnie piętro, i zeszedłem natychmiast.

Te sale, najniżej położone ze wszystkich, nie zawierały posągów, a miały raczej wygląd składów: w pierwszej znalazłem mnóstwo wielkich naczyń, szklanych, kwadratowych, zamkniętych hermetycznie i usta-

wionych jedna na drugich. Następna była zapełniona pakami, owiniętymi w coś, co mi się wydało wygarbowaną skórą rybią, i owiązanymi sznurem.

Na widok owych naczyń czy pudeł szklanych wydałem okrzyk radości, gdyż teraz miałem pewność, iż znajduję się w składach żywności nieznanego narodu, obficie zaopatrzonego i to wróciło mi siły i odwagę.

Zdjąłem więc nie bez wysiłku jedno z naczyń, będących na wierzchu, a nie mogąc zdjąć pokrywy, która była szczelnie przypasowaną i zalaną rodzajem smoły ziemnej rzuciłem je na ziemię. Z rozbitego naczynia wysypała się wielka ilość ziarn podłużnych, zbliżonych do kukurydzy.

Spróbowałem ich i uczulem, że są mączyste i nieco słodkawe, o przyjemnym smaku. Nasyciłem się porządnie tą opatrnościową mianą; teraz już mogłem być pewnym, iż nie umrę z głodu!

Ilość ziarna, będąca w tej sali, mogła mi starczyć na rok cały, a przypuszczałem, iż istnieją jeszcze inne sale, podobnie zaopatrzone.

Posiliwszy się wybornie, zacząłem dalsze poszukiwania, otwierając paki owiązane sznurami. Zawierały one ryby suszone, które jednak leżąc przez niezliczone lata, stwardniały tak, że trzeba by je było rąbać siekierą. Podążyłem następnie do sali sąsiedniej.

Tam znalazłem stosy pni drzewnych, cylindrycznego kształtu. Zrazu myślałem, że to są zapasy opału, jakaś olbrzymia drwalnia. Przyglądając się bacznie owym cylindrom, stwierdziłem, że to był rodzaj trzciny, podobnej do bambusu, lecz o wiele grubszej. Poprzecina na kawałki przy t. zw. kolankach, tworzyła właśnie owe wydrążone beczułki w kształcie cylindrów.

Wziąłem jedną z nich i namęczywszy się porządnie, zdołałem wkońcu oderwać paznokciami zatykający ją wosk ziemny, a następnie wylałem kilka kropel zawartego w niej płynu na dłoń lewej ręki.

Powąchawszy go ostrożnie, uczułem miły zapach dojrzałych owoców: była to zmieszana woń ananasu, cytryny, maliny i gojawy.

Nie można było przypuszczać, aby płyn mający taki zapach, był szkodliwym; powtóre, po cóżby robiono tak wielkie zapasy trucizny?

Ten argument zdecydował mię ostatecznie. Skosztowałem tego płynu: smak jego przypominał wina hiszpańskie lub włoskie, nalewane na jagody pachnące i listki kwiatów; czuć jednak w nim było coś ostrego, w rodzaju eteru. Zapach ten ostrzegał mię o niebezpieczeństwie w razie nadużycia napoju.

Połknąłem więc tylko kilka łyków i doznałem natychmiast znacznego wzmocnienia sił; zmęczenie znikło wraz ze zniechęceniem i zacząłem na wszystko patrzeć pod innym kątem widzenia.

Żaden napój ziemski nie mógłby wyrzucić tak błogiego wpływu, tembardziej, że nie podniecał on zbyt mocno, jak alkohol. Nie czułem ani palenia na twarzy, ani zaćmienia myśli, jak po użyciu win mocnych.

Byłem najzupełniej spokojnym i w myślach było mi jasno do tego stopnia, że robiłem przegląd wypadków dni ostatnich, ażeby je lepiej zapamiętać.

Jednak atmosfera tego podziemia zaczynała mi ciężać: powietrze tam było ciężkie wskutek małej ilości tlenu.

Chciałem powrócić do magazynu żywnościowego, wróciłem więc na górę do sali z posagami, a potem do galerji podmorskiej.

Ze zdumieniem ujrzałem, że jest ona już pogrążona w ciemnościach, gdyż tu nie było urządzenia, któreby wywoływało blask za każdym moim krokiem.

Nie wiedziałem co mam począć i w jaki sposób noc przepędzić?

Galerja podmorska była zbyt zimną, podziemie zbyt wilgotne, skierowałem się więc do wieży szklanej, postanowiwszy przespać się w jednej z ciemnych nisz, o których wspominałem.

Pomimo ciemności, nie obawiałem się zabłądzić; trzeba było tylko iść ciągle w jednym kierunku.

Wkrótce się tam znalazłem; z głębi uspiętego morza płynął blask łagodny, tak, że gdy patrzyłem na uspiętą koralową wioskę, odcinała się ona dokładnie na tle bladej światłości, którą była otoczona. Zarośla alg i łąki podwodne również nie były pogrążone w ciemnościach. Fosforyzujące żyjątka i rośliny wydawały to cudne, łagodne światło, które miało niebieskawe cienie, jak blask księżyca. Najzupełniejszy spokój tam panował: ryby spały w algach, skorupiaki we wgłębieniach skał... Jedyne tylko jakaś masa ciemna, o płomiennych oczach przemknęła szybko przez uspiętą wioskę. Nie mogłem nawet rozpoznać do jakiego gatunku należała.

Byłem wtedy na schodach spiralnych, które wiodły na wierzchnią platformę wieży. Mogłem urządzić sobie spanie w której z nisz na dolnych piętrach, lecz jakaś chłopięca ciekawość gnała mię na sam wierzchołek: chciałem zobaczyć czy jest jeszcze ów sznur, po którym opuściłem się na niższe piętro. Wydostałem się na najwyższą kondygnację nisz, lecz nie mogłem odnaleźć tej, którą już znałem. Naszukawszy się jej

napróżno, musiałem się umieścić w pierwszej lepszej, gdyż wszystkie były jednakowe i w każdej było szklane naczynie, napełnione krwią.

Przytulilem się pod rodzajem balustrady, rozdzielającej dwie kolumny, a w kącie znalazłem stos miękkich włókien, które na razie wziąłem za bawelnę, lecz po bliższem przyjrzeniu się było to podobniejszem do amiantu lub do nici ciągnionych ze szkła.

Zrobiłem sobie z nich wezglowie i ułożyłem się do snu; lecz nie mogłem zasnąć. Myśl przepelniona tylu wrażeniami, nie mogła się uspokoić: podziwiałem więc piękny widok Fobosa i Dejmosa, bratnich księżyców, osrebrzających kolorowe kolumny. Na czystem niebie błyszczwały gwiazdy, a ja, patrząc na nie, zapytywałem sam siebie: czy żyję, czy też może dusza moja tylko tu błądzi, podczas gdy ciało pozostaje pogrążone w śnie lunatycznym, w krypcie jednej ze świątyń indyjskich.

Lecz spojrzawszy nieco dalej, ujrzałem między innymi gwiazdami Ziemię, jako małe i nikłe światełko. Tam się znajdowało, wszystko, co ukochałem na świecie...

Tu głos Roberta umilkł pod wpływem wzruszenia. Opanowawszy się, mówił głosem lekko drżącym:

— Gdy tak byłem zatopiony w rozmyślaniach usłyszałem nad sobą lekki łopot skrzydeł i zanim zdołałem pomyśleć o obronie, uczulem się pochwyconym przez ręce ślizkie i miękkie jak węże, takie same jak w gęstwinie roślinnej i nie mogłem uczynić najmniejszego poruszenia.

Krew ścięła mi się ze zgrozy w żyłach; byłem pewnym, że nadeszła moja ostatnia chwila. Lecz mój przeciwnik, którego kształtów nie mogłem dojrzeć

w ciemności, pochwyciwszy mię do góry, zadowolił się wyrzuceniem mię na spiralne schody, gdzie długo leżałem na wpół martwy. Serce mi biło gwałtownie.

Wtedy usłyszałem znów ruch skrzydeł i chlupotanie czegoś płynnego: widocznie wróg mój gasił pragnienie w naczyniu z krwią. Następnie słychać było jak się układał do spoczynku na postaniu, z którego mię niedawno usunął.

Powoli przyszedłem do siebie, powstałem i zeszedłem jak mogłem najprędzej o dwa piętra niżej. Zadyuszany i przerażony, nie śmiałem już wchodzić do żadnej niszy, obawiając się powtórnego spotkania z ich mieszkańcami.

Ułożyłem się w galerji i próbowałem usnąć; dokażalem tego nakoniec, lecz sen mój był niespokojny i przerywany przez przerażające widzenia. Budziłem się kilkanaście razy, obłany zimnym potem, pewny iż słyszę wśród szmeru fal morskich łopot skrzydeł lub chichot szydery, znany mi już dawniej, na który, niestety, zamało wprzód zwracałem uwagi...

Nareszcie dzień zaświtał. Gdy się tylko rozwidniło, wstąpiłem na wyższe piętro, z rozpaczliwą odwagą spotkania się raz wreszcie, twarzą w twarz, z tajemniczym nieprzyjacielem. Obszedłem wielką liczbę nisz, wszystkie były puste, lecz włókna amiantu, służące za pościel w każdej niszy, miały wszystkie odciśnięte wgłębienie od ciał, które na nich spoczywały, a szklane misy były prawie wszędzie puste. Nie mogłem tego pojąć i wcale mi było niewygodnie w roli księcia z bajki, uwięzionego w jakimś zaczarowanym zamku, gdzie jest obsługiwany, nie widząc żywej duszy.

Ten dzień spędziłem prawie całkowicie w galerji

podmorskiej, podziwiając łagodny wdzięk wodnych krajobrazów.

Nie śmiałem już wracać do szklanej wieży: dreszcz mię przechodził na wspomnienie tych długich, ślizkich palców, które jak węże miękkie a sprężyste oplotły mię silnie w nisy i pogardliwie wyrzuciły na korytarz...

Tak spędziłem cały tydzień w ciągłej obawie, lecz bez jednostajności.

Postanowiłem zwiedzić cały pałac podziemny i na każdym kroku robiłem zdumiewające odkrycia. W tych niezliczonych składach musiał jakiś naród przez wieki całe chyba gromadzić te bogactwa. Podziwiałem tam arsenały, gdzie bronie różne były wyrobione z kruszców mi nieznanych; przypominam sobie siekiery o poczwórnych ostrzach, które miały kolor i połysk szmaragdu, jak gdyby były ukute z zielonego złota.

Spotykałem też miedź, żelazo i złoto, lecz w małej ilości; natomiast metal najrzadszy między ziemskimi, irydium, znajdowałem obficie, zachwycając się jego tęczkowymi odblaskami.

Były tam porobione z niego wielkie kule, najeżone wewnątrz ostremi kolcami, a otwierające się w połowie; obie te półkule, których przeznaczenia nie mogłem się domyśleć, były złączone zawiasami.

Były tam nożyce ząbkowane różnych rozmiarów, niezmiernej wielkości, sieci z drucików jakiegoś lazurowego metalu, u każdego oczka których był mały zakrzywiony haczyk, jak u wędki.

Czy te wszystkie narzędzia służyły do pracy, czy wojny, czy tortur? Nie mogłem tego odgadnąć i nieraz godziny całe przechodziły mi na rozmyślaniu nad za-

wilem zagadnieniem, jakimi były istoty, które te narzędzia wytworzyły, miały się nimi posługiwać i wypełniły tem wszystkim tę olbrzymią kryptę, obszarem równającą się sporemu miastu?

Dotykałem się teraz do wszystkiego ostrożnie, gdyż miałem wypadek następujący: znalazłem spory krążek srebrny, z wykrojonemi w nim kilku otworami o średnicy 8 do 10 ctm. i nierozważnie wsunąłem w jeden z nich rękę. Natychmiast wewnętrzna sprężyna wepchnęła w ten otwór stalowe ostrze, które o mało nie przecięło mi ręki. Ta przygoda uczyniła mię przezornym.

Wziąłem z tego składu, dla własnej obrony, złotą siekiere, którą zawiesiłem u pasa i rodzaj długiej lancy z irydium ze srebrnem okuciem, ciężkiej i dobrze wyostrzonej.

Lecz potrzebowałbym co najmniej dnia całego na opisanie tych wszystkich magazynów, składów żywności, narzędzi i najrozmaitszych przedmiotów, zapelniających te katakomby podmorskiej... Z wielu szczegółów wyprowadziłem wniosek, iż to wszystko było oddawna zaniedbane i opuszczone. Może to cały jakiś naród został wytraconym przez rzeczywistych mieszkańców wież szklanych, a moich niewidzialnych i nieznanych dozorców?

Jedna rzecz szczególniej mię ucieszyła: oto znalazłem jedną z sal, zapełnioną skrzynkami z drzewa czerwonego jak cedr, w których się znajdowały, poukładane porządnie, najrozmaitsze materje. Były one tkane z włókien nieznanego mi pochodzenia, lecz niektóre z nich miały giętkość jedwabiu, a inne miękkość bawełnianych wyrobów.

Kiedy je rozkładałem, pewna ich ilość rozsypywała się w proch, jak tkaniny znajdowane w Herkulanum, Pompei lub grobach starożytnych.

Niektóre przechowały się dobrze, leżąc między tkaninami z piór jaskrawych kolorów; z tych ostatnich skorzystałem, aby odnowić swój ubiór, znajdujący się w dość smutnym stanie.

Myślałem, że to jest jakiś skład, czy muzeum ubrań, lecz wkrótce poznałem swoją omyłkę. Te wszystkie kawałki materji miały kształt czworograniasty lub trójkątny, a były na nich wyszywane lub malowane różne sceny.

Była to więc biblioteka a raczej archiwum, które napełniłoby rozkoszą uczonych wielu akademji. Napewno wielka część historii planety była zawartą w tych rysunkach.

Rozwijalem i składałem kosztowne tkaniny: wszystkie były koloru niebieskiego lub zielonego, dość ciemnego, a rysunki wykonano barwami jaskrawymi: jasnożółtą lub jaskrawo-czerwoną.

Było to t. zw. pismo obrazkowe, wspólne hieroglifom egipskim i starożytnemu pismu chińskiemu.

Musiałbym poświęcić lata całe na to, aby treść jego zrozumieć — szaleństwem byłoby kusić się o to!

Niektóre jednak ze scen owych były dla mnie zrozumiałe i stały się przedmiotem długich rozmyślań.

Na jednym obrazku, Erloor przedstawiony w sposób dość pierwotny lecz dokładny, rzucał się na mieszkańca bagnisk, jednego z tych, którzy niedawno jeszcze byli mymi poddanymi; na innym, Erloor był pożerany przez jakąś istotę, której nie widziałem przez

cały czas pobytu na Marsie, składającą się jedynie z olbrzymiej głowy i pary skrzydeł.

Na innym jeszcze, owa istota była napadana przez jakąś bezkształtną masę wielkości olbrzymiej, w stosunku do innych tworów.

Tak samo więc i tu, jak na Ziemi, jedni żyli kosztem istnienia innych.

Na tych rozpamiętywaniach uchodził czas, nie przynosząc w położeniu mojem żadnej zmiany. Idąc raz podmorską galerją dość długo, napotkałem w jej końcu drugą wieżę szklaną, tak identyczną z pierwszą, że już nie miałem ochoty oglądać trzeciej. Wszędzie panowało jednakowe, śmiertelne milczenie, rzadko kiedy przerywane łopotem skrzydeł lub szyderczym, ostrym śmiechem, który mi krew mroził w żyłach.

Nadzieja ujrzenia kiedyś Ziemi, lub chociaż przesłania o sobie wiadomości mym przyjaciółom, nikła coraz bardziej; przesładowała mię myśl, iż umrę tu samotny, zdala od wszystkich, których kochałem, nie mogąc nawet im zakomunikować szczegółów mojej nadzwyczajnej podróży.

Wtedy właśnie zaszedł wypadek, który na los mój wywarł wpływ szczególny. W moich wędrówkach podziemnych doszedłem już do krypt, które uważałem za ostatnie. Nie miały one szklanych ścian, sklepienia nie wydawały światła — były więc pogrążone w ciemnościach. Wykuto je w granicie czerwonym, drobnoziarnistym, a wejścia do nich strzegły drzwi metalowe, które zaledwie z trudem, przy pomocy zabranych z arsenału narzędzi, zdołałem otworzyć.

To wszystko podniecało silnie moją ciekawość, lecz nie mogłem zwiedzać tych krypt poomacku. Trzeba

było najprzód sfabrykować lampę, pochodnię, lub coś podobnego. Dokazałem tego, zbierając wosk zalepiający otwory beczek i zmiękczając go w palcach, a następnie oblepiając nim knot skręcony z kawałka bawelnianej materji.

Teraz nastęczała się trudność zapalenia tej niezgrabnej świecy; lecz nie mogłem nic skutecznego wymyśleć. Próbowiałem wzniecić ogień, trąc energicznie dwa kawałki desek, odbite od pak; lecz nie wiedziałem, że koniecznym w tym razie warunkiem jest, aby jedna deseczka była z twardego drzewa, druga z miękkiego. To też starania moje pozostały bez skutku. Cały w potach i zmęczony, musiałem tego sposobu zaniechać.

Natomiast odbiłem siekierą kawał grubego, przezroczystego szkła i tak długo je ścierałem i oglądałem, aż przybrało formę soczewki. Wtedy stanąłem przy oknie i skierowawszy blask soczewki na knot mojej pochodni — o radości! — zapaliłem ją nakoniec.

Teraz już mogłem śmiało wejść do ostatniej krypty, myśląc z biciem serca o cudach, jakie w niej mam ujrzeć.

Jakże się zdumiałem, widząc tę katakombę zapełnioną ogromnymi kulami kamiennymi, które leżały ułożone w wielkie pryzmy, jak w fortcach, lub obozach artylerji. Oglądając je, zobaczyłem iż są nakrapiane zielonemi centkami, jak niektóre granity.

W tem miejscu ciekawość słuchaczy Roberta była w najwyższym stopniu podnieconą. Wszyscy milczeli, tylko słyhać było szelest stylografu, poruszającego się szybko w ręku lorda Frymcock'a. Kilku uderzeniami siekiery rozbiłem jedną z kul; wewnątrz jej było białe, poprzecinane przez rurki ze

szkła czerwonego, z których po rozbiciu wyciekał płyn gęstawy, mocno pachnący..

Wszystkie te kule były jednakowe, takie same jak ta, z której mię wydobyliście.

— Ale cóż było wewnątrz?—zawołał Ralf, niezdolny już dłużej pohamować swej ciekawości.

— Zgadnijcie! Oto Erloor, skurczony jak mumja i tak zdętwiały, że go w pierwszej chwili wziąłem za trupa. Byłem zdumiony: oto miałem przed oczami, w schronieniu tych potworów, coś nakształt cmentarzał

Wytłomaczyłem to sobie w ten sposób, że starożytny ludy tej planety balsamowały zapewne Erloorów, tak jak to czynili Egipcjanie z ibisami, kotami i krokodylami.

Puściłem się w dalszą drogę korytarzami tego miasta umarłych, rozmyślając, do czego mogły służyć owe rurki, napełnione płynem? Wkońcu powiedziałem sobie, że muszą zawierać jakiś środek antyseptyczny, przyczyniający się do konserwowania ciała; lecz, jak to mogliście stwierdzić na mnie, myliłem się najzupełniej.

Płyn ów, nasycony tlenem, zawiera także azot, węgielowodany i inne związki chemiczne, podtrzymujące życie i gdybym posiadał jego przepis, życie ludzkie mogłoby się przeciągnąć do nieskończoności.

Płyn ten wchłaniany jest przez skórę i dostarcza organizmowi potrzebną ilość materji odżywczych, kiedy ciało jest pogrążone w śnie, zbliżonym do kataleptycznego, a bicie serca zupełnie wstrzymane.

Pigułki połykane przez Fara-Szib'a przed zakopaniem go żywcem musiały mieć skład podobny...

Lecz pozostawiam tę kwestję na boku, obiecując wyjaśnić ją nieco później.

Pochłanianie przez skórę ma tę wyższość, że nie zmusza żołądka do pracy, co nawet byłoby niepodobnem w tym rodzaju snu i można się doskonale odżywiać w ten sposób.

Erloor, którego wyrwałem z owej bryły, musiał żyć jeszcze napewno, lecz nie mogłem się domyśleć celu owego balsamowania. Czy te mumje miały stanowić zapas żywności na czas głodu lub oblężenia? Czy też przeciwnie, przechowywano je, jako świadectwo wieków dawno ubiegłych?..

Nieprzebita tajemnica otaczała to wszystko.

Przeszedłszy do następnej krypty, znalazłem tam także stosy podobnych brył, lecz mniejszej objętości i zielonego koloru.

Rozbiłem jedną z nich na próbę: czerwone rurki wypełniały jej wnętrze, lecz ku najwyższemu mojemu zdumieniu, było ono—puste! Rozbiłem jeszcze kilka—i wszędzie znalazłem to samo: rurki i nic więcej! W tej chwili śmiech straszny, szyderyczy rozległ się tuż nad moją głową. Obróciłem się szybko, lecz nie ujrzałem nikogo: byłem sam jeden w posępnej krypcie żywych mumji.

XIII. Hełm opalowy.

Robert Darvel zamilkł, jak gdyby walczył z sobą i namyślał się. Widocznie były między jego przysgodami i takie, o których wolałby zapomnieć.

— Może pan jesteś zanadto zmęczonym? — spytała miss Alberta — możebyś pan wolał odpocząć?

— Nigdy w życiu! — zawołał Ralf z młodzieńczą

żywością — przecież chyba nie zechcesz nas zostawić na pastwę ciekawości, przerwawszy opowiadanie w najciekawszym miejscu!

— Nie zmęczyłem się wcale — rzekł Robert z uśmiechem — i nie mam wcale zamiaru wypróbowania waszej cierpliwości; lecz to, co mam jeszcze do opowiedzenia, do tego stopnia przechodzi wszelkie hipotezy ludzkie, iż waham się pomimo woli.

Wszyscy, którzy opisywali mieszkańców innych planet, opierali się na danych z życia naszego i które zmieniali podług wskazówek swojej wyobraźni lub ironji... Jednak to, na co patrzyłem, przechodzi najśmielsze, najdziwaczniejsze domysły. Jest to coś tak wspaniale wielkiego, że aż w potworność przechodzi: niby sen z Apokalipsy, opowiedziany przez Edgara Poë'go...

— Słuchamy więc! — szepnęła prawie błagalnie miss Alberta.

Robert milczał przez chwilę, zbierając myśli, poczem przymknawszy nieco powieki, jak gdyby wzrok zwracał ku nadludzkim zjawom czerwonej planety, zaczął:

— Mówiłem już, jakie wrażenie niezwalczonej grozy budził we mnie ów śmiech szydery, którego dźwięk miał w sobie coś nadprzyrodzonego: chociaż, co do mnie, nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Nazywamy tak zwykle różne objawy, których z powodu naszej nieświadomości nie znamy, gdyż nie umiemy ich pojąć. Wszystko, co umysł nasz i zmysły pojąć mogą, musi być wytłomaczonem: inaczej, samo nasze istnienie byłoby śmieszną nedorzecznością!

Powoli opanowałem grozę, którą mię przejmował ów śmiech szatański i szedłem dalej; miałem jeszcze trzy

pochodnie, więc ciemność mię nie przestraszała. W końcu galerji, będącej składem brył mniejszych, zielonych, zatrzymała mię przegroda ze słupów ustawionych tak gęsto, że chociaż byłem chudy, nie mogłem się między niemi precisnąć. Rdza strawiła kruszec, z którego były zrobione, lecz oskrobując ją ostrzem siekiery, ujrzałem, że były niegdyś świetnie czerwonego koloru.

Uderzyłem machinalnie kilka razy siekierą w słupy; były tak strawione przez rdzę, iż zaczęły się giąć i wreszcie parę z nich pękło, otwierając przejście.

Oglądając je, zauważyłem, iż został z nich tylko rodzaj rdzawej skorupy; miały jeszcze imponujący wygląd, lecz jedno mocne uderzenie wystarczyło do ich skruszenia.

Tuż za przegroda otwierała się szeroka studnia, skąd unosiły się wstrętne wyziewy.

Podnosząc pochodnię nad głowę, ujrzałem powbijane w mur wielkie obręcze żelazne, służące do ułatwiania zejścia.

Nie namyślałem się długo: udarłszy długi kawał z jedwabnej szaty, która mię okrywała, przytwierdziłem nim pochodnię sobie nad czołem i wypróbowałem siłę owych obrączek, począłem schodzić w dół.

Okropny zaduch, dochodzący z dołu, sprawiał mi nudności, lecz postanowiłem sobie, iż zejść na dół — i nie wracałem.

Schodziłem już tak z jakie dwadzieścia minut, ciągle w jednakowych, cuchnących ciemnościach; zmęczenie zaczynało mię ogarniać i zapytałem się, czy mi wystarczy siły, aby wrócić na górę i czy pochodnia nie zgaśnie przed czasem?

Po półgodzinnej takiej gimnastyce byłem szalenie

zmęczonym, prawie że zupełnie straciłem odwagę i już miałem, zlorzeczając tej przygodzie, wracać do góry, kiedy noga moja nie napotkała już obrączki — znalazła się w próżni. Podo mną było błotniste bagno, może koryto rzeki, dawno wyschniętej, lub kanału podziemnego. W szlamie tym tkwiły olbrzymie szkielety.

Od pierwszego rzutu oka poznałem w nich spokrewnione z plesiosaurami jaszczury, coś pośredniego między wężem i ropuchą, których kręgosłup, długi 20 met., zginał się w łuk nad krótkimi i krępymi biodrami.

Krótkie łapy przednie były podobne do pletw. Ogarnięty szczególną gorączką poszukiwań, przebyłem wklęsły kanał, przeczuwając, że jestem na drodze odkrycia jakiegoś bezcennego skarbu.

Musiało tak być, sądząc z nagromadzenia tylu przeszkód: przegroda, studnia, wreszcie ten kanał głęboki, gdzie nieostrożni, zapuszczający się tak daleko, bywali pożerani przez wygłodniałe, potworne płazy.

Lecz wieki mijały, rdza strawiła kruszec przegrody, kanał wysechł, a jaszczury wyginęły z głodu lub starości i oto mnie, przybyszowi z dalekich światów, jest może przeznaczonem zagarnąć to, czego wieki całe strzegły!

Stanąłem na wybrzeżu obłożonem granitem, przed portykiem, pokrytym plamami pleśni odwiecznej.

Z drugiej strony, cztery czarne postacie nieruchome, naturalnej wielkości, klęczały przed wielką, płytką czarą, w której błyszczał jakiś przedmiot, który wziętem zrazu za drogocenny kamień niezwykłych rozmiarów.

Postacie te, wykute w granicie, z szorstką zwężłością starożytnego rzeźbiarstwa, wyobrażały: Erloora, człowieka podwodnego, i mieszkańca bagnisk: czwarta

była dziwnym tworem, pół-mięczakiem, pół-nietope-
rzem, jakich wiele widziałem wyszytych na materjach.

Domyślałem się, że błyszczący kamień musiał być
bożyszczem tych wszystkich istot. Drżąc z niecierpli-
wości, chciałem się doń zbliżyć, lecz w tejże chwili
ogromny głaz, oderwawszy się od sklepienia, spadł
z hukiem gromu, musnąwszy mię w przelocie. Gdy-
bym nie był dosłyszał lekkiego trzasku, poprzedzające-
go katastrofę — i nie cofnął się odruchowo wtył, był-
bym zmiądzonym na śmierć przez ten głaz olbrzymi.
Straszliwa ta pułapka czyhała tu na śmiałków zbyt
odważnych, profanujących to miejsce.

Bóstwo było dobrze strzeżeniem!

Ze wstrętem okrążyłem dokoła głaz, który mię o mało
nie zmiądzzył i pochwyciłem skarb, tak usilnie bronio-
ny! Był to rodzaj hełmu, czy maski, wyrzeźbionej
z kamienia podobnego do opalu, o połyskach różowo-
zielonych.

Pochodnia moja była w trzech czwartych częściach
spalona; śpieszyłem się więc, aby wrócić na górę, czego
dokonałem z niezmiernym wysiłkiem; zejście na dół
było męczącym, lecz droga powrotna bez porównania
cięższa. Moja podróż podziemna zajęła mi całe po-
południe; noc już była zupełna, gdy się znalazłem
w galerji podmorskiej.

Odpocząwszy i posiliwszy się, uczułem łatwą do
wytłómaczenia ciekawość obejrzenia owego kasku, czy
hełmu, dla zdobycia którego narażałem się na takie
niebezpieczeństwa.

Włożyłem go na głowę, lecz z chwilą, gdy oczy
moje znalazły się nawprost otworów hełmu, w których

były osadzone przejrzyste kamienie — zaszła we mnie dziwna zmiana.

Mrok panujący w galerji rozjaśnił się nową światłością. Ujrzałem promienie nieznanego mi światła fosforującego, w kolorach ciemno-zielonym i ciemno-fioletkowym.

A więc ów hełm, słusznie uważany przez swych dawnych posiadaczy za przedmiot tak bezcenny — robił siatkówkę oka czułą na promienie ciemne widma słonecznego i inne promieniowanie tego rodzaju!

Możeby mi nawet dał możność ujrzania śmiertelnie szkodliwych promieni radu, lub X, oraz innych, subtelniejszych jeszcze wibracji, które prawdopodobnie pozostaną nazawsze ukryte ludzkiemu oku!

Zaledwie ochłonałem ze zdumienia, jakim mię napełniło to odkrycie, kiedy ujrzałem, że tuż koło mnie przesunął się jakiś kształt skrzydlaty i musnąwszy mię w przelocie, znikł w kierunku szklanej wieży.

Poszedłem za nim, dziwnie wzruszony, przeczuwając, że wkrótce przeniknę otaczającą mię tajemnicę.

Podczas drogi przelatywały tuż obok mnie inne cienie, lecz tak szybko, że zaledwie mogłem je zauważyć.

Wbiegłszy na kręcone schody, znalazłem się w korytarzu jednej z nisz.

Słów mi braknie, aby wam dać pojęcie o straszliwym zjawisku, które ujrzałem! Żadna mowa ludzka nie potrafi określić zgrozy i zdumienia, które mię przejęły!

Każdą z nisz owego szklanego Kolizeum, na które teraz Fobos i Dejmos rzucały swe jasne promienie — zajmował potwór, wydzielający blade, fosforyczne światło...

Ujrzałem olbrzymią, ohydną głowę, na dwóch brudno-białych skrzydłach. Zamiast tułowia, zwiisała ku dołowi wiązka długich ramion czy macek, uzbrojonych ssawkami, wijących się po ziemi, jak kłęb węzów. Oczy były szeroko rozwarte lecz bez źrenic, nos szeroki, a usta zaledwie widoczne, czerwono-krwistego koloru.

(Podczas tego dokładnego opisu słuchacze zamienili ze sobą spojrzenia pełne zgrozy. Lord przerwał stenografowanie, twarz Zaruka pokryła się szarawą bladeścią, oznaczającą u murzynów najwyższy przestrah — nawet Kerifa przytuliła się, drżąc, do miss Alberty. Owładnięty wspomnieniami swych niesłychanych przygód, Robert, nie spostrzegając straszego wrażenia, jakie wywarły jego słowa, mówił):

— Cała ta chmara obracała na mnie swe martwe oczy, a po chwili śmiech demoniczny, straszny, szycerczy wybuchnął z głębi przepaści i wzniósł się ku niebu...

Krew mi się ścięła w żyłach, straszliwa trwoga przykuła mię do miejsca z nadludzką siłą, a śmiech ów huczał nade mną jak rozszalała burza.

Wreszcie z odwagą rozpacziwą, czy też mimowolnym odruchem ściganego zwierzęcia, rzuciłem się do ucieczki... Przeskakując po parę stopni nieskończenie długich schodów, leciałem jak na skrzydłach.

Zatrzymałem się dopiero w galerji, gdzie były muje, czułem jednak, że i tam nie jestem zabezpieczonym przed tymi Niewidzialnymi, przy których Erloory były tylko nieszkodliwemi błonkoskrzydłami.

Gdybym miał więcej sił, schroniłbym się przed tym



Ujrzałem olbrzymią, ohydną głowę, na dwóch brudno-białych
skrzydłach.

śmiechem na samo dno otchłani, z której wydobyłem mój helm opalowy.

Ach, teraz dopiero pojąłem, jak słusznie ukrywano ten talizman, pozwalający widzieć niewidzialne! Jak mądrze postąpiono, otaczając go skomplikowanymi zasadzkami, broniącemi przystępu!

A więc już od jakiegoś czasu żyłem obok tych strasznych istot. Zrobiły sobie rozrywkę ze szpiegowania mnie, podglądania, miały mię wciąż na oku; pilnowały, jak zdobyczy, która nie może uciec daleko, którą znajdują zawsze w czasie przeznaczonym na jej śmierć.

Niewytlómaczone dotąd przygody dni ostatnich stały mi się teraz jasne, jak na dłoni. To Niewidzialni, zczajeni w roślinach powietrznych, wytępili moich biednych Marsjan, a mnie uwięzili; zdawało mi się, że czuję jeszcze uścisk ich ramion i zadrzałem, myśląc o niebezpieczeństwie, na które się narażałem, zajmując niszę jednego z tych potworów!

Naczynia z krwią wskazywały aż nadto dokładnie, czem się żywią...

Oburzony byłem tem, że na planecie, która, jak sądziłem, zamieszkują tylko nieszkodliwe dzikusy i ograniczone Erloory, mogły istnieć jeszcze inne, złośliwe istoty.

Napróżno przywodziłem sobie na myśl naukowe wyświetlenie tej kwestji: sama myśl, że jestem w mocy tych nieujętych istot, była mi nieznośną.

Tak przeszło parę godzin, a ja wciąż siedziałem w swej kryjówce, między dwoma stosami brył kamiennych, z zimnym potem na czole, nie śmiać się

poruszyć, jak zwierz dziki, wytropiony przez psy i osaczony w swej kryjówce.

Byłem pewnym, że lada chwila posłyszę miękki szelest skrzydeł tych potworów, które przylecą z piekielnym śmiechem, aby mię wyrwać z mego ukrycia.

Ten śmiech huczał mi wciąż w uszach, pozbawiając prawie przytomności; nie zemdlałem jednak, starając się panować nad sobą.

Czas upływał — i nic nie mąciło ciszy tej podziemnej galerji: rozmyślając nad swem położeniem, doszedłem do wniosku, iż teraz przy pomocy hełmu opalowego łatwiej uniknę wszelkich zasadzek — i to mię pocieszyło. Chociaż więc był dość ciężkim, nie zdjąłem go z głowy przez noc całą i nie spałem ani chwili.

(Tu Robert, ruchem pełnym udęczenia, przeciągnął ręką po czole. Znać było po nim, iż opowiadane zdarzenia przeżywa powtórnie. Ralf był mocno poruszonym; chciał wszystko opowiedzieć Robertowi, wołać, że Niewidzialni owładnęli Ziemią, że krążą dokoła willi, co grozi nieuniknionem nieszczęściem. Lecz miss Alberta nakazującym ruchem ręki zmusiła go do milczenia, a Jerzy i Frymcock spojrzeniem wyrazili potakiwanie. Niech Robert kończy swoje opowiadanie; na złą nowinę zawsze jest dość czasu, przytem on musi z pewnością znać jakiś sposób obrony przeciw tym potworom. Ralf pokręcił głową z niezadowoleniem, lecz milczał, podczas, gdy Robert, biorąc widoczną na ich twarzach zgrozę za wrażenie, wywołane jego słowami, opowiadał dalej):

— Ze zdziwieniem zapewne dowiecie się, iż od dnia tego upłynęło około dwóch tygodni bez żadnej zlej

przygody; co więcej — zżyłem się z moimi stróżami i byłem z nimi — jeśli się tak można wyrazić — w dobrych stosunkach. Przekonałem się, iż nie byli źle dla mnie usposobieni; przeciwnie — pokładali we mnie wielkie nadzieje, a ich ostre krzyki były tylko oznaką niezmiernego zdziwienia, jakie ich ogarnęło na widok opalowego hełmu na mej głowie.

Zdobycie tego talizmanu postawiło mię nader wysoko w ich mniemaniu.

We dnie rzadko ich widywałem; w przeciwieństwie do Erloorów, wylatywali równo ze świtem, powracając dopiero wieczorem, każdy na swoje wyznaczone mu legowisko.

W jaki sposób zaopatrywali naczynia, znajdujące się w celach, w krew świeżą — nie mogłem dociec, gdyż ukrywano to przede mną. Znakomicie ułatwiało im wszelkiego rodzaju łowy to, że byli niewidzialnymi, lecz smutne przecucie (poparte, niestety, dowodami) mówiło mi, że główną ich zdobyczą muszą być Erloory i Marsjanie z bagnistej części planety.

Niewidzialni nie znali mowy; szydercze ostre krzyki, wyrażające zdziwienie lub gniew, były jedynym ich głosem. Kiedy się chcieli porozumieć z sobą, patrzyli sobie nawzajem badawczo w oczy i przenikali swe zamiary, jak to czynią odgadywacze myśli.

To wszystko i wiele innych jeszcze rzeczy poznałem i zrozumiałem wkrótce.

Z początku latali lekliwie dokoła mnie i jeden z nich, dla zaznaczenia swoich dobrych zamiarów, zaprowadził mię do sali podziemnej, której dotąd nie zauważyłem. Było tam mnóstwo zapasów żywności, widokiem których chciał mnie ucieszyć.

Był nawet tak uprzejmym, iż otworzył pokrywę jednego z pudeł, posiłkując się swemi długimi ramionami, czy mackami — pamiętam dotąd, jak były wilgotne, zimne... Dotknięcie ich przejmowało mię najwyższym wstrętem.

Miały ich po pięć z każdej strony głowy, a siła ich i ruchliwość były nadzwyczajne: Niewidzialni używali ich jako nóg, rąk i macek z największą zręcznością. Podnosili z ziemi najdrobniejsze przedmioty, zawiązywali węzły i użytkowali jak najdokładniej z wszelkich narzędzi oraz broni.

Niekiedy chodzili na nich, rozpostarłszy skrzydła, wyglądając jak wielkie motyle, to znów zawieszali się u sklepienia, przytwierdzając się doń za pomocą ssawek, umieszczonych w liczbie trzech, na końcach tych ramion.

(Usłyszawszy słowo «ssawek» Frymcock spojrział mimowoli na swoją rękę i skrzywił się wymownie: lecz nikt z obecnych, prócz Ralfa, nie zauważył jego spojrzenia).

— Kiedyindziej — mówił Robert — podnosili niemi największe ciężary. Skrzydła ich nie były tak wykształcone i obciążone błoną, jak u ssących Erloorów, lecz składały się z rogowej substancji, jak skrzydła owadów, np. ważek.

Potrzebowałem jednak wielkiego wysiłku, aby się przyzwyczaić do tych wstrętnych twarzy, galaretowatych, wpół przejrzystych, będących jakby mieszaniną człowieka i głowonoga. Ich oczy bez źrenic, błędne i puste, jakby zmarłe, wzbudzały we mnie przez czas długi wstręt nieprzezwyciężony: pokonałem go jednak, chcąc zbadać dokładniej te szczególne istoty.

Szukając sposobu porozumienia się z niemi, narysowałem raz węglem na desce owoc kasztanu wodnego, jako znany mi najlepiej. Pokazałem następnie ów rysunek Niewidzialnemu, który mię był zaprowadził do sali z zapasami i wytłómaczyłem na migi, iż chcę, aby mi to przyniósł.

Zrozumiał mię: najprzód powtórzył mój rysunek z całą dokładnością, następnie odleciał i powrócił nadspodziewanie szybko, przynosząc żądane przeze mnie owoce.

Używałem często tego sposobu do zdobywania potrzebnych mi rzeczy, a zaprowadziwszy go raz do sali, będącej składem obrazów, wyszywanych na materjach, nakazałem mu, aby mi wytłómaczył z nich rzeczy dotąd dla mnie niezrozumiałe.

Kazał mi usiąść wprost siebie i patrzeć w swoje oczy. Wtedy uczulem, że przez rodzaj sugestji odczuwa on moje wrażenia i pojęcia w danej chwili — a może nawet i myśli.

Jednak ten rodzaj hipnotyzowania sprawiał mi zawsze wielkie cierpienie, tembardziej, że często musiałem spełniać rozkazy tego straszdyła, narzucone mi jego wola, której nie mogłem się oprzeć. Musiałem iść, wracać, lub zagłębiać się, wbrew własnej woli, w jaką oddaloną galerję, w której chciał mi coś ciekawego pokazać.

Muszę jednak przyznać, iż zamiary jego nie były dla mnie szkodliwe i że robił co mógł, aby mię zrozumieć: jednak pomimo zobopólnych naszych usiłowań istniała między nami wciąż jakaś przepaść, niczem nie dająca się zapelnąć. Wiedziałem, iż wiele moich pojęć, a nawet wrażeń, pozostaną dla niego na zawsze martwą literą.

Z tych naszych posiedzeń niewiele mogłem zebrać spostrzeżeń nad Niewidzialnymi. Jednakże z jego rysunków, robionych z niesłychaną dokładnością węglem, trzymanym w mackach, silniejszych i zgrabniejszych, aniżeli ręce — poznałem, iż żadna z moich przygód nie była im obcą.

Odrysował mi pierwszą porażkę zwyciężonych przez ogień Erloorów, śmierć Roomboo i wizerunki moich Marsjan — dość podobne.

Dał mi do poznania, że Niewidzialni, gdy zechcą, potrafią być biegłymi w każdym rzemiośle: ich to przodkowie powznosili te wieże, połączone podwodnymi galerjami i zgromadzili owe olbrzymie w nich zapasy. Oni sami nie podejmowali już dzieł tak wielkich, a jedynym ich zajęciem było zapewnienie sobie pożywienia.

Chciałem się dowiedzieć, jak długo żyją te straszidła: lecz gdym zdołał nareszcie, z wielkim trudem wytłómaczyć mu, czego żądam, wstrętą twarz jego przybrała wyraz rozdzierającej boleści, a skrzydłami wstrząsnął dreszcz przerażenia.

— Ja także muszę umrzeć — suggestjonował mi Wampir ze smutkiem swoją odpowiedź — i dla lepszego wytłómaczenia podniósł do góry i opuścił swoje macki ośm razy na znak, iż tyle jeszcze czasu do życia mu pozostało.

Lecz nie mogłem się dowiedzieć, czy miało to oznaczać tygodnie, miesiące, czy lata. Zaledwie po kilkunastu dniach dowiedziałem się prawdy.

Niewidzialni żyli pod władzą jakiejś straszliwej istoty, której nawet nazwać nie śmieli, a która znała wszystkie ich myśli i czyny.

Na podobieństwo starożytnego Minotaura, ten Moloch,

wyobrażany na haftowanych materjach, w postaci promieniającego półkola — pobierał każdego miesiąca krwawą daninę z Niewidzialnych, których pożerał. Nie było wolno nikomu, oprócz przeznaczonych na ofiarę, wchodzić w kraj pustynny, położony nad wiecznie burzliwym morzem, w najgorętszej części planety, w którym istota ta straszliwa przebywała.

Próbowano oddawać jej na ofiarę inne stworzenia, lecz żadne, oprócz Niewidzialnych, nie były przyjęte, a i tych jeszcze skrzydła i macki były pogardliwie odrzucane.

Niegdyś Niewidzialni próbowali opierać się tej tyrańskiej władzy i odlecieli w lodowate, przy biegunie masyjskim położone kraje: lecz zemsta krwiożerczego bóstwa rychło ich odnalazła i wytępiła.

Pioruny pogruchotały wiele wież szklanych, a siła nieprzewyciężona powynajdywała nieszczęsnych zbiegów w górskich pieczarach lub w najtajniejszych gębiach lasów — i zmusiła do powrotu.

Bunt, tak krwawo stłumiony, nie powtórzył się więcej przez długi przeciąg czasu i każdego miesiąca oznaczona ilość ofiar posłusznych leciała, pociągana niezwalczoną siłą, w bezpowrotną drogę ku przekłętym krainom południa.

Towarzyszący mi Niewidzialny chciał więc zapewne dać mi do zrozumienia, iż pozostaje mu jeszcze ośm miesięcy życia.

Wiadomości te jednak wzbudziły we mnie pewne niedowierzanie: nieprawdopodobną mi się zdawała wszechwładza tego krwiożerczego potworu, jak również i jego rozmiary—gdyż Niewidzialni wyobrażali go wielkim jak góra i uwieńczonym płomieniami.

Przychodziła mi myśl, że może Niewidzialni czczą jakiś wulkan, lub inny fenomen natury, którego ofiarą stać się mogli kiedyś; w rezultacie jednak sam nie wiedziałem, co o tem sądzić.

Wszystkie te wieści były mi udzielane z wielką powściągliwością; a ilekroć zapytywałem o coś nowego, groza i przestrasz, widoczne na szpetnych twarzach, wykazywały ich przerażenie.

Musiała jednak w tem tkwić wielka część prawdy, ponieważ w dniu oznaczonym byłem świadkiem odlotu gromady ofiar do południowych krajów.

Był to widok, którego nigdy nie zapomnę!

Od czasu jak poznałem cudowne własności opalowego helmu, zdejmowałem go jedynie na kilka godzin snu.

Pewnego dnia odpoczywałem właśnie po dłuższej wycieczce w galerjach, kiedy zaczęły mię dochodzić ostre i przenikliwe krzyki, będące u Niewidzialnych oznaką najwyższego wzruszenia.

Włożyłem śpiesznie hełm i wyszedłem na platformę: teraz nie obawiałem się już zaglądać w nisze, a nawet wchodzić do nich.

Spojrzałem wewnątrz, w dół. Cała ta przestrzeń była zapełnioną mnóstwem Niewidzialnych; kręcili się tam bezładnie, jak pszczoły bez swej królowej, wydając żalosalne, przejmujące jęki.

Nigdybym nie przypuścił, że istoty o tak wstrętnym, galaretowatym wyglądzie mogą odczuwać tak gwałtowną bolesć.

Wkońcu wrócili do swych legowisk, zauważyłem jednak, iż ci, którzy zajmowali najwyższe piętro, wypijali chciwie krew z pełnych po brzegi naczyń.

W tej chwili Fobos i Deimos zajaśniały na czys-

tem, wieczornem niebie. Na ten widok wzmogły się krzykliwe jęki i stały się prawie ogłuszającymi.

Bezpośrednio po tem, Niewidzialni z najwyższego piętra wzięli jednocześnie w górę z gardłowym krzykiem, a utworzywszy tam trójkąt na podobieństwo zórawi lub dzikich gęsi, lecących do ciepłych krajów, pomknęli, jak strzała, na południe, wpośród rozdzierających jęków pozostałej gromady.

I tak z każdej z wież stojących wśród morza, wznosił się długi sznur, powiększając ogólną gromadę i napełniając powietrze żalobnym krzykiem...

To wszystko sprawiło na mnie przejmujące wrażenie.

Czułem, że pod wstrętą powierzchownością Wampirów krył się duch inteligentny i cierpiący: byłem tem wzruszony głęboko, litując się nad temi dziwnymi istotami i żałowałem, że nie mogę ich ocalić od zguby. One zaś, odleciawszy już daleko, tworzyły tylko jakby gęsty obłok na południowej stronie widnokregu, malejąco stopniowo, aż się rozwiął we mgłach oddalenia...

Wewnątrz wieży panowała zupełna cisza, lecz wkrótce usłyszałem łopotanie skrzydeł i rój Niewidzialnych, ukazawszy się z ciemności, wleciał na najwyższe piętro i zajął w milczeniu nisze, opróżnione przez dotychczasowych mieszkańców. Były to ofiary, przeznaczone do następnego odlotu...

(Robert, zmęczony i wzruszony, umilkł na dłuższą chwilę; mrożone wino, podane przez Kerifę, zdawało się go orzeźwiać, lecz siedział zamyślony, a słuchacze wyczekiwali niecierpliwie dalszego ciągu tych nadzwyczajnych przygód. Zaruk, zwrócony w stronę tarasu, zdawał się przypatrywać swemi martwemi żrenicami, opisywanym przez Roberta potworom).

XIV. Wyspa Śmierci.

Ralf mruknął coś o niezwykłym upale, lecz nikt mu nie odpowiedział, a Robert mówił:

— Od owego dnia pragnienie ujrzenia i poznania tyrana, który miał nad Niewidzialnymi władzę tak straszliwą, nie dawało mi spokoju. To też zanim upłynął czas przeznaczony na odlot następnej gromady, powziąłem niezmiennie postanowienie: muszę odkryć schronienie tego potwora i ujrzeć, w jaki sposób pochłania swoje ofiary!

Byłem pewnym, że w tem, czego się o nim dowiedziałem, musi być wiele przesady, gdyż istota podobna tej, jaką mi opisano, stanowczo nie mogła istnieć.

Niewidzialny, któremu się zwierzyłem z moją myślą, zdawał się być przerażonym moją śmiałością. Nie odmówił mi jednak dostarczenia przedmiotów, które mi mogły być potrzebne w tej wyprawie, oraz wskazówek do odnalezienia krainy, którą, drżąc z przestachu na jej wspomnienie, nazywał «Wyspą Śmierci».

Wynalazł mi w zakątkach podziemnego arsenału lekką a mocną łódkę, zrobioną z szyldkretu żółtawia morskiego: pojedyncze tabliczki były spojone tak ściśle, iż tworzyły jednolitą masę.

Była ona wąską i zgrabną, i mogła pomieścić dwie osoby, oprócz koniecznych narzędzi i zapasów.

Dorobiłem do niej ster i wiosła z desek cedrowych, oderwanych od pak, leżących w składach i wkrótce mój statek został przez Niewidzialnych spuszczonej na wodę i umocowany na kotwicy u stóp wieży. Wziąłem dostateczny zapas żywności, lecz nie sporządzałem

żagli, ponieważ zauważyłem dwa prądy morskie, odznaczające się barwą swych wód: jeden płynął ku południowi, drugi z południa — postanowiłem więc z nich skorzystać.

Nie bez wzruszenia tedy, na trzy dni przed datą odlotu następnej gromady, zsunąłem się na mocnej linie z wieży na moją łódkę.

Po kilku uderzeniach wiosła byłem już na prądzie, który zaczął mię szybko unosić na południe.

Miałem ze sobą mapę, wyrysowaną węglem na desce cedrowej, oprócz tego, otrzymałem tak dokładne wskazówki co do kierunku drogi, iż omyłka była wykluczona.

Pogodę miałem przepyszną: na morzu spokojnem jak toń zacisznego jeziora, widniały bliżej i dalej olbrzymie wieże szklane w niezliczonej ilości. Dzięki mojemu hełmowi, na każdej z nich widziałem u wierzchu gromady Niewidzialnych, przyglądających mi się z ciekawością i strachem.

Przy końcu dnia wylądowałem na piaszczystej wysepce, pełnej ptactwa i skorupiaków, a spędziwszy tam noc, o świcie popłynąłem dalej.

Morze przybrało teraz inny wygląd: wieże znikły, a z głębi fal ciemnych, odbijających w sobie ponurą, czarniawą barwę chmur burzliwych, wystawały wierzchołki skał posępnych, czerwonego koloru.

Upał był duszący. Dokoła mojej łódeczki uwijały się olbrzymy morskie podobne do rekinów; jedno uderzenie ich potężnych szczęk, uzbrojonych straszliwymi zębami zmiażdżyć mogło łódkę wraz ze mną — lecz byłem widocznie dla nich zbyt drobną zdobyczą.

W połowie dnia ujrzałem w stronie południowej

wierzchołek góry szarawej, który w miarę zbliżania się rósł tak szybko, iż przed wieczorem zdał się już do-
sięgać obłoków.

Domyśliłem się, iż jest to mieszkanie tyrańskiego
władcy i byłem mocno wzruszony tym dowodem praw-
dziwości ich opowiadań.

Góra ta zdawała się wywierać wpływ przyciągają-
cy na moją łódkę, jak owe góry magnesowe w opo-
wieściach wschodnich.

Ogarnęło mię szczególne uczucie: zapytywałem się
sam, czemu opuściłem bezpieczne schronienie w wieży,
gdzie mogłem badać historję planety w spokoju, i nara-
żam się na pewną zgubę?

Potrzebowałem wielkiej siły woli, aby nie uległ po-
kusie powrotu do Niewidzialnych, o których teraz my-
ślałem z wdzięcznością prawie; opanowałem się jed-
nak — i przewyciężyłem tę słabość ducha.

Tego wieczora wylądowałem na skale, szarpanej od
spodu falami, i nie miałem ani chwili spokoju. Zaraz
po zachodzie słońca wybuchła burza: olśniewające
błyskawice przecinały niebo, rozszalałe fale opryskiwały
mię co chwila, a deszcz ulewny, przy huku grzmotów,
przenikał aż do kości. Wiedziałem, że w wielu gorą-
cych krajach, jak np. na wyspach Antylskich, burze
przychodzą codziennie, odświeżają wieczorem powietrze
i ziemię wysuszoną upałem dziennym. To przypomnie-
nie uspokoiło mię, jako naturalne wyjaśnienie słów
Niewidzialnych, iż «kraj południowy jest wstrząsany
ciągłemi burzami».

Rankiem odszukałem swoją łódkę tam, gdzie ją
umieściłem przed wieczorem, w bezpiecznym zagłębie-
niu skały i puściłem się na morze.

Deszcz nareszcie ustał; upał jednak był duszący a niebo pochmurne. Olbrzymia góra wznosiła się teraz przede mną z głębi morza, w kształcie prawidłowej półkuli; była zupełnie taką, jak na wzorach, wyszywanych na materjach. Wysokość jej równała się szczytowi Mont-Blanc; lecz u podstawy była trzy razy większej objętości.

Teraz już widziałem, że na prawo i lewo od góry, grunt jest coraz niższy i pokryty rozległym lasem; lecz drzewa te świeciły zdaleka połyskiem jasnego metalu.

Nie zastanawiałem się jednak nad tem; całą moją uwagę pochłaniała ta przekłeta góra, która zdawała się być tak bliską — lecz w rzeczywistości była jeszcze daleką ode mnie.

Z morza wystawały ławice piasku i skały, tak, że z wielką trudnością łódka przesuwała się między niemi: mnóstwo martwych ptaków i ryb leżało na wodzie, jak gdyby samo sąsiedztwo tej straszliwej góry było złowrogiem dla wszelkiej żyjącej istoty.

Zewsząd otaczała mię mdła woń stęchlizny i rozkładającego się mięsa.

Żaden krajobraz ziemski nie może dać pojęcia o tym widoku ponurym, a tak potężnym.

Około południa zbliżałem się do brzegu małej wysepki, pokrytej zielonością, gdzie chciałem trochę odpocząć; stamtąd też zamierzałem obserwować co się stanie z Niewidzialnymi po ich przybyciu. Lecz wkrótce ujrzałem, że te kwieciste drzewa były rosnąciami na bagnie oleandrami, a zapach gorzkich migdałów, zdradzający obecność kwasu pruskiego w tych pięknych kwiatach, usuwał wszelką wątpliwość. Szczątki owadów,

drobnych zwierząt i ryb, pokrywające wybrzeże, oznajmiały aż nadto wyraźnie, co mi tu grozi.

Oddaliłem się więc jak najprędzej ze smutkiem w duszy, widząc, iż jestem tu tylko igraszką sił potężnych, niszczycielskich. Niewidzialni mieli słuszość — śmierć czyhała tu na każdym kroku!

Byłbym natychmiast odpłynął z powrotem, lecz do końca dnia było nie więcej nad dwie godziny, a przy rozstrojeniu nerwów, w jakim się znajdowałem, byłoby mi niepodobnem odnaleźć prąd powrotny. Ze względu zaś na nową burzę nie chciałem wtedy znajdować się na morzu. Zresztą, czyż mam się oddalić, nie dowiedziawszy się niczego?

To też, choć z niejakim drzeniem, zacząłem krążyć ostrożnie dokoła tej strasznej góry, szukając miejsca stosownego do wylądowania.

Przyjrzwawszy się jej bliżej, zobaczyłem, że jest to olbrzymia, jednolita masa białego kwarcu. Jej gładkie ściany, wznoszące się przede mną prawie prostopadle, były najzupełniej niedostępne. Oplywałem ją dokoła, a na otaczających ją ławach piasku widziałem stopy skrzydeł i macek Niewidzialnych, wydające woń nieznośną. Zauważyłem wówczas, iż widzę te szczątki bez pomocy mego hełmu, co dowodziło, iż istoty te tylko za życia są niewidzialne i własność ta znika u nich wraz z życiem.

Pływałem wciąż dokoła olbrzymiej góry, aż wkońcu zauważyłem z jednej strony ciemny otwór, zdający się być bramą tajemniczą, prowadzącą do wnętrza olbrzymiej bryły kwarcu.

Skierowałem się w tę stronę i po niejakim czasie stanąłem z łódką u wejścia do ciemnej pieczary. Nie

miałem jednak ochoty zapuszczać się w jej głąb, szczególnie, gdy ujrzałem, że szczątki Niewidzialnych były tu w tak wielkiej ilości, iż utworzyły rodzaj wstrętnego, gnijącego bagna.

Nie chcąc tracić z oczu owego wejścia, zatrzymałem się w pobliżu, a umieściwszy łódkę na noc w załamie skał, wyszedłem na kamienistą wysepkę, gdzie, odpocząwszy, chciałem się posilić, lecz pomimo, iż od rana nic w ustach nie miałem, jeść nie mogłem, gdyż uczucie przygnębienia i straszliwa woń odbierały mi apetyt.

Zaledwie zdołałem przelknąć parę łyków wzmacniającego napoju, zabranego z podziemia.

Zbliżanie się nocy przejmowało mię nieokreślona trwogą; jakoż burza zaczęła się zrywać jeszcze przed zachodem słońca.

Zauważyłem wtedy rzecz niezwykłą: oto w miarę jak błyskawice stawały się częstsze i silniejsze, las drzew metalicznych otaczał się błękitnawym blaskiem, a na ich szczytach zaczęły się ukazywać płomyki, podobne tym, które marynarze nazywają «ognikami Ś-go Elma».

Las ten zdawał się nasycać burzą i wchłaniać ją w siebie.

Patrzyłem, nie pojmując tego zjawiska: ani na Ziemi, ani na Marsie nie widziałem nigdy, aby drzewo mogło być takim przewodnikiem elektryczności.

Z rozmyślań moich wyrwał mię głos szczególny. Noc już zapadła, wicher był silny, lecz nad jego szumem górował jakiś jęk, jakby wychodzący z morza w północnej stronie, silniejszy z każdą chwilą.

Krew mi się ścięła w żyłach, włosy zjeżyły się na

głowie... tak, to był żałosny, przedśmiertny krzyk Nie-widzialnych!

Zapewne opuścili już swoje wieże, jak przed mie-
siącem — i teraz cała ich gromada z jękiem i krzykiem
leciała, niesiona wichrem, ku miejscu swojej kaźni...

Na tle nieba, przerznanego co chwila błyskawica-
mi, widniały jak szarawa chmura, a ich krzyki rozdzie-
rały mi serce. Zdawało mi się, że lecą tutaj wzywać
mojej pomocy...

To było straszne: upadłem na piasek, dysząc ciężko,
nie mogąc jednak oderwać oczu od tego pełnego szatań-
skiej grozy widoku.

Cała chmara nieszczęsnych stworzeń przeleciała
o kilka metrów zaledwie nad moją głową i ujrzałem,
jak lecące na przedzie niknęły w otworze góry, niby
w potwornej paszczy, opromienionej teraz bladawem
światłem...

Tłoczyły się tam, gnane jakąś siłą straszliwą, jak
owce w drzwiach rzeźni i cała ta masa jęcząca, wyjąca
straszonym głosem, nikła, pochłaniana powoli przez
mroczną, posępną górę...

Ostre krzyki przygluszał matowy odgłos jak gdyby
miażdżonych kości i mięsa, jakieś potworne chrupanie
dawało się słyszeć, a od czasu do czasu straszliwa
paszcza wyrzucała, otoczone krwawą pianą, resztki
zgruchotanych skrzydeł i macek, tworząc z nich wał
półkolisty przed wejściem.

Po nad tym wstrząsającym widokiem czarne chmu-
ry wybuchały co chwila oślepiającymi błyskami, oświe-
tlającymi ponury krajobraz i rozhukane morze.

Było to nad siły moje... Przytomność mię opuściła—
omdlałem.

Kiedym otworzył oczy, z Niewidzialnych nie pozostało ani śladu... Wszystkie znikły w potwornej paszczy.

Burza huczała, jak przedtem, lecz w wyglądzie góry zaszła niewytłomaczona zmiana: cała teraz promieniowała blaskiem przyćmionym, mlecznym. Miałem przed sobą mur nieprzenikniony, świetlisty.. Robił on wrażenia tak straszne, iż się to nie da wyrazić słowami.

Zapewne teraz straszliwa góra odpoczywała, trawiać...

Byłem tak znękany, zmęczony, że nie mogłem wcale myśleć. Nie byłem już nawet ciekawym; jedno tylko uczucie pozostało: uciec stąd jak najprędzej, choćby z narażeniem życia! Nie myślałem o burzy, chłoczącej dotąd spienione fale, lecz odwiązałem śpiesznie łódkę i zacząłem wiosłować jak szalony, ale zaledwie odbiłem od brzegu, gdy olbrzymia fala uniosła łódkę i zakręciła ją kilkakrotnie jak źdźbło słomy. Uchwyciłem za burt i zaczęła się piekielna jazda z jednej fali na drugą.

Łódkę, pędzoną z szybkością szaloną, byłyby fale zatopiły odrazu, gdyby nie jej nadzwyczajna lekkość. Dwukrotnie byłem wyrzucony na ląd i porwany z powrotem: wkońcu straciłem władzę w zdrętwiałych rękach i wpadłem w rozszalałe morze...

Jakim cudem ocalałem — sam nie wiem. Uczucie ciszy i ciepła otrzeźwiło mię; otworzywszy oczy, ujrzałem, iż leżę na kamienistym wybrzeżu, a za pierwszym poruszeniem uczułem, iż całe ciało mam zбите i poranione; uderzenia o skały pokryły mię zadrapaniami i sińcami, a żołądek mój gwałtownymi boleściami protestował przeciwko pochłoniętej przeze mnie wodzie morskiej.

Myślałem, że już nadeszła dla mnie ostatnia chwila: miałem jednak jeszcze tyle siły, że unosząc się na rękach, odsunąłem się nieco od brzegu, aby nie być znów porwanym przez fale. W pobliżu ujrzałem potrząskane szczątki mojej łódki, oraz kilka przedmiotów, które w niej były. Posunąłem się w tę stronę, lecz byłem tak bezsilnym że w ciągu pół godziny zaledwie przepełzłem jakieś dziesięć kroków; ruch każdy wyrwał mi z ust jęki bólu, a pragnienie straszne paliło język i gardło.

Jakże się ucieszyłem, zobaczywszy przy szczątkach łódki małą baryłeczkę z trzciny bambusowej, w której zabrałem na drogę trochę owego czerwonego likworu znalezionego w podziemiach!

Z wielkim trudem wyrwałem zamykający go koleczek drewniany i połknąłem chciwie kilka łyków. Natychmiast uczułem znaczną ulgę w całym ciele; po jakimś czasie wstałem i z wielkim wprawdzie wysiłkiem, odciągnąłem dalej od morza rozbity łódkę, obiecując sobie ją później naprawić.

Chwiałem się jeszcze na nogach, a słońce dopiekało nielitościwie; zacząłem się jednak rozglądać po wybrzeżu, na które zostałem wyrzucony.

W niejakiej odległości rozciągał się las owych szczególnych drzew o metalicznym połysku; nad nim to widziałem poprzedniej nocy bladą światłość. Za lasem, w wielkim oddaleniu widniał szczyt wulkanu, uwieńczony wstęgą dymu; na prawo przekłeta góra zamykała sobą dalszy widok: wierzch jej ginął w chmurach.

Straszliwa scena, widziana w nocy, odżyła w mojej pamięci...

Zadrzałem ze zgrozy, czując, iż bezpieczniej byłoby znaleźć się w szponach lwa, aniżeli w tem strasznem sąsiedztwie. Wiedziałem, że życie moje zależy od niewidzialnego potwora, który lada chwila może mię pochłonać, jak wieloryb drobną rybkę. Nie wiedziałem czemu przypisać to, iż żyję jeszcze: chyba odrętwiałości, w jakiej po tak obfitej uczcie musiał się ów potwór znajdować...

Uciec?.. Tak, to było koniecznem, lecz na razie niewykonalnem; nie można było o tem myśleć wobec poranionych nóg i zgruchotanej łodzi.

Wśród tych smutnych rozpamiętywań przyszło mi na myśl, czyby nie było dobrze użyć na moje skaleczenie cudownego kordjału z podziemia? Zrobiłem tak i skutek był natychmiastowy: palenie w ranach ustało i mogłem, chociaż kulejąc, chodzić swobodnie.

Wkrótce znalazłem sporego żółwia, którego zabiłem kamieniem, lecz nie miałem na czem upiec, tylko ostrym kamieniem wykrajałem trochę mięsa, które mi jednak nie smakowało.

Ponieważ morze wraz ze szczątkami łódki wyrzuciło przytwierdzoną do burtu siekierę, przeto wzięwszy ją, poszedłem w głąb lądu, w kierunku lasu, błyszczącego jak stal polerowana. Po drodze znajdowałem dużo tabliczek szyldkretowych z żółwich grzbietów: byłby to wyborny materiał do naprawy łodzi! Wiedziałem, że szyldkret w fabrykach grzebieni bywa rozmiękczanym we wrzącej wodzie: gdybyż tu znaleźć gdzie gorące źródło!

Postanowiłem poszukać go w pobliżu wulkanu. Przedtem jednak doświadczyłem wielkiej radości: oto nawpół ukryty w piasku, leżał na wybrzeżu mój hełm

opalowy! Umieściłem go w bezpiecznym miejscu pod skałą i puściłem się w drogę. Między wybrzeżem a wulkanem była przestrzeń pusta, lecz wpatrując się w błyszczące odbłaskiem słońca drzewa, odkryłem rzecz zdumiewającą: to były nie drzewa, lecz maszty metalowe! Miały one na sobie poprzeczne cieńsze sztabki, niby reje na maszcie, które wciąż się rozdzielając na coraz cieńsze rozgałęzienia, miały końce cienkości igieł.

Całość miała kształt jodły z wierzchołkiem ostrym i cienkim, a każdy z tych masztów był osadzonym w wielkiej grubej płycie szklanej. Był to las sztuczny, prawdziwy las piorunochronów!..

Teraz zrozumiałem, skąd pochodziła ta światłość rażąca, którą widziałem nad tym lasem podczas burzy, lecz gdzież się podziewała olbrzymia ilość fluidu, gromadzącego się tu podczas codziennych burz wieczornych? Gubiłem się w tych domysłach!

Błądząc po lesie, natrafiłem na obszerną polankę, wyłożoną grubymi płytami szkła przezroczystego, pod którymi słychać było szmer bieżącej wody. Ukłakłem i zapuściwszy wzrok w głąb, ujrzałem mnóstwo kabli, zalanych wodą jeziora czy kanału podziemnego. Było ich mnóstwo, a szeregi ich kierowały się w stronę kwarcowej góry.

Zrozumiałem teraz: oto one odprowadzały tam energję, ściągniętą z chmur przez metalowe piorunochrony w kształcie drzew. Tak więc ta olbrzymia siła była pochłoniętą i użytą na cel niewiadomy przez istotę potężną, straszliwą, w rodzaju starożytnego Lewiatana.

Byłem tak pochłonięty swem odkryciem, iż sam nie wiedziałem, kiedy zszedłem ze szklanych płyt po-

lanki i zapuściłem się między drzewa metalowe, z których przelatujący wiatr wydobywał cichy dźwięk przy poruszaniu ich drobnych gałązek.

— Na jakiego licha może być użytym prąd tak potężny?—zawołałem głośno.

Szedłem wciąż dalej, mówiąc do siebie, jak to czynią ludzie, pochłonięci jakąś wyłączną myślą, gdy nareszcie kroki moje zatrzymał niewielki strumyk.

Wyszedłem już z elektrycznego lasu i zarysy wulkanu ukazywały się wyraźnie w niewielkiem oddaleniu. Grunt był pokryty pumeksem, popiołem i żużlami. Miałem już przeskoczyć ów strumyk, kiedy ujrzałem, że woda jego wydziela wielką ilość pary: była ona tak gorącą, iż prawie sparzyła mi rękę. A więc domysły moje były słuszne: znalazłem gorące źródło i to bez żadnego trudu.

Teraz będę mógł naprawić swą łódkę!

Odkrycie to tak mię ucieszyło, że chciałem iść po nią natychmiast, lecz przyszło mi na myśl pójść trochę brzegiem strumienia, płynącego w stronę straszliwej góry i okrażającego ją nieco.

Ujrzałem, iż wpada do niego niewielkie źródło; brudno-żółta barwa wód jego i ostry zapach przekonały mię, że to musi być źródło kwaśne, które trafiają się w pobliżu wulkanów równie często, jak źródła gorące.

Humboldt znajdował przecież u podnóża Andów źródła kwaśno-siarczane!

Lecz musiało tu być coś innego w tej wodzie, która wyżyłbiła i jakby strawiła brzegi strumienia, pokryte szklistą lawą: musiała zawierać jakiś pierwiastek nader ostry, jeśli ją rozpuszczał.

Zapewne to był kwas fluorowodorowy, najsilniejszy

ze znanych, ponieważ przegryza nawet szklane flakony, w których go przechowują.

Łącząc się ze strumieniem, źródło nadawało mu swe gryzące własności, a nawet w pobliżu góry nieprzerwane jego działanie wyłobiło w kwarcu wgłębienie wysokości jednego metra.

Przebywszy to wgłębienie, wody wpływały w bagno, wydające woń siarki; takie same widywałem w pobliżu Etny.

Badałem pilnie rodzaj kamienia, z którego składała się góra, a który początkowo brałem za kwarc: tam, gdzie kwas zgryzł jego powierzchnię, miał on połyski różowe i zielone, jak mój cudowny hełm, jak najpiękniejszy opał!

Było to dla mnie jedną więcej zagadką, lecz na razie nie myślałem jej rozwiązywać. Ogarnęła mnie ciekawość, aby wejść do tej małej grotki: kamienie, leżące na dnie wody, ułatwiały to w zupełności.

Zapomniałem w tej chwili o wszelkich obawach. Schyliwszy się, wszedłem pod sklepienie i postąpiłem kilka kroków, z początku w ciemności, potem przy słabym świetle, podobnem do księżycowego.

Grota miała około dziesięciu kroków długości i kończyła się okrągławem wgłębieniem, skąd wychodziło owo lekkie światło.

Zbliżyłem się i patrzyłem jak gdyby przez zamgloną szybę, widząc z początku tylko jakieś 'niepewne zarysy, zbiorowisko zwojów, przerywanych regularnymi wgłębieniami. Lecz nagle światło stało się mocniejszym... i ujrzałem wyraźnie...

W najzuchwalszych, najszaleńszych domysłach nie byłbym nigdy przypuścił podobnej rzeczy! Prawda ta

była cudowniejszą od wszelkich fantastycznych złudzeń!...

Ujrzałem przed sobą olbrzymi, potworny mózg, którego czaszką była ta góra, wysoka jak Mont-Blanc! Widziałem dokładnie różne wyniesienia, wielkie jak pagórki, pełne brózd głębokich nakształt wąwozów.

Te organa, potwornej wielkości, otoczone były płynem fosforyzującym, który je czynił widoczniejszymi; widziałem wzbieranie i pulsowanie potężnych arterji, poruszających się z dokładnością i siłą kół maszynowych. Zdawało mi się, że czuję pomimo szyby przezrzystego kamienia, oddzielającej mię od tego, co widziałem — ciepło potężnego życia i ruchu!

Stanowczo nikt z ludzi nie doświadczał zdumienia podobnego mojemu i zapytywałem się, czy nie jestem igraszką jakiejś djabelskiej halucynacji?

To, na co patrzyłem, było tak cudownem, tak przewyższającym wszelkie domysły, że przytłaczało mię nieokreśloną zgrozą, pomimo której nie byłem w stanie oderwać oczu od tego widoku. Byłem nim zupełnie zahypnotyzowany.

Uciekłem nakoniec z owej groty i schroniłem się między metalowemi drzewami; krew mi rozsadzała głowę, czułem, że obłąd mię ogarnia. Takiemi musiały być wrażenia Dantego, gdy myślą odbywał swe wędrówki po piekle — lub ludzi, którychby Malström, porwawszy na dno morskie, wyrzucił z powrotem na wierzch...

Oprzytomniawszy nieco, próbowałem zebrać myśli. Widocznie prąd elektryczny owego lasu w sposób mi niewiadomy dostarczał siły nerwowej temu olbrzymiemu nagromadzeniu komórek, a krew pochłanianych

Niewidzialnych odnawiała ilość wyczerpującego się fosforu. Wyobrażałem sobie olbrzymią siłę tak wielkiej masy mózgowej: czegóżby nie mogła dokonać tak potężna wola, wytężona w jednym kierunku, skierowana na jeden punkt?

Nie dziwiłem się już teraz ślepemu posłuszeństwu Niewidzialnych, przylatujących tu po śmierć z głębi swoich wież szklanych: one musiały to czynić!

Tu Robert umilkł, wyczerpany wzruszeniem; oczy jego rozszerzone były wskutek przerażenia, wywołanego wspomnieniami potężnego widziadła. Przyjaciele jego wzruszeni głęboko, oczekiwali z najżywszą ciekawością dalszego opowiadania.

— Czytam we wzroku waszym—rzekł wreszcie— tysiące pytań. Chcielibyście wiedzieć, jak ja, uczony— mogę powiedzieć: uczony marsyjski— tłumaczę ten fenomen w stosunku do innych istot? Nie śmiem budować w tym względzie całkowitej teorii, zdaje mi się jednak, że prawdopodobnemi będą następujące przypuszczenia...

Tu oczekiwanie słuchaczy doszło do najwyższego stopnia wytężenia—Robert zaś mówił dalej:

— Przypuszczam, że Niewidzialni są jakimś chybionym tworem, raczej szkicem tworu, powołanym do życia wolą owego olbrzymiego mózgu; teraz już składają się prawie wyłącznie z głowy, a odrzuciwszy ich skrzydła, oraz niezbyt im potrzebne macki, pozostały im tylko — mózg!

Przypominacie sobie zapewne, co wam mówiłem o sile ich woli i potężnym darze sugestji u tych istot, już teraz pozbawionych pazurów i zębów. Po miljo-

nach wieków te własności muszą wzrosnąć dziesięciokrotnie — stokrotnie!

Ale mi powiecie, że to nie usprawiedliwia kolosalnej objętości tamtego mózgu? Otóż przypuszczam, że musiał on tworzyć się powoli z miliardów pochłanianych istot, których energia mózgowa wytworzyła wkońcu to olbrzymie zbiorowisko siły i materji mózgowej, wskutek nieznanej mi ewolucji.

Dobrze rozważywszy to przypuszczenie, zobaczymy, iż nie jest ono tak nieprawdopodobnem, jakby się zdawać mogło. Wyobraźmy sobie człowieka, oswobodzonego, przez stopniowy rozwój i wiedzę, od wszystkich organów zwierzęcych; pozostała w nim głównie materja mózgowa. Nie obciążają go już narządy trawienne i ruchowe, odżywia się drobną ilością skoncentrowanego pokarmu, a tkanki jego ciała, nie narażone na szybkie zużywanie się, trwają nieskończenie długo. Siły umysłowe takiego człowieka, również wolne od wielu trosk, pochłaniających dziś znaczną ich część, byłyby znacznie większe.

Rozważmy to, iż każdy z ludzi, zajętych pracą umysłową, pozostaje mniej więcej nieruchomym: czytanie, pisanie, mowa lub jej słuchanie, prawie, że wykluczają ruch; w wielkiem zgromadzeniu ludzi, mających umysł jednakowo i wysoko rozwinięty, możemy przypuścić, iż będą oni mieć o wszystkim prawie jednakowe myśli, czyli: będą myśleć wspólnie. To jest dla mnie matematycznym pewnikiem. Od tego twierdzenia, do przypuszczenia, iż siedlisko materjalne myśli będzie wspólne im wszystkim—dzieli nas ledwie jeden krok. Lecz porzucam te domysły, które mogłyby



Nagle na pierwszych drzewach metalowego lasu zajaśniały
pióropusze ogni elektrycznych

nas zbyt daleko zaprowadzić—i wracam do mego opowiadania.

Przez resztę tego dnia, pamiętnego w historii odkryć wiedzy, byłem pogrążony w głębokiem rozmyślaniu. Wyobrażałem sobie byt tej zbiorowej istoty, pogrążonej w półśnie, który sobie sama utworzyła, lecz śledzącej uważnie życie planety, podległe jej woli...

Może urzeczywistni kiedyś nową jaką przemianę swoją, przez którą zbliży się ku przyszłości lepszej i piękniejszej...

Czyż nie nad tem myślał podobny do niej Budha, siedzący na kwiecie lotosu?

Nie uczuwałem już teraz zgrozy, lecz niezgłębiony podziw; zapytywałem się tylko ze drzeniem, czy ta straszliwa istota zauważyła moją marną osobę i przyszedłem do wniosku, że jeśli ocalałem od śmierci i zgłębiłem tyle rzeczy dziwnych i tajemniczych, musiało to być zgodne z jej wolą.

Puściwszy wodze marzeniom, wyobrażałem sobie, iż może to było mimowolne osłabienie owej woli, lub jej wyczerpanie, które przejdzie w zanik zupełny, w atrofję, jak to widzimy na starcach, których umysł dziecinnieje w podeszłych latach. Może jedynie takiemu osłabieniu zawdzięczam, iż dotąd żyję?

Zagłębiony w tych rozmyślaniach, zapomniałem o naprawie mej barki; nie zdawałem sobie sprawy, że dzień się kończy i dopiero błyskawice codziennej burzy wieczornej przywołały mię do rzeczywistości. Powróciłem więc na wybrzeże, gdzie zjadłem garść moich ziarn mącznych. Nagle na pierwszych drzewach metalowego lasu zajaśniały pióropusze ogni elektrycznych.

Na ten widok skoczyłem na równe nogi, jak porzucony potężną sprężyną. Miałem ochotę krzyknąć na całe gardło, jak Archimedes:

— Eureka!

W mózgu moim zajaśniała naksztal błyskawicy możliwość nawiązania komunikacji z Ziemią i.. kto wie — może ujarzwienie, zagarnięcie pod swoją władzę Wielkiego Mózgu!

Upojony tą myślą, położyłem się na piasku, obok szczątków mej łódki, lecz nie mogłem zasnąć. Przez noc całą myśl moja pracowała nad sposobami urzeczywistnienia pomysłu, który tak nagle przyszedł mi do głowy; obmyślałem szczegóły wykonania, roztrząsałem zarzuty, jakie mi się nasuwały. Gdy dzień rozjaśnił zachmurzone po burzy niebo, miałem już cały plan działania zakreślony i wierzyłem głęboko w jego powodzenie.

XV. Powrotna droga.

Ukończyłem prędko naprawę mojej łódki i tegoż dnia wyruszyłem z powrotem, trzymając się prądu płynącego na północ, aby powrócić do miejsc, skąd przybyłem.

Nie będę was nużył szczegółami mego projektu: podczas nocy, spędzonej w gorączkowym podnieceniu, obmyśliłem go całkowicie. Polegał on na pozbawieniu Wielkiego Mózgu prądu elektrycznego, który był niewątpliwie koniecznym dla jego istnienia — coby go oddało na moją łaskę i niełaskę. Olbrzymi zapas energii, gromadzący się każdego wieczoru w drzewach metalowych, miał mi posłużyć na sygnały dla Ziemi.

Znając dobrze elektrotechnikę, mogłem, przy niewątpliwym współdziałaniu Niewidzialnych, urzeczywistnić plan ten z łatwością. W tej powrotnej podróży nic szczególnego mi nie spotkało i szczęśliwie przybyłem do wież szklanych, których mieszkańcy już się nie spodziewali mnie oglądać.

Zaczęli mnie rozpytywać po swojemu, lecz ja, nie zwierzając im się z moich zamiarów, zacząłem robić pośpieszne przygotowania do drugiej podróży. Zbudowałem łódź większą i mocniejszą, na co składy i arsenały podziemne dostarczyły mi materiału, oraz drutu metalowego, rurek i zapasów żywności.

Po ośmiu dniach wypłynąłem powtórnie. Istniało dla mnie jedno tylko, lecz straszliwe niebezpieczeństwo: ażeby Wielki Mózg nie odgadł w swym pobliżu mojej obecności...

Nic jednak tego nie zapowiadało i podróż przeszła w zupełnym spokoju. Za nadejściem nocy byłem już w pobliżu lasu metalowego i przespałem spokojnie aż do świtu, ułożywszy się w zagłębieniu skał, a od rana wzięłem się do roboty. Z pomocą znalezionej w podziemiach saletry przyrządziłem 20 kilogramów prochu, aby urządzić minę, która miała przerwać druty, łączące drzewa metalowe z górą, będącą siedliskiem Wielkiego Mózgu.

Muszę wyznać, iż serce biło mi gwałtownie w chwili, kiedym zapalał lont i rachował na palcach minuty, poprzedzające wybuch.

Nakoniec huk straszliwy wstrząsnął powietrzem: zdało mi się, iż góra się wstrzęsła, ziemia zakolysała się pod memi stopami.

Ale to było wszystko: cisza, która potem nastąpiła,

dziwiła mnie samego, gdyż byłem przekonany, że gniewem Wielkiego Mózgu zostaną spiorunowanym natychmiast.

Gdy chmura dymu i kurzu się rozwiła, zbliżyłem się do miejsca katastrofy. Udało mi się w zupełności! Cała więź drutów była w dwóch miejscach przerwana, przez wyłom w taflach szklanych wypływała woda z kanału podziemnego.

Wybuch uszkodził tylko kilka drzew, których gałęzie połamał — zresztą nic więcej. Patrzyłem dokoła wzrokiem tryumfującym, gdy naraz cały krajobraz pokrył się mgłą tak gęstą, iż zrobiło się całkiem ciemno. Wziąłem to za jeden z ostatnich odruchów siły Wielkiego Mózgu, który dotknięty tak brutalnie, chciał się otoczyć zasłoną, aby ocenić doniosłość ciosu, który go dosięgnął.

Oczekiwałem nocy z niepokojem, gdyż teraz jeszcze wszystko mi mogło zagrażać: lecz potem, gdy energia strasznego przeciwnika nie będzie wzmacnianą nowym przyływem siły elektrycznej — już nie będę się niczego obawiać.

To też z uczuciem zadowolenia ujrzałem pierwsze błyski na szczytach drzew metalowych — byłem ocalony!

Nie wierzyłem, aby ten kolosalny organizm mógł uleść odrazu zniszczeniu wskutek braku elektryczności — może się jeszcze opierać wyczerpaniu przez długie miesiące, lecz będzie coraz słabnąć i musi wkońcu uleść, a ja posiadę jego tajemnice!

Myśl ta napelniła mię dumą i wzniosłem hardo głowę, spoglądając na olbrzymią górę.

Jednak to, czego dokonałem, było tylko częścią mego planu, choć może trudniejszą od następnej,

w której potrzebować będę współudziału Niewidzialnych.

Z początku nie chciały uwierzyć temu, co mówiłem i zaledwie kilka z nich, najodważniejszych, zdołałem nakłonić do towarzyszenia mi w okolice straszliwej góry.

Lecz gdy pierwsze się upewniły o prawdzie, nadleciały inne w ilości tak wielkiej, iż chmury ich pokryły niebo, a nowe jeszcze przybywały...

Wytłómaczyłem im wtedy, iż jeśli pragną się uwolnić od krwawej daniny, dotąd składanej, muszą mi być ślepo posłuszne.

Przystąpiłem wtedy do wielkiego dzieła. Na wielkiej pustyni, odpowiadającej prawie rozległością Saharze, a pokrytej piaskiem krwistego koloru, ustawiłem setkę masztów, z których każdy dźwigał potężną lampę łukową. Potrzebne do tego metale dostarczyli mi Niewidzialni ze składów podziemnych, a na miejscu znalazłem wyborny antracyt, który się żarzył w lampach wybornie.

Od lasu metalowego przeciągnąłem drut do lamp — i wkrótce — o radości! ujrzałem, jak zabłyśły światłem, co się już teraz powtarzało za nadejściem każdej nocy.

Niewidzialni pomagali mi dzielnie w tej pracy: był to widok nieporównany, gdy gromada ich dźwigała w powietrze jaki ciężar i kładła go na właściwe miejsce z bajeczną sprawnością. Jednak nie mogłem myśleć bez obawy o dniu, wyznaczonym na ofiarę z Niewidzialnych. Pozorny bezwład Wielkiego Mózgu nie uspokoił mię całkowicie.

Pewnego dnia wśliznąłem się do małej groty, wyłobionej przez kwas fluorowodorowy, skąd znów ujrza-

łem olbrzymie zwoje, otoczone fosforycznym blaskiem. Stwierdziłem też, że działanie potężnych naczyń krwionośnych nie ustało — było tylko nieco słabszem.

Obawiałem się jakiegoś niespodzianego, a straszliwego przebudzenia się Lewiatana. Przedsięwziąłem wszelkie środki ostrożności przeciw odzyciu tej siły, której tak łatwe ujarzmienie dziwiło mnie niezmiernie.

W dniu, wyznaczonym na krwawą daninę, rozkazałem, aby ci Niewidzialni, na których przypadała nie-szczęсна kolej, schronili się do najgłębszych galerii podziemnych, do których wejście zatarasowano silnie.

Miałem nadzieję, iż w tym zakątku będą mnie podległe rozkazującej im woli, która je zmuszała do lotu, kończącego się śmiercią.

O zachodzie słońca usłyszałem ich jęki i krzyki; popychane przez fatalną sugestję, chciały wyważyć wrota przeze mnie zabarykadowane, aby lecieć na miejsce kaźni. Nie udało im się to jednak i po jakimś czasie ucichły.

Wielki Mózg, pozbawiony teraz tak samo fosforu, jak wprzód energii elektrycznej, musi się wyczerpać, stracić wszelką moc i wolę.

Tak przeszły trzy miesiące. Niewidzialni okazywali mi największą uległość i szacunek. Zgadywali w lot moje życzenia, zanim zdążyłem je wypowiedzieć. Wypełniali wszelkie prace, jakie im nakazywałem, dostarczali mi najrzadszych roślin i stworzeń, istniejących na planecie; na ich niewidzialnych skrzydłach mogłem się przenosić wszędzie, dokąd tylko chciałem.

W ten sposób ukazałem się raz dawnym moim poddanym, dobrodusznym Marsjanom z kraju trzęsawisk, których obdarzyłem hojnie różnemi podarunkami.

Wzięli mnie z pewnością za jakąś nadprzyrodzoną istotę. Opuściłem wreszcie ten kraik, zapewniając jego mieszkańców, że o nich nie zapomnę i choć oddalony, opiekować się nimi będę zawsze.

Przez te kilka miesięcy żyłem zachwycającem i nieprawdopodobnem życiem czarodzieja, obsługiwanego przez posłuszne mu duchy. I mógłbym być najzupełniej szczęśliwym, gdyby mnie nie dręczyła straszliwa zmora tęsknoty za Ziemią. Ileż to nocy spędziłem bezsennie na platformach wież szklanych, wpatrzony w rodzinną planetę, będącą małym, oddalonym światłem, wśród migocących miliardów gwiazdnych światów!

Nie wyrzekłem się jednak nadziei ujrzenia jej kiedyś. Po rzeczach wprost cudownych, jakich dokonałem, nic mi się nie zdawało niepodobnem. Sygnały moje funkcjonowały wybornie. Za pociśnięciem kolejnym trzech guzików zapalałem lub gasiłem trzy grupy lamp elektrycznych, które mieszkańcom Ziemi zastępowały linje i kropki alfabetu Morse'a. Początkowo sam spełniałem tę pracę, lecz później wyuczyłem jej Niewidzialnych, którzy się z niej wywiązywali bez zarzutu, powtarzając znakami świetlnymi historję moich przygód, którą spisałem linjami i kropkami czarną farbą na białej desce. Sygnały te powtarzałem niezmordowanie, ufając, iż zostaną wreszcie zauważone przez ziemskich astronomów.

W czwartym miesiącu zaczęły się pojawiać częste przerwania prądu. Było to skutkiem zmniejszenia się siły burz w okolicy lasu metalowego: prócz tego, liście drzew tych pokryły się warstwą delikatnego kurzu, który niejako odosobnił metal od działania elek-

tryczności. Przypisywałem to przyczynom naturalnym — niestety, wkrótce przekonałem się o swojej omyłce.

Ale zbliżam się już do ostatecznej katastrofy.

Było to przy końcu piątego miesiąca: siedząc na platformie jednej z wież, patrzyłem na długie linje sygnałów, które się zapalały kolejno w zmroku wieczornym. Zanosiło się na burzę i Niewidzialni pokryli się w najgłębsze ze swych kryjówek.

Nagle i niespodziewanie, jak piorun z jasnego nieba, rozdarł powietrze krzyk rozpaczny, znany mi dobrze, będący wyrazem najwyższej boleści u Niewidzialnych. Wydarł się on z środkowej czeluści wieży i jednocześnie cała chmara nieszczęsnych stworzeń, z wyciem i jękami, w których zdało mi się słyszeć skierowane ku mnie groźby i złorzeczenia, pomknęła z przerażającą szybkością ku przeklętym krainom Południa...

Ostupałem! Byłem tak zgnębiony i przybity, że nie mogłem myśli zebrać: nie mogłem pojąć, że wszystko jest stracone, że Wielki Mózg, który sądziłem zamierającym, odzyskał nagle swą moc i władzę...

Patrzyłem oszołomiony, w pół-przytomny, jak z coraz dalszych wież wylatywały z rozdzierającym krzykiem inne gromady, tworząc pod gwiazdzistym niebem czarną, wyjąca chmurę. Poczucie mej bezsilności nappełniało mię wściekłym gniewem.

W tej chwili huk straszliwy wstrząsnął powietrzem: wzburzone fale dosięgały prawie wierzchołka wież, a nad memi sygnałami ukazał się olbrzymi snop ognia. Jasne linje lamp znikły.

Pojąłem, iż moje dzieło zostało zniszczonem przez gniew i zemstę Wielkiego Mózgu, wyrwanego niezna-

nym mi sposobem ze swego odrętwienia, w które go pogrążyłem przez przerwanie prądu elektrycznego!

Zanim oprzytomniałem z mego zdumienia, mnóstwo Niewidzialnych rzuciło się na mnie z wściekłością. Byli zapewne przekonani, że je zdradziłem, lub tylko może spełniali wolę mego straszliwego przeciwnika — dość, że rzucali się na mnie, jak sępy na zdobycz. W jednej chwili byłem otoczony całą ich gromadą, ogłuszony ostremi, przejmującymi krzykami; rzuciły mię na ziemię, uderzając silnie swemi mackami. Niektóre chwyciły mię za gardło, jakby chcąc zdusić, inne ciągnęły mię na brzeg platformy, aby wrzucić w rozszalałe morze. Wydierały mię sobie kolejno, szarpiąc na wszystkie strony tak, iż myślałem, że postanowiły mię rozćwiertować.

W chwili ich napadu miałem na głowie hełm opalowy — lecz wkrótce zdarto mi go z głowy i nie wiem, co się z nim stało: wiem tylko, iż od tej chwili było mi jeszcze gorzej — odczuwałem ból, razy, nie widząc tych, którzy mi je zadawali. Było to okropne! Byłem mocno przekonany, iż nadeszła moja ostatnia chwila, lecz zniszczenie sygnałów i przebudzenie się Wielkiego Mózgu były dla mnie tak wielkim ciosem, że wobec niego bladło i malało wszystko — nawet śmierć sama!

Nagle uczułem jak ramiona tych potworów owijają silnie moje ciało i uczułem się wśród szumu ich skrzydeł uniesionym w próżnię...

Porwały mię w otwór środkowy wieży. Czulem straszliwe, szybkie zawrotne spadanie w jakąś głęboką przepaść... wreszcie straciłem zupełnie przytomność...

Odtąd nic więcej nie pamiętam.

Otworzyłem dopiero oczy tu, między wami, gdyście mię przywrócili do życia.

(To nagle i niespodziane zakończenie odbiło się zdumieniem na wszystkich twarzach. Robert się uśmiechnął na ten widok).

— Zdaje mi się — rzekł — że to, co mię spotkało po mojem omdleniu, da się łatwo wytłómaczyć. Nie-widzialni w ostatniej chwili cofnęli się przed odebraniem mi życia. Może przyczyną tego była niejaka wdzięczność za to, co dla nich uczyniłem, może obawa czyjej zemsty za śmierć moją; któż może znać logikę tych istot pierwotnych a tak skomplikowanych?

Przypuszczam, że pewna ich ilość broniła mię, więc wobec podzielonych zdań obrano drogę pośrednią. Po prostu zabalsamowano mię w sposób im znany, aby mię po pewnym przeciągu czasu obudzić z tego letargu. Co zaś do mego powrotu — nie mam żadnych danych pewnych; pozostają mi więc tylko domysły.

Najprawdopodobniejszym jest następujący:

Wielki Mózg, po uniknięciu przygotowanej przeze mnie zguby, nie chciał znosić dłużej mej obecności na planecie nawet w stanie mumji; zapewne więc rozkazał Niewidzialnym, aby mię odesłali tam, skąd przybyłem...

Co zaś do sposobu, w jaki mieli to osiągnąć, to zdaje się, iż skorzystali z siły wybuchowej wulkanu, która mię wytrąciła poza obręb przyciągania Marsa, skąd mię Ziemia ściągnęła do siebie.

Siła wulkanów jest ogromną. Podług dzieła Ojca Martinez, Etna wyrzuca kamienie z szybkością ośmiuset metrów na sekundę, Wezuwiusz, Hekla i Stromboli mają siłę dochodzącą od 1200 — 1500 mt.

Copotaxi, Pichiucha, oraz inne wulkany Ameryki południowej wyrzucają ze swych kraterów lawę i kamienie z szybkością czterech kilometrów na sekundę.

Takich właśnie rozmiarów wulkany widziałem na Marsie, a siła ich wybuchu musi być nieporównanie większą, jeśli zważymy mniejszą siłę przyciągania i cieńsze warstwy powietrza.

Możliwym więc jest, iż kamienna bryła, z której mię wydobyliście, była wrzuconą w krater wulkanu; prócz tego, może Niewidzialni posiadają sposób — teoretycznie dość prosty — wywoływania wybuchów wulkanu i potrafią regulować i kierować siłę gazów podziemnych.

Mogłem więc powrotną podróż z Marsa na Ziemię odbyć w tych samych warunkach, jak różne bolidy, które wpadają corocznie w sferę przyciągania Ziemi.

— Niewytlómaczoną jest tylko dla mnie ta okoliczność — dodał Robert w zamyśleniu — że musiałem spaść właśnie tutaj.. Nie mogę tego uważać za prosty przypadek; ale to już pozostanie zapewne tajemnicą Wielkiego Mózgu...

.....

Głębokie milczenie zapanowało po skończeniu tej bajecznej epopei. Nikomu nie przyszło na myśl zadawać jakieś błahe pytania, lub składać banalne powinszowania. Tylko Ralf i miss Alberta zamieniali ze sobą znaczące spojrzenia, jak gdyby każde z nich ważyło się z zabranieniem głosu.

Wkońcu, na znak dany przez młodą dziewczynę, naturalista, patrząc w oczy Roberta, rzekł dobitnie:

— Mam ci do udzielenia ważną wiadomość, o któ-

rej, po wysłuchaniu twego opowiadania, wątpić nie mogę: Niewidzialni zjawili się wraz z tobą na Ziemi!

— To niemożliwe! — zawołał Robert z silnem wzruszeniem — czy jesteś pewnym tego, co powiedziałeś?

— Najpewniejszym! Są tu i krążą dokoła willi! Zaruk je widział—twój brat, Jerzy, także!

Tu Ralf jednym tchem opowiedział wszystko, co w ostatnich dniach zaszło w Willi Palmowej.

Robert był tem jak ogłuszony.

— Dlaczegoż nie ostrzeegliście mnie wcześniej o tem?—szepnął—nie wyobrażacie sobie nawet niebezpieczeństwa, które wam grozi...

— Kiedyż był czas na to? Przecież przed kilku dniami byłeś między życiem i śmiercią, a mówiąc prawdę, nie byliśmy zupełnie pewni swego: dopiero twój dokładny opis pouczył nas, co nam zagraża...

— Nie potrzebujecie się obawiać niczego, gdy już jestem ostrzeżonym; ujarzmiłem Niewidzialnych na tamtej planecie, w otoczeniu i warunkach dla nich przyjaznych, trzebaby więc szczególnego zbiegu złych okoliczności, ażebym ich nie miał pokonać tu, gdzie wszystko jest przeciwko nim... Ich obecność uważam nawet za wypadek pomyślny dla nauki: to ja teraz mogę je uwięzić, aby posiąść ich tajemnice... Musimy tego dokazać z Ralfem, aby je widzialnemi uczynić, choć nie posiadam tu już helmu opalowego!

Lecz pomimo tych zapewnień, wypowiedzianych w celu uspokojenia swych przyjaciół, twarz Roberta stała się posępną, czoło pokryły zmarszczki zamyslenia i napróżno usiłował ukryć to wrażenie.

— Dlaczego jesteś pan tak zamyślonym? — spytała miss Alberta.

— Usiłuję rozwiązać pytanie, po co się tu zjawili Niewidzialni: czy w ten sam sposób, co i ja, czy ich jest wiele? Pytania te muszę rozstrzygnąć! Nie sędzę, aby przybyły w celu szkodzenia mi: miały mię przecież tam w swych rękach, zdanego na ich łaskę i niełaskę — nie zabiły mię jednak. A może Wielki Mózg skazał je na wygnanie, karząc tak za chęć buntu? Lub też przeciwnie, przyszły tu, wiedząc, iż jestem jedyną istotą, która ośmieliła się walczyć z ich tyranem? A może rzucił je tu jakiś kataklizm, niezależny zupełnie od ich woli? Muszę się tego dowiedzieć!

XVI. Widziadła nocne.

Robert został sam w swoim pokoju. Długie opowiadanie zmęczyło go; po naradzie z mieszkańcami willi postanowił od jutra przedsięwziąć środki ostrożności dla zabezpieczenia ich przed Niewidzialniami.

Rozmyślając nad tem, czego się dowiedział, był zdumiony tym wypadkiem i zaskoczony nim niespodziewanie; on, którego nic zadziwić dotąd nie mogło.

Myślał, że teraz wrócił do życia spokojnego, a oto jego fantastyczna odyssea trwała dotąd mimo jego woli, tak, że i na rodzimej planecie nie może znaleźć odpoczynku!

Był jednak więcej zdziwiony tem, aniżeli przerażony; uczuwał bezwiednie pewne zadowolenie, że teraz będzie miał dowód niezbitej prawdziwości słów swoich.

Teraz będzie mógł pokazać Niewidzialnych marsyjnych uczonym, akademjom — i powiedzieć im:

— Patrzcie, oto są! Istnieją rzeczywiście!

Opanowany temi myślami, położył się, starając się odgadnąć, z jakich pierwiastków mógł się składać kamień, z którego wyrobiono ów hełm opalowy? Była to na teraz broń dla niego niezbędna w oczekującej go walce.

— Nazywałem go opalowym—mruknął do siebie—lecz musiałby on chyba być specjalnie spreparowanym, bo przecież opalenia są przezroczyste... Trzeba będzie przestudjować wszystkie ciała czule na działanie promieni ciemnych...

Tu sen go ogarnął, mocny, zbawienny dla rekonwalescentów, lecz po jakimś czasie zaczęły go zaludniać różne mary.

Robert śnił, iż pokój jego jest pełen cichego szelestu skrzydeł, a w mroku nocnym rozróżnia niewyraźne kontury kształtów dziwaczknych.

Byli to Niewidzialni, widział, jak rój ich krążył nad nim, jak nocne motyle — inne stały na wyprostowanych mackach, jak na nogach, dokoła jego łóżka, na wzór oswojonych ptaków. Chociaż na jawie nie posiadały zdolności mowy, tu jednak mówiły: opisywały mu strasliwą zemstę Wielkiego Mózgu, wieże zniszczone przez pioruny, trzęsienia ziemi, krwawe ofiary. Zbuntowały się raz jeszcze i bunt ten został zmiażdżonym. Wtedy chciały go wydobyć z kamiennej powłoki, w której uwięziony spoczywał w krypcie podziemnej, gdyż żalowały swej czarnej względem niego niewdzięczności. Lecz gdy go chciały wydobyć z grobowca, grom zahuczał, fale spiętrzyły się aż do chmur, a rozkaz strasliwy, bezsłowny, nakazał im rzucić

w krater wulkanu bryłę, zamykającą w sobie twórcę tych buntów.

Z wściekłością w sercu musiano to spełnić i prawie w tejże chwili nastąpił wybuch, który wyrzucił w płomiennym słupie ów pocisk daleko poza sferę przyciągania planety.

Wtedy to kilkunastu Niewidzialnych postanowiło, poświęcając się dla ogólnego dobra, puścić się w tę samą drogę, odszukać swego protektora i zbawcę i sprowadzić go z powrotem, choćby nawet mimo jego woli.

Musi tam wrócić, aby wybawić Niewidzialnych, pokonać Wielki Mózg i zostać ich wodzem, rządzić nimi!...

Jak się to często zdarza we snach, Robert myślał z niejaką radością, pochodzącą z tego, że liczba Niewidzialnych jest tak małą.

— Jeśli tak, to dlaczegoż niektóre z was przybyły tu wcześniej ode mnie? Przecież to ja wprzód puściłem się w drogę?

Na to odpowiedzieli, jak fachowi astronomowie, że ciała, krążące w przestrzeniach międzyplanetarnych, podlegają różnym przygodom, np. bolid, zawierający w sobie Roberta, mógł chwilowo się znaleźć w sferze przyciągania innej planety, co opóźniło jego dostanie się na Ziemię i t. d.

Nakoniec prosiły go usilnie, aby powrócił z nimi, mieszając do próśb swe dzikie, krótkie okrzyki, którym nie dorówna żaden głos ludzki.

Robert odmawiał stanowczo, wyrzucając im okazałą niewdzięczność i głupotę, i groził swym gniewem, jeśli nie wrócą natychmiast na Marsa.



Dotknął wkońcu jedną ze swych macek ramienia śpiącej, ...

Rozjątrzeni tą odmową, Niewidzialni przeszli od próśb do pogroźek i dawali mu do zrozumienia, iż potrafią zmusić go do posłuszeństwa; pochwycają wszystkich, których kocha: brata, przyjaciół i narzeczoną, a wtedy sam będzie prosić o połączenie się z nimi na Marsie.

Za chwilę widziadła zniknęły, a Robert widział się samotnym w czerwono-listnym lesie, których widział tyle na obcej planecie.

Nagle las zniknął, a oczom jego ukazał się pokój miss Alberty. Spała, oświetlona łagodnym blaskiem lampki nocnej, lecz Robert słyszał ze zgrozą w duszy lekki szmer skrzydeł za oknem i widział błyszczące w ciemności oczy...

Nareszcie jeden z tych potworów wtargnął do pokoju, kierując swe ogniste źrenice w stronę uśpionego dziewczęcia. Dotknął wkońcu jedną ze swych macek ramienia śpiącej, której piękna twarz wyraziła ból i strach — lecz spała dalej.

Robertowi zdało się, iż to wszystko widzi z wielkiego oddalenia—niezdolny do żadnego poruszenia, parzył z rozpaczą, jak rój tych straszydeł zapełniał pokój miss Alberty.

Otoczyły ją dokoła i zaczęły na swych miękkich mackach lekko unosić ją z posłania; lecz mimo wszelkich ostrożności, otworzyła oczy. Wówczas wydała okrzyk straszliwej trwogi, wzywając ratunku.

Robert obudził się z bijącym gwałtownie sercem, a na czole czuł pot zimny.

Będąc jeszcze pod wpływem straszego widzenia,

nie wiedział, czy śni, czy czuwa, kiedy ten sam okropny krzyk, słyszany we śnie, rozdarł powtórnie ciszę nocy i umilkł, zagłuszony ostremi, dziwnymi głosami.

Robert wyskoczył z łóżka, ogarnięty straszliwą myślą i wybiegł z pokoju. W korytarzu ujrzał Ralfa i Jerzego, biegnących ze światłem: usłyszeli także ów krzyk, będąc jeszcze przy pracy i biegli, pewni, iż stało się coś złego.

— Co to było!? — zawołał Ralf. — Zdawało mi się...

— Czyż się nie domyślicie!? — krzyknął Robert — Niewidzialni... tam... w pokoju miss Alberty! Może ją uniosły... może zabiły!

Rzucili się wszyscy trzej w kierunku sypialni, a wkrótce przyłączyli się do nich: Kerifa, Zaruk i lord Frymcock.

Gdy dobiegli do drzwi, Robert silnem uderzeniem wysadził je z zawias.

Pokój był pusty...

Na poduszkach znać było odcisk głowy, spoczywającej tu przed chwilą.

Robert z rozpaczą wskazał na otwarte okno.

— Tamtędy... ją... uniesiono... — wołał, szlochając jak dziecko. — O, czemuż... nie czuwałem nad nią!..

— Musimy ją odnaleźć — zawołał Jerzy — uspokój się, Robercie... uspokój!

— Mówisz tak, bo nie znasz tych potworów — rzekł Robert głuchym, chrypliwym głosem. — Są już daleko ze swoją zdobyczą. Odnaleźć ją! Czyż myślisz, że to jest możebnem? Któż wie, w jakim kierunku i jak daleko są w tej chwili!... Nic nie możemy zrobić dla niej — nic jej nie ocali...

Nieszczęśliwy ścisnął kurczowo pięści, tak, że z pod

wbitych w dłoń paznokci krew sączyć się zaczęła. Zgnębiony, osunął się na ziemię i płakał rzewnymi łzami. Siły jego, nadwątlone nadzwyczajnymi przygodami, nie mogły wytrzymać strasznego ciosu, który mu wydzierał zaledwie odzyskane szczęście...

Ralf, głęboko wzruszony boleścią przyjaciela, próbował go pocieszyć, rozpytywał o szczegóły, poprzedzające sen i usłyszenie krzyku.

Głosem zgnębnym i przerywanym łkaniem Robert opowiadał mu o prześladowających go sennych widziadłach, co łączyło się w tak straszny sposób ze zniknięciem miss Alberty.

— Rozumiem teraz wszystko -- szeptał — sen mój był sugestją Niewidzialnych, a może nawet, pod wpływem przeczulenia nerwowego widziałem ich rzeczywiście! Nic już nie rozumiem... Byłóż to tylko rozstrojenie własnym niepokojem, wytworzonym przez dzisiejsze opowiadanie, czy też byłem przez chwilę jasnowidzącym? Ale dlaczego uprowadzili Albertę? Czyż nie było im łatwiej zrobić to ze mną?... Gubię się w domysłach.. Jedno mię przeraża: czy Niewidzialni nie zostali oczarowani pięknnością Alberty, jak złe duchy wdziękami aniołów w pierwszych dniach stworzenia?..

Ścisnął skronie rękami, aby oprzytomnieć. Zuchwały zdobywca nowych światów, uczony wynalazca był w tej chwili głęboko nieszczęśliwym, słabem dzieckiem, na które litość brała patrzeć.

— Mój drogi — rzekł Ralf — nie poddawaj się rozpacz. Podług mego zdania, niema nic straconego! Posłuchaj tylko: wszakże mówisz, iż Niewidzialnych jest około piętnastu, jak to widziałeś w swoim śnie, czy jasnowidzeniu. Otóż, choćby mieli najsilniejsze

skrzydła, nie mogli zbyt daleko odlecieć ze swą zdobyczą. Wszakże mówileś, iż śpią podczas nocy?

— Tak jest — i tem się głównie odróżniają od Erloorów.

— A zatem teraz muszą spać, umieściwszy miss Albertę w jakiejś zacisznej, lecz niezbyt stąd odległej kryjówce. Jest to niemożliwem, abyśmy jej nie mieli odnaleźć i pochwycić ich uśpionych.

To rozumowanie jasne i proste uspokoiło nieco Roberta, powracając mu nadzieję.

Tymczasem niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać; noc ustępowała szybko.

— Musimy natychmiast puścić się w drogę! — zakomenderował Ralf.

— Pozwólcie mi jechać z wami! — szepnęła błagalnie Kerifa z oczami łez pełnemi.

— To niemożliwe — rzekł łagodnie Ralf — byłabyś nam przeszkodą; ale Zaruka wziąć musimy, gdyż on tylko może nas wprowadzić na ślad Niewidzialnych. Czyż nie on pierwszy odczuł ich obecność?

Czarny zwrócił ku niemu martwe swe źrenice, a twarz jego wyrażała szczególniejszą mieszaninę zgrozy i zadowolenia.

— Czy nie domyślasz się, dokąd mogli oni uprowadzić twoją panią? — spytał Ralf.

Murzyn wyciągnął rękę w stronę wschodu i rzekł poważnie:

— Ona jest tam; ona nie być gdzieindziej!

— Gdzież to jest? — badał naturalista.

— W ruinach Kiehaji! Ona tam być. Tam się kryć te dzinny! I wczoraj i tej nocy Zaruk je czuć w powietrzu wiatru!

Ralf i Jerzy popatrzyli na siebie, a ostatni zawołał:
— Jedźmy w tej chwili, bo najmniejsza zwłoka może przeszkodzić wszystkiemu. Nie trać odwagi, Robercie! Jeśli Zaruk mówi tak stanowczo, musi mieć do tego powody: mówiłem ci już o jego wrażliwości, która często jest prawie jasnowidzeniem! Nieraz zdarzało się miss Albercie zabłądzić i za każdym razem przyprowadził ją wprost do willi. Jego pewność daje mi nadzieję zwycięstwa!

XVII. Poszukiwania.

Podczas tej rozmowy Robert z przyjaciółmi wyszli z willi, zostawiając w niej tylko Frymcocka, który miał telefonować do Bizerty po doktora, aby go na wszelki wypadek sprowadzić. Poprzedzani przez Zaruka, zagłębili się szybko w ścieżkę, wijącą się wśród gęstych zarośli.

Wkrótce upał stał się duszącym: rosa wyschła w jednej chwili i gromadka naszych podróżnych musiała odpocząć chwilę nad brzegiem strumienia.

Gdy się puszczono w dalszą drogę, Zaruk zdawał się być spokojniejszym i bardziej stanowczym: z podniesioną głową, rozdętymi nozdrzami szedł prosto przed siebie wielkimi krokami, jakby pociągany niewidzialną siłą. Szli tak około trzech godzin, nie napotkawszy żadnych ruin. Robert dobywał ostatnich sił, aby zdażyć za towarzyszami.

Okolica była zupełnie pustą, gdyż zabobonni mieszkańcy opuścili sąsiednie chaty, wystraszeni przesadnymi wieściami, które spadnięcie bolidu przypisywały

czarom cudzoziemców. Pasterze przenieśli się dalej ze swemi stadami, a monotonne pieśni arabskie przestały dźwięczeć wśród zarośli na łąkach: nic nie mąciło uroczystej ciszy. Nadawała ona temu krajobrazowi cechę ponurą i dręczącą; to też nawet Ralf, dotąd najlepiej się trzymający, odczuł tę melancholję i stał się posepnym.

Nagle Zaruk, wyszedłszy na szczyt niewielkiego pagórka, zawołał:

— My już przybyć na miejsce!

A wyciągając rękę, dodał:

— To być tam!

Robert ujrzał stos połamanych arkad, porośłych krzakami i zielskiem, potrzaskanych kolumn — szczątki wielkich budowli, leżące bezładnie.

— To są rzymskie ruiny — objaśnił Ralf — miss Alberta musi się tu niewątpliwie znajdować! Jest to jedyne schronienie, możliwe dla Niewidzialnych. Jestem pewnym, że zmęczeni gęstszem, niż na Marsie, powietrzem, oraz wycieczką nocną, śpią w najlepsze i zaskoczmy ich niespodzianie!

Robert, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśnionego gardła, patrzył tylko błagalnie na przyjaciela, jako na jedynego wybawcę miss Alberty.

— Nie bądź-że mazgajem, do licha! — zgromił go tenże, pokrywając szorstkością wzruszenie. — Przecież ci powiedziałem, że musimy ją ocalić — więc rzecz skończona.

Jerzy, który dotąd oglądał ruiny, zbliżył się, mówiąc:

— Jaki też może być wewnętrzny rozkład tego zburzonego gmachu?

— Ciszej!—syknął Ralf i dodał szeptem:—Rzymianie wznosili takie budowle w swoich kolonjach, jako składy żywności dla legionów, zwykle podług jednego planu. Był to szereg izb sklepionych: jedno ich piętro było nad ziemią, drugie zaś takie same — już pod nią. Niższe piętro służyło za przechowanie wielkiej ilości zboża, oliwy i wina w kamiennych amforach, jakich dotąd Arabowie używają. Zaruk nieraz tu chodził, szukając zakopanych skarbów, jak to czynią jego ziomkowie.

— A więc niech nas prowadzi — szepnęła z mocą Jerzy — a jeśli Niewidzialni są tu rzeczywiście, zobaczymy, czy wyjdą bez szkody z pod kul mego rewolweru!

Miał go rzeczywiście, pysznego systemu Colt'a, z należytych zapasem ładunków i pilno mu było sprawdzić jego zalety.

Zaruk, słuchający uważnie rozmowy, milcząc, pociągnął Ralfa za rękaw, a wskazując na niebo, pokręcił znacząco głową. Wistocie, było ono pokryte lekkiem, szarawymi obłokami, które światło słońca przyćmiewały nieco.

— Chcesz mi powiedzieć, że burza się zbliża? Widzę to i sam, lecz cóż z tego? Zaprowadź nas tylko do podziemia, a o resztę się nie troszcz. Może brak ci odwagi? W takim razie zejdziemy sami.

Murzyn poszedł naprzód, nie odpowiadawszy ani słowa. Jerzy, który szedł tuż za niewidomym, nagle rzucił się naprzód, z twarzą promieniejącą radością. W rękę trzymał mały strzępek jasno-zielonej lekkiej materji, który zdjął z kolczastego krzaku.

Robert na ten widok doznał silnego wzruszenia.

— To jest cząstka wstążki, jaką zwykle Alberta wiązuje włosy—szepnął zmienionym głosem. — Zaruk powiedział prawdę: ona jest tutaj!

Jerzy patrzył zdumiony: dotąd niezupełnie wierzył słowom Zaruka, lecz teraz miał przed oczami niezbity dowód jego intuicji. Robert trzymał w ręce zaciśniętej ten dowód cenny, będący niezbitą wskazówką.

Murzyn po chwili zapalił wydobytą z pod burnusa latarkę i posuwali się dalej. Robert wysunął się naprzód, aby być pierwszym, którego Niewidzialni spostrzegą: Zaruk drżał konwulsyjnie, a twarz jego przybrała kolor ziemisty, będący u czarnych oznaką najwyższego przerażenia.

Nagle się zatrzymał: zęby jego szczękały głośno, a latarka w jego ręce trzęsła się jak liść na wietrze. Ralf odebrał mu ją, mówiąc:

— Dajże ją, kiedy masz taką drżąc...

Nie dokończył. Wielki, niewyraźny cień przesunął się między nim a ścianą, a Jerzy uczuł na swem czole dotknięcie miękkiego, błoniastego skrzydła. Włosy jego zjeżyły się na głowie, dreszcz zgrozy przebiegł ciało.

— Niewidzialny! — przemknęło mu przez głowę.

W tejże chwili wycelował rewolwer w stronę widziadła i wypalił. Śmiech ostry, przytłumiony dał się słyszeć i kula upadła u nóg Jerzego. Myśląc, iż się odbiła od skały, podniósł ją i obejrzał: była nienaruszoną zupełnie.

Wszyscy milczeli zdumieni, Zaruk był podobniejszy do umarłego, niż do żywego.

— Strzelałeś do Niewidzialnego? — spytał wreszcie Ralf.

— Tak mi się zdaje... — wyjąkał młody człowiek i pokazał nienaruszoną kulę.

— Tak—mruknął Ralf — to jest ten sam fenomen... Widziałem w Indjach jogów, którzy pozwalali do siebie strzelać: kule, odbite siłą ich wzroku, powracały do strzelających. O ileż większą siłę woli muszą posiadać te potwory o mózgach tak olbrzymich! Twój brat ma słuszość: jest to straszne, lecz przekonywam się, iż jesteśmy wobec nich bezbronni...

Te słowa podwoiły odwagę Jerzego, nie zniechęcając go bynajmniej.

— Zobaczmy! — zawołał, zaciskając pięści — nie ustąpię ani kroku.

I zanim zdołano mu przeszkodzić, strzelił jeszcze trzy razy w kierunku widziadła.

Trzy kule, podobnie jak i pierwsza, upadły przy jego nogach, lecz po ostatnim wystrzale, z podziemi dał się słyszeć mocny, rozpaczliwy krzyk.

— Alberta... To głos Alberty! — zawołał Robert — usłyszała nas i przyzywa do siebie!

Rzucił się naprzód, lecz w tejże chwili zaczął się cofać, wydając okrzyk gardłowy, jakby zduszony.

Ku najwyższemu zdumieniu swych towarzyszy, robiąc rozpaczliwe ruchy rękami, cofał się ku wejściu do jaskini!

— Dokąd idziesz, Robercie? — zawołał Ralf — dlaczego odchodzisz?

Tu umilkł, przejęty zgrozą, gdyż ujrzał, że nogi inżyniera nie dotykały ziemi.

Zanim ochłonął z wrażenia, uczuł się pochwyconym za włosy i wleczonym ku drzwiom jakąś nadludzką siłą. Gdy przyszedł do siebie, ujrzał się na

zewnątrz podziemia, przy swych towarzyszach, równie jak on, wystraszonych.

Długi czas przeszedł, nim oprzytomnieli nieco; wreszcie Robert wyjąkał z trudem:

— Czy widzieliście? Nawet nie raczyli nas zabić, wyrzucili nas tylko pogardliwie ze swego legowiska. Mają Albertę w swojej mocy. Co robić, o Boże, co robić!?

— Ostrzegać nas teraz, a jeśli my jeszcze raz do nich pójść—to oni nas zabić... O, Allach, jak ja się bać strasznie... Biedna moja panil...

— A jednak ja muszę jeszcze z nimi walczyć! — zawołał Ralf — inaczej nie byłbym chyba godnym nazwy Anglika. Nie ustępujemy tak łatwo z placu!

Usiadł, a ujawszy głowę obu rękami, zamyślił się. Wreszcie zawołał:

— Odwagi, moi przyjaciele — jeszcze nie wszystko stracone!

— Cóż za projekt przyszedł panu na myśl? — spytał Jerzy.

Ralf wziął z ręki murzyna ciężki drąg żelazny, którego niewidomy używał zamiast laski, i rzekł, wskazując złomy granitu nad wejściem do podziemia:

— Mam zamiar zabarykadować ich w tej kryjówce, tak, aby nie mogli unieść miss Alberty i pozostaniemy tu na straży, a pan Jerzy uda się natychmiast do Ain-Draham i zażąda od komendanta, aby nam przysłał silny oddział żołnierzy, czego nam nie odmówi z pewnością. Ruiny otoczy silny kordon, a wtedy zaczniemy odwalać wejście, lecz pod osłoną sieci drucianej, tak gęstej, iż się przez nią żadne stworzenie nie przecisnie!

— Bardzo dobrze! — rzekł Jerzy — lecz gdzie znajdziemy sieć taką? Zanim to uskutecznimy, miss Alberta może zginąć sto razy!

— Posłuchaj mnie: w Tabarka stoi na kotwicy krzyżowiec: ma on z pewnością spory zapas drutu do zakładania kontr-min, który nam wybornie posłuży: możemy zań zapłacić, ile zechcą!

Robert i Jerzy podziwiali w duchu szybkość tego postanowienia.

— Ale czy ta barykada nie utrudni dostępu powietrza wewnątrz?

— Nie — odrzekł Ralf — jest mnóstwo szczelin między głazami!

To mówiąc, posunął się ku wejściu, a za nim inni. Za ledwie jednak zaczął podważać pierwszą bryłę, z otworu podziemia posypał się gęsty grad kamieni, rzucanych z wielką siłą.

To Niewidzialni zaczęli napastować swych wrogów.

Robert, rzuciwszy się na ziemię, uniknął ciosu, Zaruk odniósł lekką ranę nogi; lecz Jerzy, trafiony w skroń, upadł na ziemię.

Nieustraszony Ralf zwałił w tej chwili na dół ciężką płytę, która, pociągnąwszy inne, z hukiem zawałiła wejście, wznosząc obłok kurzu.

Robert rzucił się ku nieruchomo leżącemu bratu.

— Jerzy... Jerzy! Drogi, kochany Jerzy! — powtarzał jak oszalały.

Ralf z Zarukiem przenieśli pod drzewo rannego, który nie dawał znaku życia. Napróżno Robert wołał nań najczulszemi wyrazami, całując go i płacząc. Złamanym tem ostatniem nieszczęściem, wyglądał jak obłą-

kany i Ralf obawiał się, aby umysł jego nie ucierpiał poważnie.

— No, uspokój się, mój drogi!—rzekł głosem wzruszonym—odwagi i nieco zimnej krwi, a uratujemy go! Trzeba go przenieść do źródła, tam, na lewo. Rana nie zdaje się być głęboką, ale trzeba uważać i na tych zabarykadowanych! Trzeba, aby Zaruk został tu na straży, a my nieśmy Jerzego!

Lecz nie uszli czterdziestu kroków, gdy nawałnica wybuchła z całą siłą; oślepiające błyskawice przerzyły niebo, a potoki deszczu zalały ziemię. Wszyscy w jednej chwili przemokli do nitki. Chłodna woda i huk gromów otrzeźwiły Jerzego; podniósł głowę i usiłował powstać.

Ralf i Robert odetchnęli, widząc, iż było to tylko silne omdlenie, gdy nagle nadbiegł Zaruk. Ociekał całą wodą, a twarz jego wyrażała zgrozę.

Ralf przeczuł nową a niespodzianą katastrofę.

— Prędejl!—wołał murzyn—tam ogień! Dużo ognia!

— Czyś oszalał? — zawołał Ralf gniewnie — skąd ogień? W taką ulewę!

— Chodźmy natychmiast! — krzyknął Robert — domyślam się... obym nie zgadł!..

Dwaj przyjaciele biegli jak strzała i za chwilę byli przy wejściu.

Zaruk nie kłamał: ze wszystkich szczelin wydobywał się dym ostry o szczególnej woni, która doprowadzała do mdłości.

— Alberta... tam — w tym ogniu! — powtarzał nieprzytomnie Robert.

— A ja zawałilem jedyne wyjście! — wykrzyknął z rozpaczą Ralf.

Nie mówiąc ani słowa, wszyscy trzej poczęli z wściekłością odrzucać głazy, zamykające otwór podziemia, kalecząc do krwi ręce.

— Cóż za nieszczęśliwy miałeś pomysł, Ralfie! — rzekł znekany Robert.

Naturalista nie odpowiedział, lecz pracował ze zdwojoną siłą: odrzucał głazy wielkości człowieka, ręce jego oczekiły krwią i błotem.

Ukazał się nakoniec otwór spory, z którego buchnął słup dymu.

Ralf już się wsuwał w przejście, gdy Robert odsunął go szorstko.

— Ja sam chcę ją ocalić! — rzekł stanowczo i zniknął w dymie.

— Idzie na pewną śmierć! — mruknął Ralf.

Lecz, odrzuciwszy jeszcze parę głazów, poszedł w ślady przyjaciela. Zaruk nie odważył się iść za nimi, lecz zaczął gorączkowo usuwać głazy, aby otwór powiększyć.

Przeszło kilka minut długich i męczących... Podziemie wciąż wyziewało dym, a dwaj śmiałkowie nie dawali znaku życia.

Zaruk przechodził katusze, nasłuchując ciągle, narazie usłyszał głos, wołający nań po imieniu... Wtedy przywiązanie wzięło górę nad obawą i wskoczył w czarny otwór. Za ledwie uszedł kilka kroków, gdy natknął się na Roberta.

— Prędejl! — usłyszał głos zamierający — niosę Albertę... bierz ją... ocall

Murzyn chwycił na ręce bezwładne ciało młodej dziewczyny i wyniósł je na zewnątrz.

Złożywszy Albertę na trawie, powrócił do podziemia.

Nie mógł odrazu znaleźć Roberta, gdyż ten upadł, tracąc przytomność; odszukał go jednak po omacku i wyciągnął z jaskini.

Robert wkrótce odzyskał przytomność, a pierwsze słowa jego były:

— Alberta ocalona!

A nie widząc przyjaciela, dodał:

— A Ralf? Co się z Ralfem stało?

— Jestem! — odparł głos ochryply, lecz wesoły.

I Ralf, czarny od dymu, a błyszczący od potu, wyskoczył z otworu, kaszląc i kichając.

— Czy żyje? — spytał z niepokojem, schylając się nad miss Albertą.

— Tak — szepnął Robert — lecz zaledwie oddychał

— Trzeba ją natychmiast zanieść do źródła, tam ją otrzeźwimy świeżą wodą — rzekł Ralf — a jeden z nas musi wrócić do willi po ratunek.

Schylił się i ujął młodą dziewczynę w swe silne ramiona, a wyprostowawszy się, poszedł naprzód tak lekko, jakby nie niósł żadnego ciężaru.

Przedtem jednak przywołał Zaruka i rzekł mu ze zwykłym spokojem:

— Mój kochany, zrób mi tę przyjemność i odejdz stąd nie prędzej, aż otwór do podziemia zostanie doskonale zawalony kamieniami. W przeciwnym razie mógłbyś się jeszcze kiedy spotkać z Niewidzialnymi!

Zaruk nie dał ̄sobie dwa razy tego powtarzać i wziął się do dzieła z prawdziwym zapałem, który potęgowała chęć oswobodzenia się na zawsze od Niewidzialnych i ostatecznego ich wygubienia.

Robert i Ralf, niosący zemdloną ciągle Albertę, zostali przy źródle Jerzego, który już zupełnie przyszedł

do siebie, obandażował swą ranę chustką. Postąpił właśnie parę kroków, gdy zabrzmiała trąbka samochodowa.

— To Frymcock!—zawołał Jerzy—doskonałą miał myśl... Wybiegnę naprzeciw niego, aby, ominąwszy nas, nie pojechał dalej!

Ralf z Robertem trzeźwili tymczasem miss Albertę wodą ze strumienia i uszczęśliwieni zostali dobrym skutkiem swoich zabiegów.

Pierwsze jej spojrzenie padło na Roberta. Słaby uśmiech zarysował się na jej ustach, lecz natychmiast zamknęła oczy. Twarz jej jednak odzyskała świeżą cerę, puls uderzał regularnie — była ocaloną!

Wkrótce umieszczono ją w samochodzie, którym kierował po mistrzowsku lord — kucharz, pałający ciekawością dowiedzenia się szczegółów całej przygody.

Musiał jednak być cierpliwym, gdyż miss Alberta była tak osłabioną i wyczerpaną, że gdy samochód zatrzymał się przed tarasem willi — powtórnie zemdlała.

Robert ją wziął na ręce jak dziecko i wniósł na schody.

XVIII. Wyjaśnienia.

Miss Alberta, oprócz odurzenia dymem, nie odniosła żadnej szkody na zdrowiu. Starania otaczających, z Robertem na czele, odniosły znakomity skutek i wspomnieniem całej przygody było tylko kilka lekkich oparzeń, tak, iż wieczorem mogła już ukazać się w sali jadalnej.



Robert ją wziął na ręce jak dziecko i wniósł na schody.

Po wieczerzy wszyscy zgromadzili się w saloniku, w tym samym komplecie, któremu Robert opowiadał swe niesłychane przygody.

— Dziś ja będę opowiadać moje przygody u Niewidzialnych — rzekła, śmiejąc się, miss Alberta — nie będą one tak ciekawe i nadzwyczajne, jak podróż pana Roberta, myślę jednak, że was zajmą!

Słowa te pobudziły ogólną ciekawość.

— Wczoraj, po rozejściu się naszym, wkrótce usnęłam, a wyobraźnia moja snuć zaczęła dalszy ciąg doznanych na jawie wrażeń. Ujrzałam Niewidzialnych: rzucili się oni na mnie, jak niegdyś na pana Roberta, gdy myśleli, że ich zdradza.

Czułam na sobie ich ślizkie, sprężyste ramiona, i niestety! wkrótce przekonałam się, iż to nie był sen. Gdy otworzyłam oczy, uczułam się uniesioną w powietrze: wtedy zaczęłam krzyczeć, wołać pomocy.

Nie wiem, jak się to stało, iż nie oszalałam ze strachu.

Spotkałoby mię to napewno, gdyby nie usłyszane poprzedniego dnia opowiadanie.

Odrzułam sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które mi groziło: byłam porwaną przez Niewidzialnych!

Myśl ta zarysowała się jasno i wtedy to krzyknęłam tak mocno, że z pewnością w całej willi musiano usłyszeć ten rozpaczliwy okrzyk.

Wszystko to stało się w jednej chwili; więcej już nawet krzyczeć nie mogłam, gdyż byłam niesioną tak szybko, że pęd powietrza oddech mi tamował.

Tak strasznego wrażenia nigdy dotąd nie doznawałam! Dotknięcie wstrętnych ramion przyprawiało mię o mdłości i w chwili, kiedy się uczułam zawie-

szoną w powietrzu, bez żadnej widzialnej podpory, do końca życia nie wyjdzie mi z pamięci.

Widziałam pod sobą wilę, później wierzchołki drzew, puste przestrzenie...

Wszystko to migało mi się w oczach z zawrotną szybkością, a ja drżałam na myśl, że pochwycono mię, aby następnie wrzucić w jaką przepaść lub morze... Straciłam na razie przytomność, a gdy ją odzyskała, uczułam, że lecimy wolniej: widocznie niosący mię zmęczyli się nieco.

Po niejakiem czasie uczułam pod nogami ziemię, lecz trzymające mię ramiona nie rozluźniły się, tylko popychały mię ku wejściu do podziemia ruin.

Świtało już, a ja wchodząc do tych zwalisk, zapytywałam się z rozpaczą: czy nie po raz ostatni oglądam świat? Na myśl tę zaczęłam głośno wzywać ratunku, lecz krzyk ten przebrzmiał bez echa, a moi prześladowcy, rozgniewani zapewne tą oznaką nieposłuszeństwa, wepchnęli mię w podziemie, gdzie przynajmniej odzyskałam swobodę ruchów.

Usiadłam na wielkim głazie, zdziwiona, że dotąd żyję i oczekując co chwila nieuniknionej śmierci.

Ku memu zdziwieniu ujrzałam się zupełnie samotną, lecz czułam, że jestem dobrze strzeżoną. Ośmielona zupełną ciszą, postąpiłam kilka kroków ku wyjściu, lecz nagle poczułam na ręce dotknięcie ślizkiego jakby płazu, wstrętne a tak silne, że mi łyzy bólu stanęły w oczach.

Był to rodzaj ostrzeżenia: nie chciano, przynajmniej na razie, zrobić mi nic złego, lecz poznałam, że każde usiłowanie ucieczki surowo będzie ukarane.

Ile czasu potem zeszło, nie umiem tego określić,

gdyż znużona i wyczerpana, przymknęłam oczy, i oparłszy się o jakąś omszałą ścianę, usiłowałam usnąć...

Rozbudził mnie odgłos blizkiego strzału: po chwilowym przestraszu czułam radość: przeczuwałam obecność moich przyjaciół! Byłam pewną, że użycie wszelkich środków dla oswobodzenia mnie; jakoż wkrótce przy słabym płomyku latarni ujrzałam na chwilę wasze twarze i usłyszałam głosy.

Wtedy to zaczęłam krzyczeć, aby uwiadomić was o swojej obecności i miejscu, gdzie się znajduję. Mój krzyk i odgłosy strzałów rewolwerowych przeraziły Niewidzialnych: wydawali ostre, gardłowe krzyki; czułam ciągle powiewy ich skrzydeł.

Zdawało mi się, iż ta chwila jest sposobną do ucieczki: podbiegłam więc ku wyjściu i znów się uczułam silnie od niego odepchniętą, lecz przedtem, tuż przy progu, uczułam pod nogą jakiś mały, kanciasty przedmiot. Schyliłam się, aby go podjąć: było to małe, metalowe pudełko, pełne woskowych zapalek.

Musiał je upuścić Zaruk, gdy zapalał latarnię... Wróciłam na swoje miejsce, rozmyślając, czy te zapalki nie staną się dla mnie narzędziem wybawienia...

Nagle przyszła mi myśl, aby zapalić suchy mech i liście, znajdujące się w jaskini. Było ich tam mnóstwo; pamiętałam, iż Niewidzialni lękają się dymu i ognia, a zatem będą zmuszeni stąd uciekać dalej, a wtedy może potrafię się oswobodzić... W razie nieudania się tego planu, wołałam być uduszoną w dymie, niż znosić dłużej tę ohydną niewolę — zresztą wasza obecność dodawała mi odwagi.

Zgromadziłam na jedno miejsce większą ilość suchych



...podbiegłam więc ku wyjściu i znów się ucułam silnie od
niego odepchniętą...

liści i rzuciłam nań płonąca zapałkę. Zajęły się natychmiast, dym zaczął napełniać wnętrze jaskini, a ja, zaledwie mogąc oddychać, biegłam ku wyjściu. Zaledwie parę kroków przedzielało mnie od niego, gdy złomy kamienia, większe i mniejsze, spadając z hukiem, zatarasowały wyjście. To pan Ralf stawiał tę nieprzebytą zapórę między mną i swobodą!

Ralf się zaczerwienił, jak dzieciak schwytyany na gorącym uczynku, i spuścił głowę.

— Nie mam do pana o to urazy — dodała miss Alberta z uśmiechem — wszakże działałeś pan w najlepszej myśli, nie mogąc przeczuć, iż wzniecę ogień w podziemiu; ale w danej chwili to zdarzenie odbierało mi prawie przytomność.

Być zamkniętą w tym piecu ognistym... razem z Niewidzialnymi! Przeżyłam wtedy okropne chwile. Straszdyła te, dusząc się w dymie, wiły się, wydając straszne krzyki; byłam pewną, iż mię rozerwą na sztuki, aby się zemścić za ów dym morderczy... Lecz on i mnie oślepił; kaszel rozrywał mi gardło, oczy mi się zamknęły i straciłam przytomność, pewna, iż to śmierć nadchodzi...

Otrzeźwiły mię dopiero bryzgi wody, spadające na twarz: otworzywszy oczy, ujrzałam, iż leżę nad strumieniem...

Oto jest prawdziwy opis moich przygód z Niewidzialnymi. Chciałabym jednak wiedzieć, czy żaden z tych potworów nie uratował się z płomieni? Z pewnością szukałby na mnie pomsty!

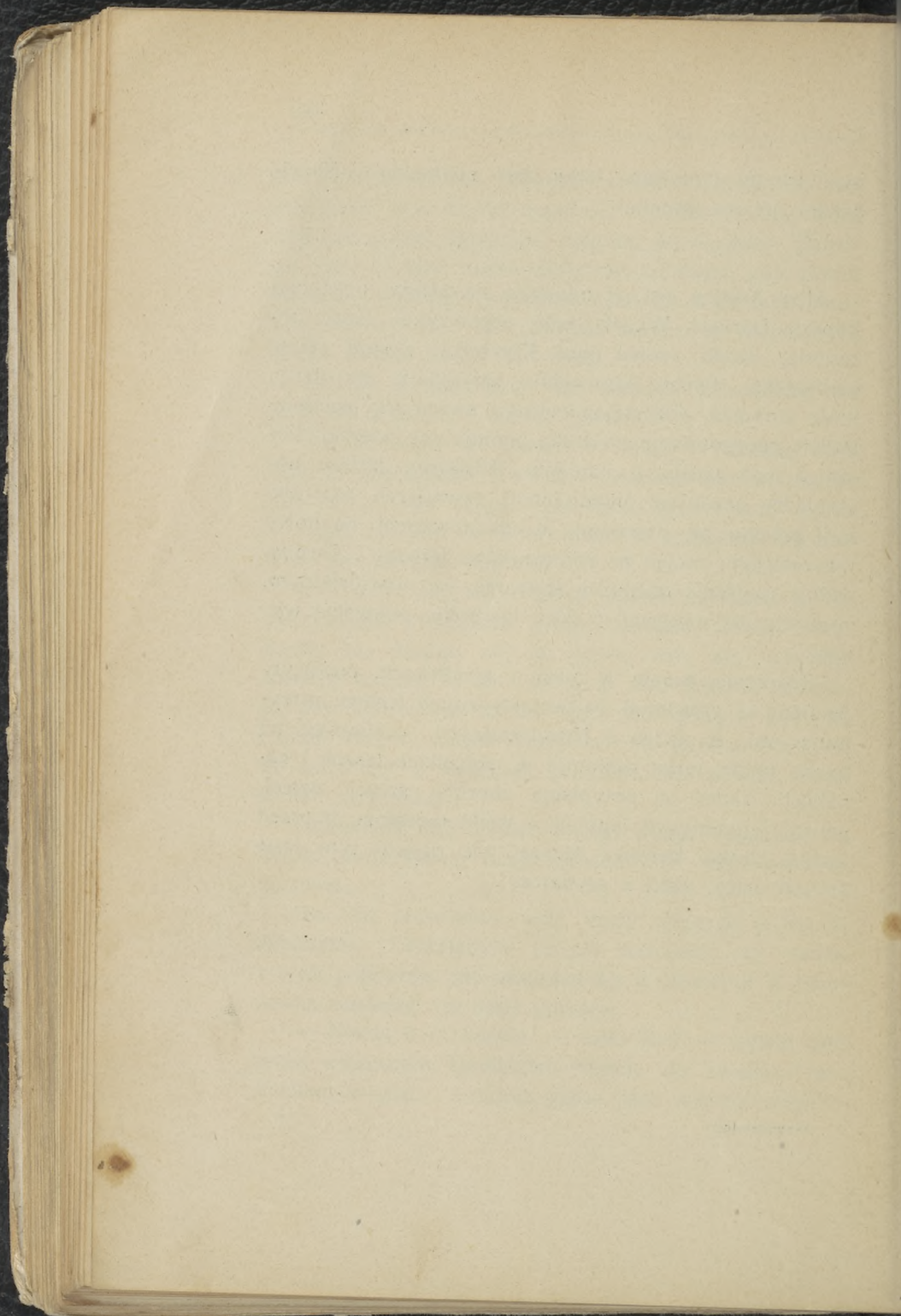
— Niema o to obawy — rzekł Ralf — byłem tam przed wieczorem. Odwaliłem wejście do zwalisk i zeszedłem w głąb. Jaskinia pełna jest nawpół zwęgło-

nych trupów i możemy teraz spać spokojnie — Niewidzialni już nie istnieją!

.

Miss Alberta jest od miesiąca szczęśliwą małżonką Roberta Darvela. Wesele było obchodzone nader uroczyście, dzięki czemu lord Frymcock zyskał sławę europejską: dwory europejskie przysyłały mu oferty, które odrzucał, pozostając wiernym swym przyjaciółom. Robert przygotowuje do druku pomnikowe dzieło o Marsie, a jego teoria o istnieniu Wielkiego Mózgu jest pomiędzy uczonymi przedmiotem zawziętych rozpraw. Ralf pracuje po dawnemu w odbudowanym na nowo laboratorium; mając za pomocników Jerzego i Zaruka, usiłuje rozjaśnić tajemnicę stawania się niewidzialnym. Podobno już osiągnął w tym kierunku pomysne wyniki.

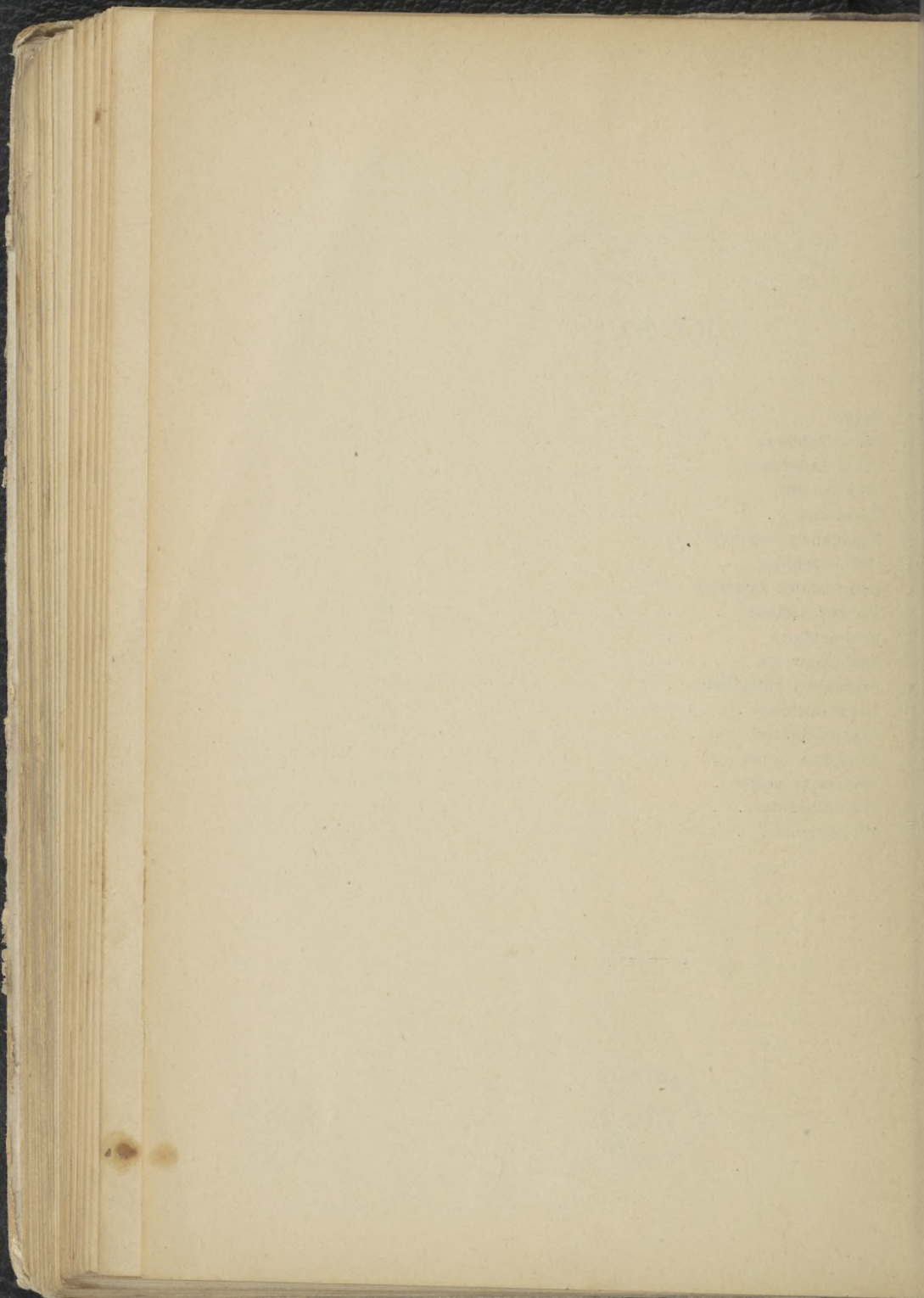
Zdarzenie, zaszło w willi i zwaliskach, posłużyły Arabom za przedmiot do fantastycznych legend; utrzymują oni, iż jeden z Niewidzialnych, ocalawszy od ognia, błądzi teraz samotnie w pobliskich lasach i zarostach. Jemu to przypisują choroby swych dzieci, śmierć zagubionych jagniąt, a wielu zapewnia, iż przed każdą klęską krajową slyszeć się daje w tym lesie śmiech ostry, dziki a szyderczy...

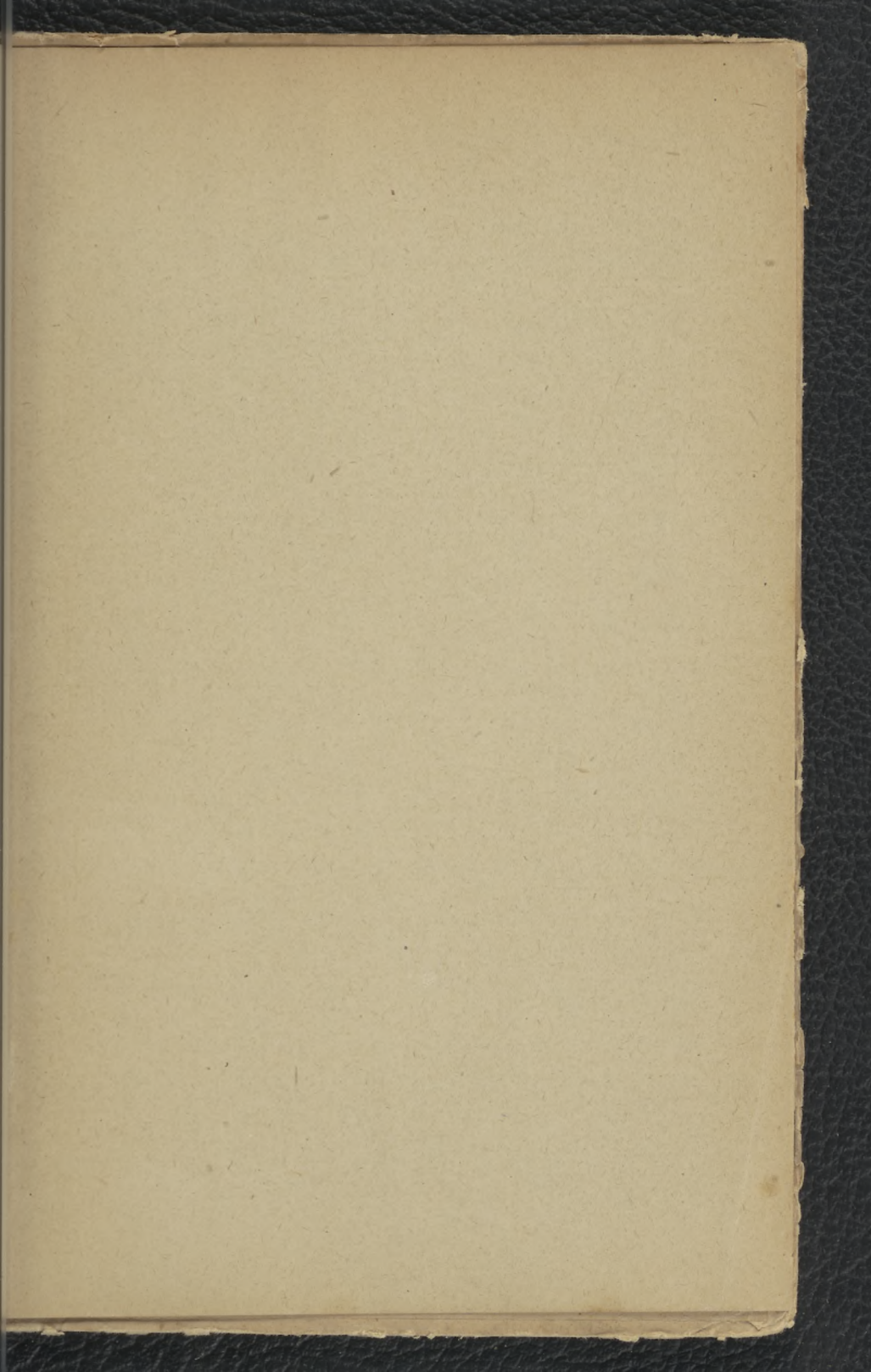


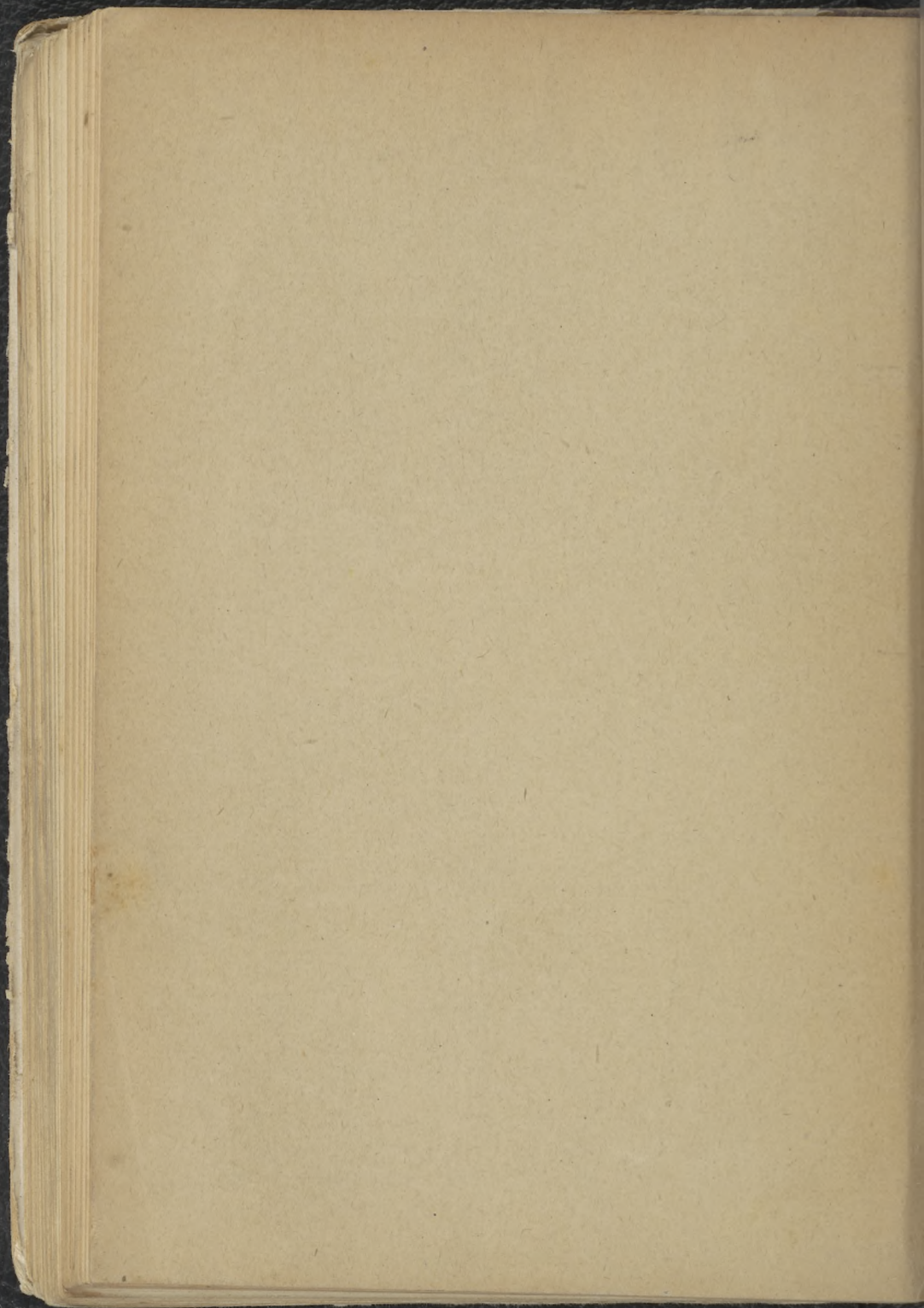
TR E Ś C.

	Str.
I. Zaruk	5
II. Willa Palmowa	15
III. Uczta Lukullusa	28
IV. Niewidzialny	38
V. Katastrofa.	48
VI. Zagadkowy meteoryt	62
VII. Usilne zabiegi	74
VIII. Opowiadanie Roberta	82
IX. Po zwycięstwie	100
X. Roślinotwory	116
XI. Szklana wieża	128
XII. Arsenaly i katakumby	144
XIII. Hełm opalowy	162
XIV. Wyspa Śmierci	179
XV. Powrotna droga	197
XVI. Widziadła nocne	208
XVII. Poszukiwania	216
XVIII. Wyjaśnienia	226









GAZETKA

M. FILEWICZ

M. FILEWICZ

P. Kosprowski
Siemianowice 19.09.97
15.00,-



1416012

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020639820